

# NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM I

NEW POLAND MONTHLY

ZESZYT 3

FELIKS GROSS

JULJAN TUWIM

MARJA PAWLIKOWSKA

ANTONI SŁONIMSKI

MARJA KUNCEWICZOWA

STANISŁAW BALIŃSKI

SIR STAFFORD CRIPPS

FELIKS TOPOLSKI

HENRYK GOTLIB

EUGENJUSZ CĘKAŁSKI

MARJAN HEMAR

JÓZEF CZAP

JERZY KUNCEWICZ

ALEKSANDER HERTZ

A. V. HILL, M.P.

LONDYN

CZERWIEC 1942

Najbliższy zeszyt podwójny  
Nr 4-5  
ukaze się w końcu lipca w  
cenie 4/-.

PUBLISHED BY  
NOWA POLSKA  
91, GREAT TITCHFIELD STREET,  
LONDON, W.1  
Phone: MUSEUM 2077-8-9

Prenumeratę :

roczną .. .. £2 0 0

półroczną .. .. £1 0 0

prosimy zamawiać w administracji „NOWEJ  
POLSKI“.

*Przekazy zagraniczne*

inkasujemy za pośrednictwem BARCLAYS BANK  
LIMITED, 15, Langham Place, London, W.1, i  
jego oddziałów w Egipcie, Palestynie, Persji,  
Kanadzie i Stanach Zjednoczonych.

6142/111

# NOWA POLSKA

## MIESIĘCZNIK

TOM 1

NEW POLAND MONTHLY

ZESZYT 3

LONDYN

CZERWIEC

1942

FELIKS GROSS

### PRÓBA PLANU

#### I.

Ostateczna klęska hitleryzmu to rozpad systemu i państwa niemieckiego w obecnym typie i rozmiarze. Decydującym momentem będą napewno takie czy inne niepowodzenia militarne, niemniej jednak ostatecznej klęski Niemiec, a ostatecznego zwycięstwa Aljantów oczekiwać należy także w wyniku rozgrywek wewnętrznych w krajach okupowanych. Powszechne powstanie ludów rewolucyjnych Europy, powstanie przeciw ciemężcom, rozbije dopiero istniejący aparat państwowy Niemiec, zdeorganizuje i zniszczy maszynę ucisku. Ten proces musi być dokonany przez ludy dziś cierpiące i ciemężone.

W chwili upadku Niemiec, w momencie rozkładu nastąpi okres, w którym z płynnej a potem zwolna krzepnącej masy europejskiej, wyrzeźbić trzeba będzie nowy porządek i ład, organizacje i państwo. Będzie to okres chwilowego—jak na historję—zaniku zmęczenia ludów europejskich wojną i nędzą, będzie to okres entuzjazmu i radości, przyjaźni i braterstwa, okres, który tak rzadko w dziejach zakwita. Tak będzie—o ile, konsekwencje wojny nie doprowadzą do zupełnego nihilizmu, rozprężenia, zniszczenia i buntu przeciw wszystkiemu i każdemu.

Uchwycenie tego okresu, pełne wyzyskanie dla stworzenia ładu dostosowanego do stadium rozwojowego społeczeństw europejskich, pokierowanie masami w tę właśnie stronę—to zadanie taktyczne, które stanie przed czołowym zespołem ruchu demokratycznego, socjalistycznego, robotniczego, podobnie jak przed czołowymi elementami ruchu chłopskiego i inteligentckiego. To zagadnienie pierwsze i taktyczne.

Okres przejściowy po wojnie ubiegłej nie został należycie uchwycony i wyzyskany, masy nie zostały pokierowane w stronę najbardziej celową, ulegały często—i przynajmy, służyły—ruchom reakcyjnym. To wina nie tylko kierownictwa, ale i mas, o czym teoretycy ruchu socjalistycznego chętnie zapominają. Po tej wojnie, na kierownictwie ruchu spocznie odpowiedzialność znacznie cięższa i większa, odpowiedzialność za taktykę w momencie przełomowym—za taktykę po zupełnym zdeorganizowaniu życia europejskiego. To jedno. Ale taktyka służyć musi jakiemuś celowi—jasnemu i skonkretyzowanemu, ujętemu w pewien realny plan. Celem tym musi być stworzenie nowego porządku europejskiego, któryby zapewnił:



1) bezpieczeństwo międzynarodowe i stworzył odpowiedni system w tym względzie; 2) wolność, swobody obywatelskie, prawa narodowe dla wszystkich i ustroj demokratyczny nie w jednym państwie, a w całej Europie; 3) masom pracującym miast i wsi, inteligencji, armii zdeklasowanych, wyrzuconych przez dotychczasowe systemy ludzi poza nawias—pracę i dach nad głową, ubezpieczenia—słowem bezpieczeństwo społeczne; 4) porządek ten zharmonizowany być musi z warunkami gospodarczymi i społecznymi Europy i stosować musi systemy, mające na celu dobro ogółu, a nie przywileje jednostek.

W najogólniejszych ramach—punktu widzenia jednostki i jej dobra—tak ująwszy można cele, które sięgają poza ramy socjalizmu nawet—są szersze, a zgodzić się na nie może każdy szczerzy demokrata. Realizacja tych celów wymaga jednak planu, któryby swym zakresem objął zagadnienia terytorjalno—federacyjne Europy, gospodarcze i społeczne, prawno—polityczne, ludnościowe, narodowościowe, populacyjne, wychowawcze, wojskowe oraz problemy ponadeuropejskiej organizacji świata.

## II.

System federalny i regionalny jest zasadniczym systemem bezpieczeństwa europejskiego. Pierwszorzędnym zagadnieniem jest nadanie nowego charakteru pojęciom: 1) Federacja, 2) Region, 3) Granica, 4) Suwerenność. Dopiero w świetle tych pojęć, w ich nowym ujęciu dyskutowanem może być zagadnienie granic. Federacja obejmuje całość terytorjum europejskiego. Przez region rozumiemy obszar, obejmujący kilka państw, a może szereg grup narodowych, oparty w swym zasięgu o przesłanki kulturalne, gospodarcze, etnograficzne i strategiczne. Federacja europejska będzie miała charakter dwustopniowy. Pierwszy stopień to państwa, drugi to regiony. Przedstawiciele regionów wchodzić będą dopiero do egzekutywy federalnej. Istotą federacji jest region. Doświadczenie Ligi Narodów, system *liberum veto* w międzynarodowych stosunkach nauczył nas, że budowanie tej federacji na starej koncepcji luźnego związku państw narodowych nie prowadzi do celu. Dlatego też do regionu, obejmującego kilka narodów, kilka państw, wewnątrz którego sprawa narodowa zostanie rozładowana dzięki wolnościowemu systemowi, przywiązujemy znaczenie zasadnicze. Przedstawicielstwo regionów obarczone będzie w mniejszym stopniu przesadami niż poprzednie przedstawicielstwa narodów. Stworzy się w ten sposób organizmy, które będą w stanie lepiej napór niemiecki w Europie wytrzymać. Dotychczasowe doświadczenie, trzeźwe spojrzenie w rzeczywistość, dzieje załamania się sił socjalistycznych i demokratycznych w Niemczech, fakt szerokiego bardzo uczestnictwa ludności niemieckiej w szeregach hitlerowskich—wszystko to przemawia za stworzeniem tych regionów pod kątem widzenia wytrzymania naporu i opanowania sił odśrodkowych w Europie, sił drapieżnych—które w ciągu wieków nagromadziły się w Niemczech w formie ideologicznej, i skutkiem tego potencjonalne niebezpieczeństwo istnieć będzie jeszcze przez długi okres. System regionalny będzie więc systemem bezpieczeństwa przeciw niemieckiemu imperjalizmowi. Niemcy pozostaną poza systemem regionalnym—aż do czasu zupełnej przebudowy systemu europejskiego oraz petryfikacji tego systemu—skoro dopuszczenie Niemiec będzie już możliwem dokonaniem wewnątrznych zmianami w Niemczech i wzmocnieniem systemu europejskiego.

Polska w systemie regionalnym wchodzić może w skład regionu nad-dunajskiego, bałtyckiego, lub też może być właśnie ośrodkiem obu. Najbardziej celowym wydaje się—stworzenie wielkiego regionu bałtycko-dunajskiego. W jego ramach Polska znalazłaby należne miejsce. Wprowadzenie systemu regionalnego połączone być musi z przewartościowaniem pojęcia granicy państwowej. W ogólności nastąpić musi daleko idące



zrózniczkowanie tego pojęcia. Dawne pojęcie granic państwowych, w pewnym sensie, zastosowane zostanie tylko do granic federalnych. Istota granic regionalnych będzie miała inne znaczenie—z tem jednak, że większość funkcji istotnych w wielu dziedzinach, przejętych zostanie właśnie przez organizację regionalną. Pojęcie granicy państwowej stanie się znacznie liberalniejsze, luźniejsze—nabierze charakteru granicy administracyjnej. Wreszcie w wielu państwach, szerokie zastosowanie znajdzie system autonomiczny. W nowym ustroju federalnym, właśnie dla zabezpieczenia praw demokratycznych, dla możliwości rozwoju narodowego i celowej administracji, zastosowaną musi być decentralizacja i autonomia. Naturalnie—rozne warunki i rozmaite społeczeństwa, wymagają też rozmaitych urządzeń w zastosowaniu samorządu, autonomji, itd. Europy nie da się urządzić według jednej, totalnej recepty. W związku z tem zachodzi konieczność dyskusji i sprecyzowania następujących pojęć granicy: 1) Granicy federalnej, 2) Granicy regionalnej, 3) Granicy państwowej, 4) Granicy obszaru autonomicznego. Tylko dla pierwszego pojęcia znajdziemy definicję w dawnym systemie granicy państwowej, dla innych nie znajdziemy odpowiednika w przeszłości Europy—poza granicą autonomiczną.

Zmianie też ulec musi dawne pojęcie suwerenności państwowej. Suwerenność w dawnym znaczeniu nie da się absolutnie utrzymać—doprowadziła ona do zupełnej anarchji w stosunkach międzynarodowych. Ulegnie ona ograniczeniu w interesie bezpieczeństwa i współpracy europejskiej na rzecz regjonu a potem federacji.

### III.

Gospodarcza odbudowa Europy, podobnie jak nowy porządek gospodarczy i społeczny, wbudowane być muszą w ten zasadniczy szemat organizacji federalnej i regionalnej, który jest przesłanką bezpieczeństwa międzynarodowego i celowego planowania gospodarczego oraz społecznego. W pierwszym okresie jednak, w "okresie zawieszenia broni"—na czoło problemów wysunie się sprawa natychmiastowej pomocy doraźnej na obszarach okupowanych. To zagadnienie, jeżeli natychmiast nie zostanie ujęte i rozwiązane, usunie swym ogromem na plan dalszy wszystko inne. Stosować się będzie ono przedewszystkiem do obszarów polskich. Pomoc doraźna w żywności i odzieży nie będzie wystarczająca. Odbudować trzeba będzie gospodarkę domową, we wszystkich szczegółach—bo na znacznych obszarach ludność wyrzucona ze swych siedzib, pozbawiona została całego inwentarza. Nędza będzie bez porównania większa niż po wojnie ubiegłej, a towarzyszyć jej będzie zamieszanie i ustawiczny ruch migracyjny ludności, wyrzuconej poprzednio przez najeźdźców. Pełne doprowadzenie do jakiego takiego porządku gospodarki domowej i zapewnienie bytu tym elementom nieproduktywnym, które na skutek administracji okupantów straciły zdolność do pracy, wymagać będzie także i innych środków—nie tylko pomocy doraźnej. Przedewszystkiem cała ziemia zabrana przez kolonistów niemieckich, jakoteż cały inwentarz rolny, znajdujący się w danym momencie na obszarze Polski, za pośrednictwem władz polskich, przekazany zostanie poprzednim właścicielom, uprawiającym ziemię. Uregulowania wymagać będą i inne dziedziny, ale już przy pomocy władz federalnych—bo sam kraj okupowany, który poniósł bodajże najcięższe brzemie wojny, podobać im nie zdoła. Mam tu na myśli, n.p. cały system rentowy, który powstać musi w związku z uszkodzeniem przez okupantów osób w obozach koncentracyjnych, straceniem żywicieli rodzin itd. Zastosowanie reparacji nie dało wyniku i w zasadzie dużych nadziei z nim wiązać nie należy. To prawda. Nie mniej jednak, jest rzeczą wykluczoną, by Polska w okresie odbudowy te ciężary przyjąć mogła. Cały ten ciężar odszkodowań spaść musi na skarb federalny, a sumy przeznaczone na ten cel składane będą w szerszej mierze przez Niemcy.

Projekty co do udzielenia pomocy bezpośredniej są zresztą w znacznym stopniu w przygotowaniu. Równocześnie z przywróceniem do jakiegoś normalnego funkcjonowania gospodarki—powiedziałbym—konsumpcyjnej, przez zabezpieczenie bytu osobom niezdolnym, dostarczenie pracy zdolnym, a ziemi chłopom—nastąpić musi organizowanie całej produkcji europejskiej na nowych już zasadach.

Przesłanką tej organizacji musi być uznanie Europy, jako pewnej całości gospodarczej, i oparcie gospodarowania na założeniach federalnych.

Organizacja produkcji wyłącznie systemem prywatnym, kapitalistycznym i odbudowa na tej zasadzie będzie wprost niemożliwa. Środki na odbudowę pochodzić będą ze źródeł publicznych, gospodarka będzie musiała być dostosowana do systemu federalnego, będzie więc musiała być budowaną pod kątem widzenia ogólnym, nie prywatnym, celem jej będzie zaspokojenie potrzeb szerokich mas a nie jednostek.

Stworzenie więc gospodarki kontrolowanej, ogólnoeuropejskiej, gospodarki planowej, tworzonej pod kątem widzenia odbudowy i dobra ogólnego, wymagać będzie uspołecznienia zasadniczych przemysłów kluczowych—które dziś znajdują się w większości w ręku kapitału prywatnego. Podobnie też rozdział surowców przejdzie do władz federalnych.

Władzom federalnym zatem podlegać będą—uspołecznione przemysły kluczowe, rozdział surowców oraz system emisyjny. Uspołecznienie przemysłów kluczowych, poddanie ich kontroli federalnej, rozdział federalny surowców, jedna instytucja emisyjna—to wszystko służy w równym stopniu bezpieczeństwu międzynarodowemu, jak i odbudowie. Uniemożliwi bowiem państwom napastniczym odbudowę przemysłów wojennych. Nie wszystkie gałęzie jednak zostaną uspołecznione. Odbudowa, zaspokojenie potrzeb szerokich mas i bezpieczeństwo międzynarodowe wymagają stosowania systemów gospodarczych najbardziej celowych. Tak więc w rolnictwie drobna własność, skooperatyzowana, okazała żywotność w krajach skandynawskich i bałtyckich, podobnie zresztą jak spółdzielczy przemysł spożywczy. Zastosowanie na pewnych obszarach spółdzielczości w szerokich rozmiarach okaże się napewno bardzo celowe. W innych znowu dziedzinach, mniej doniosłych—pozostanie gospodarowanie prywatne, pod kontrolą jednak czynników społecznych. Inicjatywa prywatna zrozumienie dla niej znaleźć musi pełne, szerokie uzględnienie. I tu znowu nie będzie jednej recepty, jedynej i niezmiennej, ale stosowanie systemów zależeć będzie również od obszaru i jego charakteru.

Odbudowa przemysłu i rolnictwa polskiego odbyć się może tylko przy pomocy federalnej. Przemysły kluczowe, jako część systemu europejskiego, zostaną odbudowane przy pomocy środków federalnych; surowce przydzielone zostaną z tego samego źródła. Udział Polski w reprezentacji federalnej—poprzez reprezentację regionalną, będzie odpowiadał nie tyle stanowi w chwili odzyskania wolności—bo kraj będzie zniszczony—ile obowiązkowi, które Polsce przypadną z jednej, a planowi europejskiemu z drugiej strony.

Przemysły lekkie, których urządzenie będzie zapewne przestarzałe, niedostateczne, a także zniszczone, będą musiały również otrzymać maszynę i wyposażenie—tu dużą rolę będzie mogła odegrać rzeczowa pożyczka amerykańska, która w Stanach brana jest w rachubę.

Pomocy też wymagać będzie rolnictwo, pozbawione inwentarza żywego. Zajdzie zapewne konieczność wyposażenia rolnictwa polskiego w trąkcie mechaniczną—czego również o własnych siłach Polska nie będzie mogła dokonać.

Cała więc odbudowa gospodarcza Polski musi być skoordynowana z odbudową europejską, czy to w sensie federalnym, czy też regionalnym.

Do niezwykłych rozmiarów urośnie też zagadnienie populacyjne, we wszystkich aspektach. Problem ten wymagać będzie przedewszystkiem :



1. Skierowania robotników, pracujących dotychczas w przemyślach wojennych, do przemysłów produkcyjnych; 2. Zatrudnienia żołnierzy armii zdemobilizowanych; 3. Zorganizowania powrotu mas ludności wyrzuconych ze swych siedzib przez okupantów; 4. Zorganizowania aparatu pomocy i systemu rentowego dla osób nie zdolnych do pracy na skutek działań wojennych. Te wielkie obowiązki i zadania spadną zapewne na Międzynarodowe Biuro Pracy, któremu w tej dziedzinie przypaść winna rola kierownicza.

Odrębnym problemem, jakkolwiek związanym z pierwszym, będzie zagadnienie socjologiczne zdemobilizowanych żołnierzy, w szczególności żołnierzy niemieckich i ich sprzymierzeńców. Ludzie ci stać się mogą zarzewiem nowych ruchów reakcyjnych. Zawiedzeni w nadziejach, wykolejeni, oderwani od życia długą walką frontową, rozczarowani, niezaspokojeni w swych ambicjach, stanowić będą rezerwuwar reakcji przeciw nowemu porządkowi. Znaleźnienie pracy, zaspokojenie potrzeb i zrozumienie problemu psychologicznego, przedewszystkiem armij alianckich, ale też zrozumienie konieczności rozładowania napięć w zdemobilizowanej armii hitlerowskiej, zniszczenie wszelkich możliwości odbudowy organizacyjnej, związków żołnierskich w Niemczech—oto zadania bardzo istotne i trudne, związane mocno z obliczem gospodarczym przyszłego świata.

#### IV.

Celem utrzymania bezpieczeństwa zewnętrznego i pokoju, oraz nowego porządku europejskiego, konieczną będzie reorganizacja i redukcja sił wojskowych. Obniżone więc muszą być ciężary, które spadały na poszczególne ubogie kraje, z racji koniecznych zbrojeń, a z drugiej strony zwiększona musi być efektywność obrony wojskowej. System koordynacji sił zbrojnych w łonie federacji musi również zapobiegać tworzeniu się dyktatur wojskowych.

Dla realizacji tych właśnie celów utworzona winna być armja federalna, podległa federacji bezpośrednio, i terytorjalna, podległa tej władzy tylko pośrednio i częściowo. W skład armji federalnej wchodzić będą siły techniczne, lotnicze i pancerne. Armja terytorjalna składać się będzie z formacji narodowych, państwowych—podległych władzom państwowym, a zespolonych w dowództwie regionalnym, które skolei podlegać będzie w pewnym zakresie władzom federalnym. W ten sposób skoordynowaną zostanie egzekutywa federalna z siłami terytorjalnymi. Dzięki tej organizacji możliwą będzie daleko idąca redukcja obciążeń społecznych na obronę, albowiem ciężary rozłożone zostaną równomiernie na wszystkie państwa.

#### V.

Obok ogólnych instytucji demokratycznych dwie zasady znaleźć muszą szczególnie szerokie zastosowanie: decentralizacja łącznie z autonomją oraz podział władzy.

Federacja Europejska składać się będzie z regjonów, te zaś z państw. W państwach skolei, jako zasada ustrojowa, w zależności od charakteru kraju i ludności, zastosowaną będzie szeroko autonomia, samorząd i decentralizacja. Dzięki temu zapewniony zostanie większy udział ludności w rządzeniu, ochrona praw mniejszości, kontrola, zaspokojenie potrzeb lokalnych.

Podobnie też władze federalne mieć będą pewny, określony zakres działania—wynikający z konieczności utrzymania bezpieczeństwa zbiorowego, porządku demokratycznego i gospodarowania przemyśłami społecznymi—poza to we wszystkich innych dziedzinach, państwa będą miały zupełną swobodę. Koordynacja międzynarodowa w dziedzinie wychowania, higieny, itd. i innych polach nie będzie bowiem naruszała w żadnym wypadku suwerenności, ograniczonej interesem ogółu europejskiego.

Praktyka środkowo—europejska wykazała, że skupienie ośrodków decyzji w jednym miejscu, może przedstawiać dla demokracji znaczne niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo to wynika prosto z techniki zamachu stanu, z techniki obalania porządku demokratycznego. Dysponowanie bowiem siłami zbrojnymi daje jednostce możliwość opanowania innych ośrodków dyspozycji. Problem bezpieczeństwa porządku demokratycznego, będzie też w przyszłości wymagał bardzo umiejętnego i przewidującego rozwiązania.

Jedną z instytucji, zmierzającej do tego celu, jest organizacja sił zbrojnych. Dwoistość tej organizacji (siły federalne z jednej, a terytorjalne z drugiej strony), ma na celu stworzenie pewnej przeciwwagi, a zarazem równowagi między instytucją federalną, a regionalną i państwową.

Pozostaje wreszcie zagadnienie—rozproszenia władzy, rozwinięte jeszcze z monteskiuszowskiej teorii o podziale władz, przez wprowadzenie niejako ponad—podziału.

W tym zagadnieniu odróżnić należy, ścisły podział kompetencji i funkcji między ciała federalne, oraz kwestję rozmieszczenia w różnych miejscach ośrodków dyspozycji, tak by było rzeczą niemożliwą, jednoczesne zawładnięcie wszystkimi ośrodkami, co jest istotnem w technice zamachu faszystowskiego.

O Unję trzeba walczyć—Stany Zjednoczone też za swą siłę związkową płaciły wojną cywilną, jak Europa wojnami światowemi.

## VI.

Zasada samostanowienia narodów musi doznać ograniczenia wywołanego z konieczności bezpieczeństwa i porządku europejskiego. Nie naruszy to w żadnym wypadku prawa do swobodnego życia narodowego, kulturalnego, do popierania elementów narodowych w kulturze, itd., ale ograniczy możność wyzywania się w tworzeniu dowolnych sił wojskowych, policyjnych, itp. Każdy naród ma prawo do samostanowienia, nie mniej jednak prawo to musi być ograniczone: 1. interesem bezpieczeństwa europejskiego i światowego; 2. interesami i linjami planowania regionalnego; 3. interesem europejskiego porządku demokratycznego.

Nowy porządek musi zabezpieczyć pełnię praw i swobodę mniejszości narodowych.

Przymusowe translokacje ludności zawierają w sobie niebezpieczeństwo tworzenia ludności wykorzenionej z własnego środowiska, są groźbą tworzenia całej klasy wykołajeńców.

Zupełnie innym problemem jest sprawa ekspulsji elementów hitlerowskich, nawiezionych do Polski i innych krajów przez Niemców, oraz sprawa kary sądowej i banicji w stosunku do tych elementów niemieckich, które udzielały pomocy okupantom w podboju.

## VII.

Imperjum Brytyjskie będzie członkiem federacji, lub też, jako związek narodów o charakterze samoistnym, obok Stanów (nie wykluczona jest też Unja ze Stanami) należeć będzie do Ligi Unijnej, która jednoczyć będzie wszystkie unje i federacje. Liga stać będzie na straży bezpieczeństwa światowego, przez koordynację wszystkich wielkich związków kontynentalnych i federalnych. Bezpieczeństwo to będzie mogło być zapewnione, przede wszystkim przez stworzenie floty wojennej Ligi—jako siły strażniczej. W skład tej floty wchodzić będzie stopniowo cała flota Ligi. Liga też kontrolować będzie ruch okrętowy morski. W ten sposób zapewnione być musi bezpieczeństwo mórz. Głównymi zadaniami Ligi Unij będzie więc: 1. Zapewnienie pokoju światowego; 2. Koordynacja gospodarki światowej i rozdział surowców; 3. Koordynacja postępu kulturalnego.



Koordinacja sił wojskowych unij nastąpi już w ramach problemu bezpieczeństwa światowego.

## VIII.

Okres obecny, a w większym stopniu jeszcze powojenny, będzie okresem konfliktów wielkich idei i wielkich prądów. Już dzisiaj zaznacza się tendencja uniwersalistyczna jednoczenia obszarów, tworzenia wielkich zespołów, kontynentalnych niemal. Tendencje te widoczne są wszędzie. Jesteśmy niewątpliwie świadkami tworzenia się jedności panamerykańskiej, niewątpliwie też Hitler, mimo swej woli, pracuje dla zjednoczenia Europy, niszcząc dawne granice, integrując dla swych celów gospodarkę europejską, przez co, wbrew swej woli, scala ją dla przyszłej Europy. Wchodzimy niewątpliwie w epokę wielkich organizmów politycznych, organizmów kontynentalnych, w dojrzałej już postaci.

Nie zapominajmy jednak, że obalenie hitleryzmu w Europie, odbędzie się nie tylko w imię hasła demokratycznych, socjalistycznych i europejskich—ale, przede wszystkim w imię hasła niepodległościowych, narodowych, w imię walki z cie nięzącą.

Hasło niepodległościowe jest, niewątpliwie, w tej chwili najsilniejszą ideą rewolucyjną. Znalezienie wspólnego wyrazu dla prądów niepodległościowych, a z drugiej strony dla wielkich tendencji uniwersalistycznych, jest problemem zasadniczym. Temu celowi służy wielostopniowość w organizacji europejskiej i decentralizacja. Wielostopniowość ta wyraża się w kolejnej integracji obszarów: 1. obszar autonomiczny, 2. państwo, 3. region, 4. federacja, 5. liga.

Odbudowa gospodarki europejskiej musi się odbyć po linii ogólnego interesu społecznego. Jest to jedyna możliwość racjonalnej odbudowy i rozbicia monopolu gospodarczego, który siłą faktu wpływa na kształtowanie się polityczne, przede wszystkim przez uspołecznienie przemysłów kluczowych i poddanie pod kontrolę federalną. Po rozbiciu państwa hitlerowskiego, zrodzi się niechęć do przymusu państwowego, jako takiego, do ingerencji publicznej—skoro reżim poprzedni na tej właśnie ingerencji się opierał. Zrodzi się też konieczność stworzenia należytych ram dla uszanowania indywidualizmu ludzkiego, bez którego kultura degeneruje się i zanika. I znowu interes powszechny i dobro powszechne znaleźć musi wspólny interes z dobrem i swobodą jednostki, z indywidualizmem, którego największym wrogiem był hitleryzm i faszyzm.

Wielkim i trudnym zadaniem będzie rozładowanie emocjonalne i znalezienie możliwości racjonalnego współżycia europejskiego, wspólnych ram dla prądów narodowych i uniwersalizmu, dla indywidualizmu i socjalizmu społeczeństwa.

KWIATY POLSKIE  
(FRAGMENTY)

„Próchno się w gwiazdy rozlata“  
(„Beniowski“).

„Kto wie od czego wleczą albo spadną  
One nad światem uwieszane szale,  
Gdzie ziarno piasku czasem ciągnie na dno?“  
(„Pan Balcer w Brazylii“.)

.....

Ten aktor, tragik starej szkoły,  
Co w rolach królów grzmiał przed laty,  
Wspomina młodych dni żywioly :  
Pięcioaktowe swe dramaty.  
A ten najczęściej : gdy w zamęcie  
Rozpaczy starczej, w noc burzliwą,  
Przy gromów akompaniamencie  
Łbem skołatanym dziko trzęsie,  
W chłoszczące niebo wznosi pięście  
I klnie swą dolę nieszczęśliwą. . . .  
Lub gdy, przedśmiertnie obłąkany,  
Trupowi córki ukochanej  
Żale swe szlocha, klęski, krzywdy,  
Rzęzi, chwytając się za szyję,  
I — „Nigdy, nigdy, nigdy, nigdy!“  
I po raz piąty „Nigdy!“ wyje.  
Potem umierał. Potem brawa.  
Huragan braw! Więc zmartwychwstawał.  
Wreszcie na wódkę szli z Gloucesterem,  
Edgarem, Kentem i sufferem.

Dziś nie Szekspiry i nie Liry. . . .  
Dziś za pięć złotych i kolację  
Da w Starym Sączu w restauracji  
„Wieczór humoru i satyry“.  
W palcie, z kołnierzem podniesionym,  
Jeden jedyny w zimnej sali,  
Czeka na gości. Blask się sączy  
Pomarańczowy i przyćmiony  
Wątlęgo prądu w Starym Sączu.  
(Pamiętasz chyba jak się pali  
Zarówka na prowincji. . . .). Huczną  
Wicher na rynku sztukę gra,  
Afisz mu zrywa, strzępy gna. . . .  
Słowem miał rację Gogol : „Skuczno  
Na etom swiecie, gospoda. . . .“



I wszystko jest jak Bóg przykazał :  
 — Panneau na ścianie, malowane  
 Przez daltonistę—farbomaza ;  
 Czekoladowc—ciemno—lila  
 Nimfa nad wodą się pochyła,  
 Opodal widać wiatrak w polu,  
 A w głębi gruzy greckich kolumn. . . .  
 — I lustro jest jak Bóg przykazał,  
 Bo co odbicie to obraza  
 I mętnie szkli się śród mirażu  
 Półtora wydłużonej twarzy. . . .  
 — I jak przykazał Bóg, jest obrus,  
 Co geografją potraw obrósł :  
 Sumatrą szczawiu, Grecją marchwi  
 I czarnej kawy Morzem Martwym. . . .  
 — Przykazał także Bóg, by w karcie,  
 Wodniście hektografowanej,  
 Był barszcz, zraziki, sznycel z jajkiem,  
 Zupa rosolnik i sztukamięs  
 (Które to danie, przy atencji  
 Kelnera dla wybranych gości,  
 Słup szpiku tłusty miało w kości  
 Mastodontycznej provenjencji). . . .  
 — A bufet ! Mógłbym „Bufetiadę“  
 Napisać polską ! Tuzin pieśni !  
 Lecz zakrakaliby współcześni  
 (A o potomnych marzyć nie śmiem)  
 Ten temat. . . . Więc pokrótce wspomnę  
 Delicje przednie, chociaż skromne :  
 Alabastrowe boczku plastry  
 Pod pudrem papryki ceglastej ;  
 Myśliwskich kabanosów parki  
 (Probierny kamień wędliniarski) ;  
 Rolmopsy ; owczy ser w talarki ;  
 Chrzanowy sos i sos tatarski ;  
 Przez pół na długość przekrajane  
 Czółenka twardych jajek z chrzanem ;  
 Kielbasa w kabłak (źmija śpiąca  
 Własny swój ogon całująca) ;  
 W pieprzowym occie ulik w dzwonka,  
 A wokół garnir z korniszonka ;  
 Cielące nóżki w galarecie  
 (Biedactwa ! *Jeszczę* się trzęsicie ?) ;  
 — A wreszcie—on, srebrzystej wódki,  
 Koniecznie dużej, zimnej, czystej,  
 Najulubieński druh srebrzysty,  
 Kawior ubogich, ust pokusa,  
 Bezsenne noce Lukullusa,

Modły kartofli parujących,  
W niebo podniebień dym wznoszących  
Brat mleczny żwawych rybich panien :  
Marynowany śledź w śmietanie !  
. . . Jest i w New Yorku ten specyjał  
I wódkę już pod niego pijał,  
Lecz wódka nie ta i śledź nie ten  
I nie ta aura nad bufetem  
I nie ja nawet. . . . Mówiąc krótko :  
Nam w Polsce, śledziu ! w Polsce, wódko !  
Gdzie sobie wami człek dogadzał  
Gdy bufet był jak Bóg przykazał. . . .

Więc bywa tak, że wiatr przedwieczny,  
Wiatr przedczłowieczy—śpiewa pieśni  
O Jakimś—Jednym—Biednym—Śmiesznym  
O zawiedzionym najboleśniej  
Wiatr Tobie, Boże, huczy pieśni. . . .

\* \* \*

Nie w Sączu i nie tamtej nocy,  
Lecz inny wiatr prowincjonalny,  
Choć nad Pilicą, dął jak halny,  
W ataku żalu i nostalgji  
Za mocą, równą bożej mocy ;  
Biblijnie wył wysokie psalmy,  
Szlochał i smagał jak prorocy. . . . .  
I takie brał tonacje wieszczce,  
Takim chorałem grzmiał dantejskim,  
Że gdyby stał się tekstem, wierszem,  
Rzekłbyś, że pisał go Ujejski.

(Szlachetnie cierpiał ów Jeremi,  
Skowytał, skarżył się i żalił,  
Lecz w polskiej poetyckiej skali  
Nie znajdziesz go między wielkimi.  
I wiatr był taki. Jako klasa,  
Styl, poziom, efekt i tonacja. . . .  
Wybaczcie, Wietrze i Poeto,  
Że was zestawiam ! Wierzcie, że to  
Nie zarzut, lecz kwalifikacja).  
Pod niebem górnolotnie biadał,  
W maczugi tężał, hordą spadał,  
Lecz gdy rozbijał się o ziemię  
Po ludzku syczył, głędził, zrzedził  
I dni ostatnie listopada,  
Jak liście, w stronę grudnia pędził.  
Co jeszcze robił ? Głupie psoty.



Bo cóż na ziemi do roboty ?  
Z pułapów tynk otrząsał kruchy,  
Naporem wgniatał w izbę szyby,  
W dygot wprawiając je brzękliwe  
I jakimś kubłem przewróconym  
Z jazgotem rzucał w próg sadyby,  
Lub zatkniętemi w kołki płota  
Garnkami glinianemi miotał. . . .

W tę noc Anielka — — — — Witaj, mała,  
Trzynastoletnia już ! Pamiętasz  
Goździki, „grote“, pożar, cmentarz ?  
Jakżeś urosła, wypiękniała !  
Pamiętasz „oko“ ? Zegar—zmore ?  
A dziadek, dziadek gdzie najmiłszy ?  
Co z panią Bielską ? Z prowizorem ?  
A co w aptece słysząc ? — — — Milczy  
I coś tam sobie szepce temi  
Wargami zlekka mięsistemi,  
Schylona chmurnie nad — — — — A to co ?  
Książka ? Ukradkiem ? Późną nocą ?  
Pokaż !

Nieufna i surowa,  
Podnosi oczy, książkę chowa.  
Wrywam ! Zerwie się i krzyknie !  
Złemi zabłyśły płomykami  
Szarotki oczu aksamitne :  
„A panu co ? . . .“ I w płacz. Niech beczy.  
— A tobie co się stało, że ty  
Po nocach czytasz takie rzeczy ?  
Zawsze się bałem, że tak będzie,  
Że to odezwie się, nadejdzie. . . .  
I widać przyszło. . . . Jak ? Dlaczego ? !  
I właśnie dziś ! w tę noc upiorów !  
W noc polską wiatru ujejskiego  
Co rapsodycznie dmie przez szpary !  
Anielko ! !

Tytuł : „Krótki zarys  
Dziejów narodu rosyjskiego“.  
Obok pieczątki : „Z księgozbioru  
Kamila Rozpędzikowskiego“.

\* \* \*

Skończenie świata nad parafją !  
Urwanie głowy i księżycy !  
Podrywa śpiących dmuchawica,  
Stękną, pomruczą i znów chrapią.  
Młyn nocy trzęsie się i miele

Lament pustego kotłowiska  
Najsrożej gwiżdząc przy kościele,  
Jakby się bies w igrzysko wświstał.  
Spójrz w okno : po kościelnych ścianach  
Wędruje blada światła plama,  
Wędruje, szuka, a gdy znajdzie  
Szczerbę lub rysę na obrazie.—  
Ręka w blask wchodzi, i na skazie  
Malarskim pędzlem barwę kładzie.  
Owa świetlista plama mglista  
Z latarki elektrycznej strzela,  
Na ludzkiej piersi zawieszonej  
Jak szkaplerz. Czujny i wzruszony,  
Stary ogrodnik, legionista,  
Krąży tej nocy po świątyni  
I generalny przegląd czyni :  
Fryzuje męczennikom włosy  
Nadrabia im przytarte nosy,  
Przykrwawia ciernie Zbawiciela,  
Maryjne lilje zaś wybiela. . . .  
A zwłaszcza stan aniołów sprawdza,  
Przysięgły niebian rzeczoznawca.

Wysoko stojąc na drabinie,  
Dziewierski pomrukuje zcicha :  
— O, mój rozmarynie ! —  
A jest przy wątłym cherubinie  
I dziurę w oku mu zapycha  
Srebrzystą glinką — ślad po kuli —  
I znów, fałszywie, lecz najczulej  
— O, mój rozmarynie !  
— O, mój rozmarynie !  
Rozwijaj się !

I nawet w stęchłej, mroczej wnęce,  
Gdzie krzyż żelazny zardzewiały  
Pół wieku rósł z omszałej skały,  
Pootrzepywał z kurzu wieńce,  
Skurczone kępki macierzanki,  
Zszarzałe wrzosa, niegdyś miodne,  
Nieśmiertelników żółte wianki,  
O grobach oschle szeleszczące  
(O, kwiaty—mumje, śmierć wieszczące !  
O, złudne życia prochowisko !  
O, bezcelowe i bezpłodne  
Jak ja, jak wszyscy i jak wszystko !)—  
Więc nawet tam, w grobowcu prawie,  
Przy głuchym głazie, skąd czas wyżarł  
Nazwisko fundatorki krzyża :



„Maria Dziewierska“—ach, tam nawet,  
 Gdy przed śladami liter klęknął  
 I drżącą je pogłaskał ręką  
 I święte ucałował imię —  
 — Powtórzył : „O, mój rozmarynie !  
 Rozwijaj się !“ . . .  
 I długo, długo tak we dwoje  
 Pośpiewywali każdy swoje :  
 Wiatr jerychońsko-bohaterski  
 O wiecznem śpiewał i ogromnem,  
 A człowiek prosty, pan Dziewierski,  
 O rozmarynie, kwiatku skromnym. . .  
 Świtem umiłkły obie pieśni  
 I nastał Wielki Dzień powieści.

\* \* \*

Wył wicher, wył, aż dnia się dowył.  
 Na ziemi wymiecionej skrzętnie,  
 Był suchy ziąb listopadowy,  
 Cichutko było i odświeżnie.  
 Dał wicher, dał, aż płuca wydał  
 I dzień sprowadził jasnooki.  
 Bładawe słońce zimną dzidą  
 Mierzyło w ziemię przez obłoki.  
 Zwolniła biegu rzeka sina,  
 Stwardniało błocko w koleinach,  
 Więc miło stawiać prężne kroki  
 I słyszeć chrzęst w przymrozku rażnym,  
 Gdy smacznie chrupią pod stopami  
 Świeże placuszki kruchych zmarzlin,  
 I miło, gdy w ten szklany chrzęścik  
 Spod stąpających butów ciężkich,  
 Wdzwania się szabli brzęk i ostróg  
 I wydłużony krok miarowy  
 Nózek w płóciennych pantofelkach,  
 Strzelistych, młodych nóg. Anielka  
 Dotrzymać kroku chce dziadkowi.  
 Choć całą noc przy pracy spędził  
 Dziewierski wesół jest i rzeźki,  
 Mruczy coś wprawdzie, lecz nie zrzędzi,  
 I siwe oczy w strop niebieski  
 Dziękczynnie wznosi — że dzień piękny  
 Po takiej nocy.                   Dziś w kościele  
 Msza uroczysta — pierwsza w wolnej  
 Ojczyźnie. Jakiś ptaszek polny  
 Na poczerniałej siadł drzewinie,  
 Pokręcił główką swym zwyczajem,  
 Zaświstał : „O, mój rozmarynie !“

I frunął. Zapachniało majem.  
 Idą krok w krok i z dłonią w dłoni. . . .  
 Brzęczą ostrogi, szabla dzwoni. . . .  
 —Dziadziu—odzywa się dziewczyna  
 “ A tatuś . . . ” (ciarki go przebiegną,  
 Jak zawsze, kiedy mu zaczyna  
 O ojcu mówić)—“. . . tatuś toby  
 Już generałem był napewno.  
 Musiałby dziadzio generała  
 Rozkazów słuchać ! Prawda ? Musiał !  
 Szkoda, że niema dziś tatusia,  
 Szedłby tu z nami . . . ”—“Nie pleć, mała.”  
 Ale uparła się i dalej :  
 — “ A co mnie, dziadziu, powiadali,  
 Że ja moskiewka ? Gdulów Ewka,  
 Ta ruda . . . Ja dla śmiechu wczoraj  
 Zyg zyg marchewka,” a ta zmora  
 Zyg zyg moskiewka do mnie . . . ” Stała.  
 Zdjął czapkę, otarł pot. “ Mówilem,  
 Żeby nie . . . tego . . . A ty, panno,  
 Wciąż o tem ! . . . Przecie tłumaczyłem,  
 Uczyłem . . . Dam ja twojej Ewce !  
 —“Bo tatuś ” . . . —“ Dosyć ! ! Słuchać nie chcę ! ”

Zagryzła wargi w pół-uśmiechu  
 (Znane nam wargi)—i sprężyściej,  
 Gniewniej nogami ; jakby chciała  
 Świetnością kwitnącego ciała  
 Zemścić się. Bliska nienawiści  
 Żołniersko kroki wybijała,  
 I wciąż w tym drwiącym pół-uśmiechu  
 Rzuciła szare bratki oczu  
 W profil staremu : “ Też mi piechur !  
 O, tak się chodzi ! ” Wreszcie poczuł,  
 Co ten złośliwy znaczy wyścig  
 “ Gadiuka ! syknął . . . “ Szatan w ciele ! ”  
 — Co, dziadziu ?—Nic. Już są w kościele.  
 (Stary miał rację, przyjaciele !)

\* \* \*

Oszołomiony, wniebowzięty,  
 Słuchałem w rzymskiej Bazylice  
 Mszy wstrząsająco niepojętej,  
 Gdy kameowe, smągłolice  
 Marquesy wykoronkowane  
 Wznosiły oczy zapłakane,  
 Przyjmując krwi Twej tajemnicę.  
 W Rio, na szczycie Corcovado



Kamiennym stoisz wielkoludem  
Z ramiony rozkrzyżowanemi.  
W dzień jesteś krzyżem, nocą—cudem :  
Bóg-Krzyżoczłowiek świeci ziemi  
Jasnością fosforycznie bladą.

Z Brazylii płynąc na Manhattan,  
Byłem na groźnym widowisku :  
Na statku mszę odprawiał—szatan  
(W dzieciństwie bies o takim pysku  
Wyłaniał się z sennego czadu . . . )  
A to był czarny arcybiskup  
Z Conradycznego Trinidadu.  
Wołał : “ O Lamb of God ! Redeemer !  
O Lord ! ” A potem Twoje imię ;  
A co wymówi je—przyklęknie.

Ale co więcej i co piękniej :  
W ojczyźnie—samem “ pochwalony ”  
Sławiły Cię co dnia miliony !  
Więc bezimiennie—żeś WIADOMY  
Imieniem podrozumiewanem !  
I jak ! “ Na wieki wieków amen ! ”

Chwało ogromna ! Straszna chwało !  
To, że się imię Twe na codzień  
Westchnieniem, wykrzyknikiem stało,  
I dźwiękiem pustym trya w narodzie !  
O, czci cudowna ! Stać się brzmieniem  
O zapomnianej dawno treści !  
Być bezpamiętnem przypomnieniem  
I bohaterem bez powieści.

Lecz zaszczyt rośnie. Gwiazd dosięgnął  
I w aureoli gwiazdnych legend  
Zajaśniał sfer nieziemskich Regent . . .  
Więc, zdałoby się, kres zaszczytom,  
Kres wspaniałościom i potęgom,  
Gdy się na każdym Twojem słowie,  
Na każdym kroku—klechdy lęgną.  
Bo jedną znam prawdziwą sławę :  
Tę doskonałą, znamienitą,  
Kiedy CZŁOWIEKA—a tyś człowiek—  
Myśl odda we władanie mitom  
I puści w fantastyczny obieg,  
W kręgi tajemnic, w baśń, w legendę . . .  
Tak pamięć staje się Obrzędem.

MARJA PAWLIKOWSKA

DROGA JEDYNA.

Chmury tylko tam w niebie, na zachód,  
Do ojczyzny wytyczają mi drogę,  
Autostradę fioletowo—ceglastą  
Z pierwszą w górze przedwieczną gwiazdą.

Tam, za światem poczyną się wolność—  
Tam dopiero koniec gniewom, winom  
I zasiekom i granicznym kopcom. . . .

Tam, gdy mglistą wjadę limuzyną  
W bramy nieboskłonu,  
Już mnie warty nie wstrzymają obce.  
Z wiatrem rozrzucę paszporty—  
I nie potrzeba mi świadectwa zgonu.

ANTONI SŁONIMSKI.

KLAWIATURA

Gdziekolwiek dotknę klawiszy  
W tę samą utrafię nutę.  
Zawsze odezwie się smutek,  
Smutek, co nam towarzyszy.

Choć bijąc w rząd białych kości  
Palce boleśnie pokrwawisz,  
Ten sam odezwie się klawisz  
Ubogiej muzykalności.

O Muzo, o dobra Pani,  
Przywróć nam dźwięki niektóre,  
Abyśmy zcichli wsłuchani  
W budzącą się klawiaturę,

Wionącą po czołach żarem,  
Tchnieniem po plecach zimnem,  
Wiolinu łkającą czarem,  
Podrywającą nas hymnem.



## SEN.

Ojciec mój przez sen dławiony udręką,  
Krzyczał i budził się w tym krzyku,  
I drżącą ręką  
Pot ocierał z czoła,  
I świecę na nocnym zapalał stoliku,

Mnie dręczy straszliwsze widziadło,  
Którego nie płoszy blask żaden.  
Milcząco płynie mym śladem,  
Jak sęp na ramieniu przysiadło.

I krążę po mieście zgiełkliwym  
Z tym sępem szponami wżartym,  
Co krzyczy językiem nieżywych,  
Zawiłym bełkotem umarłych.

Na niebie kołyszają się sennie  
Balony, jak słońce srebrzyste.  
Obłok biały płynie niebem czystym,  
Obłok czarny płynie przeze mnie.

W dzień słoneczny błądzę ciemną nocą,  
Wśród wązów ulic pustych tracę drogę,  
I trwoga mnie ogarnia i krzyczeć nie mogę.  
Ojcze, przyjdź mi z pomocą.

Niech głos twój mnie stąd wywoła,  
Dodaj mym piersiom siły do krzyku.  
Zbudź mnie ze snu i pot otrzyj z czoła,  
I świecę—dwie świece—zapal na nocnym stoliku.

## COUNTRY.

## JESZCZE JEDEN KLUCZ

Któregoś dnia w połowie października, wróciwszy po weekendzie do Londynu, nie zastaliśmy tam swojego pensjonatu. Znikła mała Basia, rysująca klatki z orzeszkami dla "biednych Polaków," znikły stare grupy regionalne, i mity, i bridże, i nieśmiertelne walizy, znikli intelektualiści zaniepokojeni krajem Szekspira, bohaterowie i ich impresarja, znikł doktor ze strzykawką i cały Ciechocinek—rozwiały się upiorne wakacje.

Dom, przylegający do naszego, przestał istnieć, do ambulan-sów jeszcze pakowano gibraltarskie dzieci z obandażowanemi głowami; okna całej ulicy ziały pustką, a na drzwiach, od których klucz trzymałam w ręku, widniał plakat: Danger! Zajrzałam przez szparę. . . . Stoły, uwikłane w firanki, leżały na podłodze, na nich materace, na nich tynk, na tynku błyszczące żdźbła luster. Gołe deski, wyrzuczone ściany, pale jakich nigdy nie było. . . . I w kącie, między parasolem, butem a żywą mokrą różą jakieś nieotwarte listy, wrzucone przez listonosza za późno. Obcy kot trącał je łapą. . . .

Kolekcja niepotrzebnych kluczy powiększyła się o nowy egzemplarz.

## PRIVATE

Kiedy domy Londynu tak otwierały swoje wnętrza wiatrom, gwiazdom i włóczęgom, na wsi angielskiej jedynie bedroom'y wietrzyły się we dnie i w nocy, w sittingroom'ach równym płomieniem płonęły rodzinne ogniska, z kominów nad kuchniami dymy ulatywały w ustalonych porach, ktokolwiek zaś stuknął do drzwi, musiał długo czekać na ich otwarcie i nieczęsto bywał wpuszczany za próg.

Gdzieś tam strażacy i śmieciarze usypywali w kopce, zwalali na wozy ciężarowe łom z wiktoriańskiej epoki i wywozili go na pola. Stamtąd bezpieczeństwa: lichtarze, dzbany bez uszu, podarte adamaszki wracały pod połami szperaczy na "Caledonian Market," by kiedyś amator antyków wprowadził je znów pod prywatny dach i przywrócił im rangę przedmiotów.

Ale tutaj przez niskie okna widać było z drogi, jak błyszczą starannie odkurzone blaty komód, szyby serwantek i twarze porcelanowych pasterzy. Na płotach koło przejazdów, za którymi słały się puste łąki, tabliczki ostrzegały: "Tresspassers will be prosecuted," nad stawkami podobne tabliczki, przybite do drzew, ogłaszały "private fishing." Każda niemal ścieżka była "private," wiele autobusów kursowało z tym napisem. Boże broń, by ktoś, znarowiony do publicznego charakteru urzędów, bez stukania przeniknął za drzwi konstabla. Wyszłaby



mu naprzeciw osoba zgorszona, żądająca oznak szacunku dla jej prywatności.

W ciągu wielu miesięcy zaglądałam przez sztachetę do zawsze tych samych ogrodów. Trawniki, bez względu na sezon, błyszcząły świeżością, ktoś strzygł je, ktoś usuwał zeschnięte liście, gracował alejki i podwiązywał pienne róże. Domy, stojące w głębi, różne georgjańskie i wiktoriańskie "manors," miały w oknach niepokalanej białości muśliny. Ale ani na trawie, ani w żadnym oknie, nie widziałam mieszkańców.

Niektóre domki z muślinami pokryte były strzechą i nazywały się "cottages." Czasem przylegały do nich podwórka, pełne dziwnego drobiu. Czasem te podwórka rozszerzały się w obejścia ze stodołami, oborami, chlewami i nazywały się "farms." Ale ogródki cottage'ów tak samo były staranne i bezлюдne, jak parki, a metysowane kaczki z twarzami indyków i olbrzymie szare gęsi trzymały się ściśle swoich zagród, dziobiąc w milczeniu, nie przypominając niczem tych chmur pierza i wrzasku, jakie unoszą się z nad polskich wiosek. Na zamkniętych żywopłotami pastwiskach liczne krowy żuły wiecznie zieloną trawę, nie zrażając się szronem.

Jeśli jakieś okna wychodziły na łąkę, obserwator mógł widzieć, że byk krąży między krowami, a one kuszą go, skacząc na siebie. Mógł też ów człowiek oglądać, jak krowa pracuje nad uwolnieniem cielęcia z porodowej błony a cielę staje na nogi, chwiejąc głową w podziwie nad urodą świata.

I podobnie jak trudno było wyśledzić, kiedy są strzyżone trawniki, tak trudno też się dopatrzeć, kto narusza opieką prywatne życie krow.

Stykające się ze sobą domki nie miały ze sobą nic wspólnego, poza wspólną ścianą. W identycznych kuchniach, kobiety identycznie ubrane, przygotowywały identyczne potrawy w samotności takiej, jaka była zapewne potrzebna pierwszej kobiecie globu przy twórczym trudzie warzenia pierwszej zupy. Próznobyś upatrywał owych kontynentalnych pogawędek na przyźbie, tych sąsiedzkich wizyt "pożyczcie kumo, sagana" . . . albo "pokosztujcie placka" . . . Próznobyś z ulicy łowił uchem odgłosy domowego bytu; klótnie, płacz dzieci, tyrady radja nie przenikały na zewnątrz. Drzwi otwierały się rano dla wypuszczenia mężczyzn do pracy, dzieci do szkół, gdzieś w czasie lunch'u i — najpowszechniej, najuroczyściej—w chwili popołudniowego powrotu pana do domu. Żebraków nie było. Dostawcy szanowali oporność drzwi—składali swoje towary na progu. A skoro żywiciel go przekroczył po robocie w polu, czy warsztacie, szczelność domu zdawała się wzrastać.

Zanim nastął black-out, na szybach kładły się odbłaski kominków i cienie mężczyzn z fajkami, zagłębionych w fotele. Cienie kobiet i dzieci otaczały je, celebrując obrządek herbaty.

Biada temu, ktoby w tej porze pokusił się o zakłócenie prywatności!

Później okna kryły się za zasłonami. Ale bez ryzyka pomyłki przechodzień mógł zgadywać, co za niemi się działo: dzieci bawiły się, udając że ich niema, kobiety migały drutami, mężczyźni patrzyli w ogień. Nawet komunikat wojenny ściszony był tak, żeby wyglądał na głos z "tamtego" świata... Paraszutyści, jak szarańcza, spadali na Kretę, Churchill wchodził w Londynie na trybunę, ponury, jak osaczony byk, Hood z półtoratysiącem brytyjskich mężów i synów szedł na dno oceanu—farmerzy, nauczyciele, wyrobnicy Warwickshire, czy Kornwalji, słuchali o tem, patrząc w milczeniu na ogień, żony ich nie myliły ściegu, dzieci nie przerywały swych cichutkich zabaw. Nie zawsze jednak wojnę można było, jak komunikat radiowy, przyciszyć. Czasami sjęstę przerywał łoskot, jakgdyby przewróconego cebra, czy ściętego drzewa. To samolot walił się na ziemię i dwóch, może czterech, chłopców paliło się żywcem na polu, zachowując pamięć i zdolność cierpienia. Horyzont zajmował się ametystową luną, zbiorniki strzelały... wtedy przecież nikt w polu nie krzyczał i nikt się nie kręcił poza tymi, których job'em było ratownictwo.

Czasem znów wojna włamywała się do domu w postaci urzędnika kwaterunkowego. Za nim wślizgiwali się do sittingroom'ów brudni malcy z East End'u, żony lotników, cudzoziemcy... Kiedyś zostaną odłonięte głębsze przyczyny nawrotów szkolnej młodzieży do bombardowanych miast oraz dzieje targów o jeden więcej fotel przy kominku, o miejsce przy stole, o przesunięcie szafy w nietykalnym wiejskim bedroom'ie. Narazie stwierdzić należy, że dramat był obustronny. Oczy wieśniaków, gromadzących się w karczmie wieczorami, wyrażały szczere pokrzywdzenie, gdy słowo "evacuee" padało z czyichkolwiek ust. A właścicielka czternastopokojowego pałacu rozpaczająca po nocach dlatego, że pod jej dachem spały dwie "zupełnie obce osoby"—rozpaczała z głębi struchlałego serca.

Pięknie było na angielskiej "country" w roku 1941-ym—czysto i spokojnie. Parowczyki przesuwaly się po rzekach za płaskimi łąkami, prusząc dymkiem, gwizdały kosy, rzały wielkie włochate konie, pieski pokojowe szczerkały na aeroplany, mgły niebieściły mury starych opactw, bluszcze wspinały się na drzewa, parki pachniały lawendą, wywieszki gospód pod Jeleniem i pod św. Jerzym skrzypiały na wietrze, dziewczynki miały pyzate twarze, klekotały młyny wodne, a po asfaltowych drogach, między lotniskami sunęły—ciągnione przez zesłowieczne lokomotywki—pałace cygańskie: dywanowe ściany pod baldachimami z mahoniu. Ich prywatności nikt także nie naruszał. Skoro nie zatrzymywały się w środku wiosek a ich mieszkańcy nie żądali dla siebie niczych bedroom'ów wolno



było Cyganom wlec swoje cygaństwo przez Anglię. Dzieci patrzyły w ślad za nimi; ludzie dorośli nie odwracali głów od czynności, któremi byli zajęci.

Niech na całym świecie wojna  
Byle polska wieś zaciszna  
Byle polska wieś spokojna

—przypominał się somnabuliczny rytm “Wesela.”

Wieś brytyjska była także spokojna.  
Pan się boją we wsi ruchu  
Pan nas obśmiewają w duchu

—mówił Czepiec.

Ale na wsi angielskiej nikt bać się ruchu nie potrzebował, nikt nikogo nie obśmiewał. Raz widziałam, jak ten spokój pękł. Zdarzyło się to w kościele katolickim w czasie mszy. Parafjanie jednomyślnie wstawali i klękali, żegnali się i modlili w ciszy niezakłóconej organem, ani śpiewem. Jaskółka wpadła przez okno, jakiś czas tłukła się pod stropem aż natrafiła na drzwi i znikła—nie obudziło to niczyjej uwagi. Wtedy nagle zapłakało dziecko. Zrazu nikt także nie odwrócił głowy. W jednej z ostatnich ławek siedziała dziewczynka lat około sześciu, “evacuee” londyńska z płaską ciemną twarzą wzniesioną i zalaną łzami. Ministrant dzwonił, ksiądz otworzył ramiona “Dominus vobiscum”—dziecko płakało dalej. I wreszcie ludzie zaczęli na nie patrzeć. Mała podparła ręką mokry policzek, wyglądała na zafrasowaną staruszkę. Po dziś dzień nie wiem co jej było: może poprostu ząb ją bolał a bała się wyjść z kościoła i pozazdrościła lotów jaskółce. Wiem natomiast, że brytyjscy wieśniacy zlekli się tego płaczu. Z wysiłkiem szukali słów i giestów, jakie należałoby zastosować, aby temu obcemu, miejskiemu dziecku dopomóc, i nie znajdowali ich. I martwili się sobą. I w duchu złorzeczyli wojnie, która do takich zmartwień przymusza.

Biedni malcy East End’u i biedni farmerzy! Cockney’ę uciekały z wiejskich, ekskluzywnych bedroom’ów do dostępnego wszystkim miejskiego rynsztoka. A wieśniacy—dotknięci ich niewdzięcznością—wcześniej niż trzeba zaciągali sztory, żeby chronić się od przeciągu, który szedł światem wskutek otwarcia tyłu naraz prywatnych, rzadko otwieranych drzwi. Kurz dalej osiadał na komodach, przedmioty spały, mężczyźni—siedząc po pracy przy kominkach—godzinami patrzyli w ogień, kobiety migwały drutami, dzieci wklejały do albumów znaczki rozgromionych państw. . . .

Była cisza, było skupienie, była “privacy.”

I był niepokój obcych przechodniów: kiedyż wstrząsną światem ewangelje i czyny, które rosną w godzinach samotności pośród tych ścian, tak nieprzenikliwych?

W pewnej wiosce rybackiej w Kornwalji, przed wieczorem, na wzgórzu, które stanowiło jakgdyby ganek tego wybrzeża obrócony na zachód, codziennie zbierały się dzieci na zabawę. Szczyt uwieńczony był strażnicą i ławkami, niżej obszerne naturalne tarasy zstępowały ku morzu. W porze, kiedy praca domowa dobiega końca, a dzień jeszcze służy jasnością, matki ściągały tam z niemowlętami, robótkami, plotkami i obsiadały ławki. Najmniejsi obywatele w towarzystwie pluszowych niedźwiedzi opuszczali swoje wózki i, nie oddalając się zbyt, stawiali chwiejne kroki po ziemi, którą mieli odkrywać.

Teren tych eksploracyj leżał nieco na uboczu od osi wzgórza, zasłonięty murem od lądowego wiatru. Słońce i morze nie przyciągały uwagi malców—były zbyt duże i zbyt nieuchwytne; trwali przykucnięci, wpatrując się w trawę, szturchając glisty, wydłubując kamyki. Starsze dzieci omijały skrzętnie to miejsce, by nie zakłócać studjów najmłodszego rocznika. Niżej, wrzynał się w zbocze plac, grodzony rowami—tam hasali chłopcy w wieku od lat sześciu do dwunastu, podzieleni na dwa walczące obozy. Jedni zaczajali się w rowach, inni atakowali. Wojna pozycyjna i tu nie miała już dobrej prasy, najwyraźniej chodziło o ruch, bo wojownicy—o ile atak się spóźniał—sami wybiegali z rowów naprzeciwko wroga, przyczem nie widać było, żeby przynależność do jednego czy drugiego obozu nakładała jakieś szczególne obowiązki, bo wszyscy strzelali do wszystkich. Strzelanie zaś odbywało się z gołej garści, albo z blaszanego rewolweru bez kapiszonówi, bez pociągania za cyngiel, jedynie przy pomocy półgłosnego okrzyku “pam-pam”! Osobnik, do którego takie “pam-pam”! zostało skierowane, natychmiast padał na ziemię, oznajmiając “I’m dead” i nie wstawał dopóki specjaliści od trupów nie zabrali go z pola walki. Jeden z chłopców nie wiadomo dlaczego (czyżby udawał misjonarza wśród dzikich?) strzelał z krzyża drewnianego i uzyskiwał ten sam skutek, co właściciele rewolwerów. Jeńcy skakali, jakgdyby mieli skrępowane nogi, choć nikt ich nigdy nie wiązał. Od czasu do czasu dwóch padało razem na ziemię, tarzając się i usiłując jakgdyby wyzwolić się z pęt. Po chwili wstawali i odbiegali swobodnie. W przerwach między gonitwą, strzałami oraz braniem do niewoli, przeciwnicy udzielali sobie rad i omawiali sygnały. Nikt nikogo nie kopał, nie popychał, nie bił. W pogoniach nie było pośpiechu, w walce—wrogości, w krzyku uniesienia. Od początku do końca w każdej chwili była tylko zabawa.

Za żywopłotem rozścielał się obszar, porośły ziołami, łagodnie nachylony ku zatoce; tam znów dziewczyny i chłopcy od lat 14-stu do jakichś 17-stu grali w siatkówkę. To był salon wzgórza. Chłopcy występowali tam w krawatach, niektóre



dziewczyny w atlasowych bluzkach. Wyobrażam sobie jakich chytrych zabiegów wymagało w dzień powszedni wyciągnięcie z szuflady takiej bluzki i wymknięcie się w niej spod oka władz domowych. Za to przy podskokach atlas oblewał piersi, jak woda i chłopcy—urzeczeni—strzelali out'y raz po raz. Dziewczyny krzyczały, giestykułowały. . . . Same nie wiedziały, że chodziło im o demonstrację skrętów ciała, prężności mięśni, daru ekstazy. . . . Chłopcy zaś nie wiedzieli, że chodzi im o to, aby to wszystko poznać. Jednak i tutaj ściśle trzymano się konwencji. Rzucano piłkę, obliczano punkty, wtedy tylko zbliżano się do siebie, gdy na to pozwalały prawidła. Skoro zaś tego wymagała gra, natychmiast rozplatanio dłonie i spojrzenia.

Czwartą grupę stanowili młodzieńcy ponad lat 16, grający w football. Ci nie dbali o efekt. Ubrani wygodnie i bez wdzięku, mieli celowe ruchy, twarze skupione, zajmowali się swoim sportem serjo, jak pracą zarobkową. Widać było zresztą, że nie wygrana jest dla nich główną rzeczą, tylko trening, który tak bywa pomocny w żmudnej karierze mężczyzny.

Do matek na ławkach przysiadali się starszankowie, czasem trafił się młodszy jegomość. Palili fajki, patrząc na morze.

Indjanie, Siuksowie (czy może Niemcy?) przebiegali obok, pędząc z okopów za strażnicę, machając ramionami, wołając "pam-pam"!

Piłki padały pod nogi, nierzadko na kolana, lub głowy. Rozgorączkowane dziewczyny (one jedne były podniecone), eleganci w krawatach, poważni sportowcy—zgłaszali się po nie i odchodzili, kierując grzeczne "sorry" w przestrzeń bez adresu, jakgdyby dorosłych wcale tam nie było.

A starszyzna nie mięszała się do działań młodzieży radą, naganą ani też czułością.

Zmierzch zapadał. Łabędzie, które przyplływ wypłoszył z kęp rzecznych, ciężko przelatowały nad wzgórzem w kierunku zatoki. Kobiety wsadzały do wózków swoje strudzone pociechy. Głosy dziewczyn rzedły, opadały. . . . Sportowcy znikali. Na morze schodziła mgła, na mgłę schodził księżyc. . . . W strażnicy zapalało się zielone oko. Po wojowników przychodziły ciotki i za rękę prowadziły ich na kolację do domów.

W chwili, gdy ostatnia czerwień zachodu wsiąkała w chmury, wzgórze było puste. Ale oko strażnicy z zielonego robiło się czerwone. Niebawem pręga reflektora występowała na niebo. . . . Z zatoki, szumiąc i brygając, w wielkim pędzie wypływały jeden za drugim ścigacze. Zdaleka, zdaleka nasuwał się jękliwy głos syreny. Cień skrzydeł przekreślał księżyc. Ktoś na ulicy wołał: "lights! you show lights!" Okiennice zatrzaśkiwały się, kroki dźwięczały. . . . Potem cisza. Potem głuchy huk, jak spod wody. . . . Turkot samolotów. Głos syreny, przebrzmiały na zachodzie, wysnuwał się znowu ze wschodu i coraz bliżej, coraz silniej nabrzmiewał. Po hory-

zombie chodziły dziesiątki słupów świetlnych, krzyżowały się, schylały nad zamglonem morzem, szukały. . . . Księżyc przy nich wyglądał różowy. Nie wiadome było, czy on jest “na niby,” czy one. Ktoś jednak chował się w chmurach i w morzu, kogoś po niebie i ziemi goniono, jakieś syreny krzyczały, jakaś gra toczyła się dalej.

Rankiem nazajutrz sześciolatek Siuksowie i czternastoletni Don Juani udawali się do szkół, ale ścigacze nie zawsze—budząc łabędzie na zatoce—wracały. Jeżeli zaś nie wracały, jeżeli z szumem i bryzgiem nie przepływały pod oknami domków nadbrzeżnych, budząc serca dziewczyn—któż wie czy nie było to zemstą natury za fair play? Może wróg nie godził się umierać po regulaminowym “pam-pam”? Może zabici nie wstawali z martwych, a żywi miewali czasem ciężar trupów? Może ci, których związano, uciekli, ci zaś, których puszczono wolno, odpowiedzieli strzałem w plecy? A syrena nie rozplotła ramion, kiedy życie zaczęło w jej uścisku gasnąć.

### WUTHERING HEIGHTS

Dom wiejski, w którym zamieszkaliśmy, nie był duży i nie należał do ludzi zamożnych. Gospodyni sama gotowała, prała, sprzątała bez niczyjej pomocy. Syn za cenę poświęceń matki kształcił się w uniwersyteckim mieście. Pan domu był właścicielem garażu.

Odrązu w czasie pierwszej rozmowy, która miała ustalić warunki naszego współżycia, ze słów i z przemilczeń Mrs. L. wynioskowałam, że osobą ważną, jest Mr. L. Wyraźnie chodziło o to, żeby w niczem nie naruszyć trybu *jego* dnia, żeby *jego* przestrzeń życiowa nie doznała uszczerbku. Z ciekawością więc zaczęłam obserwować go zdaleka.

Rano budziły mnie zazwyczaj ostre wonie bekonu; jednocześnie rozlegało się na dole kilka akordów fortepjanowych dolatywały przez podłogę, śpiewane z uniesieniem przez nos, wokalizy. Pierwsza fraza była zawsze bohatera, druga—już cichsza i liryczna, przy trzeciej występowało chrząkanie, czwarta urywała się w połowie. . . . Słyszałam słowa “breakfast ready,” trzask wieka, później otwieranie i zamykanie drzwi od stołowego pokoju. Następne w ciągu dnia sygnały istnienia Mr. L. pojawiały się o godz. pół do czwartej popoł. w postaci gongu na herbatę, który to dźwięk oznajmiał, że Mr. L. wkroczył w progi domu i zasiadł z wyciągniętymi nogami w swoim fotelu przed kominkiem. Należało wówczas schodzić do sitting-room’u. Mr. L. siedział tyłem do drzwi i nigdy w stronę osób wchodzących głowy nie odwracał. Kwestja powitania została otwarta: można było mówić “dzień dobry,” albo nie. Następował obrządek herbaty, ożywiany przez Mrs. L. uwagami o pogodzie. Mąż jej—wielki, czerwony na twarzy—pił i jadł w



milczeniu. Jeżeli jednak musiał się do nas odezwać, robił to z nieśmiałością. Do żony mówił "my pet," ona odpowiadała "my love." Śmiał się cienko i dziecinnie. Po odstawieniu filiżanki, spuszczał głowę, przymykał oczy. . . . Mrs. L. wtedy szybko wynosiła tacę, wracała, brała robótkę i swemi bardzo wymownymi oczami dawała nam do poznania, że nastął czas prywatny pana L.

Godzinę pół do szóstej poznawało się po tem, że na dole podnosił się nagle i szedł w górę po schodach—głos. Głęboki, barytonowy, wibrujący. Człowiek najmuzykalniejszy nawet nie zdołałby tego śpiewu zanotować muzycznymi znakami. Były to dźwięki bez melodji i bez rytmu. Nie zawierały również żadnych słów, tylko zwycięskie "ho-ho" we wstępującej kadencji. Znaczyło ono, że Mr. L. idzie się golić do łazienki. Na progu takowej głos ustawał. Przy komunikacie radjowym o 6-ej Mr. L. asystował już ogolony. O w pół do siódmej znikał. Ustrojony w szkocki szalik i w palto inne, niż do garażu, udawał się do "Mitre," gdzie w towarzystwie ajenta od ubezpieczeń i komiwojażera firmy elektrotechnicznej, spędzał—podobno—wieczór nad kufelkiem piwa. Wracał już po naszej kolacji. Zjadał w samotności osobną, potężną porcję mięsa (kartki kobiet domowych składały się na nią), poczem stawał na chwilę w progu sittingroom'u. Czerwieńszy, niż po południu, z blademi, błyszczącymi oczami, pochylał głowę i operowem parlandem—wysoko, jasno—mówił "good-night."

Po pewnym czasie stosunki nabrały poufałości i Mrs. L., oświadczyła mi swoje szczęście z tego powodu, że Mr. L. dobrze znosi naszą obecność w domu. Wyraziłam powątpiewanie, czy człowiek tak spokojny mógłby cokolwiek źle znosić. Mrs. L. odstawiła wtedy rondel, który trzymała w ręku. . . . "I hope you will never see him in a temper"—westchnęła. Miesiące toczyły się za miesiącami. Darmo czekałam, by poranne ćwiczenia wokalne doprowadziły kiedykolwiek do produkcji muzycznej—było to zawsze tylko strojenie instrumentu, a srogie "ho-ho" przed goleniem również nigdy nie rozwijało się w arję.

— Czemu Mr. L. nie zaśpiewa kiedy naprawdę?—pytałam.

— O, jest zanadto zmęczony—odpowiadała Mrs. L.

— Jednak codzień ćwiczy. . . .

— Za swej młodości brał lekcje. Musiał je przerwać, zanim przystąpił do opracowywania repertuaru. Ale zawsze, oczywiście, dba o to, żeby głos nie zardzewiał.

"Temper" zatem pana L. do tego stopnia wydawał się niewybuchowy, że nie kusily go nawet pieśni, mimo trzydziestoletnich wokaliz. Jednak w chwilach, kiedy — wkraczając do sittingroom'u na herbatę—wahałam się, czy mówić "dzień dobry," od centralnego fotela wyraźnie promieniowały jakieś niepokoje. Wyraźnie pan domu przygotowywał się na cios

tego obcego "dzień dobry" i bał się również, że ono nie zostanie powiedziane. Ale taki moment szybko bez śladu przemijał.

Nadeszło Boże Narodzenie. Kilka minut przed wieczerzą wigilijną zjawił się niespodzianie mój syn. Pan L. w tej porze oczywiście był w "Mitre." Kiedy wrócił na swoją zwykłą porcję mięsa z cebulkami, zrobiłam smutną minę, mówiąc:

— O, Mister L., wielkie mnie spotkało nieszczęście! Sądziłam, że Mr. L. w miarę się zadziwi, w miarę przejmie, a przede wszystkim usłyszy śmiech w moich słowach. Jak że przeceniłam jego normalność! Cały ten wielki tułów, opancerzony automatyzmem, przybrał wyraz grozy. Golem o byczym karku i czerwonej twarzy zachwiał się, zbladł . . . Ledwie zdołał wyjąkać:

— Co się stało? Co?

Od tamtego wieczora z większą, niż dawniej, uwagą przyszłuchałam się porannym ćwiczeniom. Jakież niepokój, jakie pasje musiały wrzeć w łonie tego manjaka regularności, jeżeli na sam dźwięk słowa "nieszczęście" przeistaczał się w postać melodramatyczną! Dreszcz mnie przeszedł na myśl o jego współczuciu; czuło się, że opieka, jaką by nad nieszczęśliwym roztoczył, byłaby drapieżna. Ale nic podejrzanego nie usłyszałam w wokalizach. I tak minęła zima.

Była już wiosna, kiedy wdałam się niechcący w sprzeczkę z Mr. L. Wróciłam była właśnie ze spaceru, jaskry zaległy łąki, na pantoflach osiadał żółty pył, pod niebem wrzącem od nieprzyjacielskich przelotów krowy tęsknie po dawnemu ryczały, przyroda wszczyniała doroczne kokieterje i pewien rudowłosy spaniel przywitał mnie machaniem ogona najpochlebniejszym z przyjaznych. Pod tem właśnie miłem wrażeniem powiedziałam w obecności pana L.:

— Przepadam za psem tej pani z przeciwnika. Cóż to za przesłiczne stworzenie! Pan L. zwrócił ku mnie głowę, zazwyczaj tak leniwą, szybko, jak za dotknięciem prądu elektrycznego. Później rozejrzał się po pokoju wzrokiem osłupiałym.

— Pies z przeciwnika? Jaki pies?

— Spaniel pani Brown. Nick.

Mocno pociągnął z fajki Wyglądało na to, że rozmowa między nami skończona; pani L. zagadnęła właśnie, czy w oknie u kupca nie widziałam sardynek, kiedy pan L. z wielkim trzaskiem przesunął swój fotel.

— Nick może jest stworzeniem przesłicznym—rzekł.—Ale Nick jest stworzeniem nieznośnym.

Krople potu lśniły na czole pana L.

— Cóż on robi nieznośnego?

Zerwał się z fotela.

— Co robi? Wszystko co chce! Pani Brown pozwala mu na wszystko!



— Przecież to jest “pet” pani Brown. Poto się ma ulubione stworzenia, żeby komuś na wszystko pozwalać.

Dziwne po mojem oświadczeniu nastąpiły sprawy. . . . Mr. L. wyrwał fajkę z ust, żyły mu na skroniach nabrzmiały, chciał mówić, oczy czerwono rozblęły, później pokryły się łzami. Mruknął “yes, he is her pet” . . . machnął ręką i uciekł z pokoju. Bardzo blada, pani L.—za nim. W saloniku został ze mną tylko młody L., syn.

— Proszę się nie przejmować—wzruszył ramionami—Daddy is a funny man. Pani Brown pozwala rzeczywiście Nickowi wszędzie się włóczyć, więc pies wpada ludziom pod nogi. Raz mało nie wpadł pod samochód. Daddy był przy tem i tak się rozgniewał, że strzelił do niego, ale na szczęście nie trafił. A potem była kłótnia z panią Brown i Daddy powiedział, że “people who spoil their pets ought to be smacked in public.”

Uprzytomniłam sobie, że Mr. L. do żony mawia “my pet,” a ona odpowiada “my love.” Zdjął mnie śmiech. I żal.

Niebawem na schodach dało się słyszeć zwycięskie “ho-ho” —pan L. wcześniej niż zwykle kroczył do łazienki. Próg tejże skrzywnął. . . . O, dziwo—głos nie umilkł. “Ho-ho” wstępowało dalej, w coraz wyższe rejony, nabrzmiało potęgą, drżało z tęsknoty, łagodniało—nareszcie urastało w pieśń. Mrs. L. porwała się od kosza z bielizną. . . . Z ręką na piersi, patrząc w sufit, słuchała. Krew znowu odpływała z jej twarzy.

Mr. L. urwał na wysokiej nucie niedołożnie, jak na pękniętej strunie. Dopiero wtenczas pani L. siadła. Opuściwszy ręce wzdłuż sukni, dobrą chwilę oddychała głęboko.

— On nie powinien—powiedziała wreszcie—to zanadto męczy.

Cisza napływała falami. Mrs. L. uśmiechnęła się—kryzys minął. Wieczorem tego dnia stałam w oknie. Gwiazdy jasno świeciły, wilcze łyko pachniało, jak w Kaźmierskim wąwozie. Było smutno i pięknie. Tak smutno, tak pięknie, że zacierał się porządek świata, przedmioty widziane zdawały się słyszanymi, sprawy kiedyś dawno słyszane, lub czytane wyglądały spośród drzew i chmur, srebrne od tego samego księżycy, który teraz oświetlał prawdziwą, senną wioskę.

Patrzyłam na ciszę, słuchałam srebra, czerni, złota i umarłych głosów. Po chwili na niebie wszczął się ruch. Gwiazdy zaczęły dążyć w różne strony. Nie zdziwiłam się; jednak czerwone i zielone punkty, latające wespół z gwiazdami, uświadomiły mnie, że to noc wojenna i że nie Bóg te gwiazdy porusza. Rakiety rozjaśniły horyzont. Zgasły. Niebo znieruchomiło. A kiedy zapach znów owładnął powietrzem i słodycz wiosenna zdawała się powracać, łoskot wstrząsnął ziemią. Nastąpiła serja wybuchów. W minutę później przemknęły ambulanse.

W domu była cisza. Mr. L.—na piwie w “Mitre,” Mrs. L.

cerowała przy kominku. Wtem na dole skrzypnęły drzwi. Wyjrzałam przez barjerę schodów. . . . W smudze blasku księżycowego stała w przedpokoju sąsiadka. Widywałam ją codziennie—osobę płaską o okrągłej twarzy, okrągłych oczach, starannie ubraną w tweedy, jak strzygła i muskała swój trawnik.

Kiedy, przechodząc, zagadywałam do niej, odrywała od ziemi spojrzenie nie mniej chłodne i syte, niż żujące krowy. Teraz ta osoba, uczepiona klamki, drżała, a po jej okrągłej twarzy lzy lały się strumieniem.

— Ja zaraz pójde. Proszę nie mówić nikomu. Rzeczywiście cofnęła się za próg. Poszłam z nią. U furki jej ogrodu ścisnęła mnie za rękę, obróciła się gwałtownie, jakgdyby chcąc uderzyć, czy upaść w ramiona.

— Jak pani pomóc ?

Milczące usta zastygły w półotwarciu i krzyk z nich nie wybiegł. Po dobrej chwili zelżał uścisk dłoni, ta pani złapała dech i odpowiedziała cicho :

— Przestraszyłam się czegoś. I am very sorry. To było bardzo głupie.

Znikła za furtką.

Wracałam sama i stanęłam u drewnianego kołowrotu w przejściu na łąki, żeby zaciągnąć się pachnącą wilgocią. Gałęzie nieobrosłe jeszcze liśćmi rysowały po niebie szyfr odwieczny bez klucza.

Teraz przestraszyłam się i ja.

Odwróciłam głowę w kierunku domu państwa L. . . . Dach lśnił w księżycu. Za nim drugi, trzeci. . . . Identyczne dachy identycznych domów z identycznym spokojem wokół rodzinnych kominków.

Na asfalcie zadźwięczały kroki. . . . Mr. L. wracał z "Mitre" na mięso z cebulkami. Przechodził i zobaczyłam jego twarz wzniesioną. Oczy szkliste z lęku i obnażone zęby. Szedł, z wysoka stawiając nogi, zapatrzony w księżyc, szedł nie jak do domu, lecz jak w zatracenie.

Szarpnęła się pamięć. . . . Któż to ? gdzie ? chodził już tak w nocy po Anglii ? Z takim uśmiechem biednym i okrutnym ? Ach. . . . Heathcliff! Nieszczęśliwy zły Heathcliff, przybłąda i pan domu na "Wuthering Heights," zakłócający miłością sen cmentarny złej Kasi—swojej niepochwytnej kochanki.

I nagle cała Anglja odśloniła mi się jako uroczysko, po którym duchy—śpiące za dnia w głębokościach ciał—chodzą po nocy, przerażone i sobą i ciałem. Niewyżyta miłość, pieśni niewyśpiewane, niewybuchły gniew, tajemnice, które światła dziennego nie cierpią—snuły się między drzewami, przenikały mury, płosząc sen sprawiedliwych.

Poczułam, że okrąglooka sąsiadka za swojemi tak szczelnemi drzwiami płacze ze strachu przed własnym krzykiem, który nabrzmiewa i kiedyś wybuchnie z jej gardła. Czułam, że



grzeczne dzieci, które nie hałasowały i nie biły się w ciągu dnia kopią we śnie niewidzialnych wrogów, że sportowcy omdlewają w śmiertelnych uściskach syren, że Mr. L. wyciąga drżącą rękę do piersi Mrs. L. i cofa ją, zaciśniętą w pięść, a pani L. prosi szeptem! „uderz mnie, albo zaśpiewaj dla mnie, tylko dla mnie” . . . że identyczne dachy identycznych domów unoszą się, jak kapelusze na zjezonych włosach . . . i że zła Kasia wstaje z darniowego grobu, by iść w ramiona niedobrego Heathcliff’a.

EUGENJUSZ CĘKAŁSKI

## OSTATNIA JESIEŃ

### SKOK PRZEZ WOŁYŃ NA PODKARPACIE

Ale zmrok już zapadł, gadanie o Anglii miłe—a przecież pora wyrzecz czemu Franek nie przyjeżdża. Zwykle się zjawiał, żeby auto do miasta na noc odprowadzić. Wyjdę na szosę, popatrzę, pewnie po ciemku nie może trafić. Na ścieżce koło szosy dwie postacie uginają się pod brzemieniem waliz i paczek. To Maciuś i Franek. Co się stało? Jedziemy, bo Niemcy Zamość zajęli. Aż nas zatkało ze zdziwienia—jako—dopiero byli za Wisłą—już Zamość? Godzinę drogi stąd. Mogą być lada chwila. Trzeba wiać. Ale jak? Radzę na Hrubieszów. Ale na Hrubieszów drogą przez Zamość. Chyba żeby spróbować na Chełm. Nic nie rozumiemy—podobno Brześć zajęty. A więc przez te parę dni otoczyli nas zewsząd. Trudno, trzeba pchać się nocą na Wołyń—dalej zobaczymy. Krasnystaw będzie się bronić, ale kto tu się obroni—pułkownik Gumowski i stu żołnierzy? Nie ma żadnej armaty. Kazali nam jechać za M. S. Wojsk—mówi Franek. Generał nadjeżdża, ruszamy w noc w stronę Chełma.

Dziwne właściwie co się na tej szosie dzieje. Pędzą z rykiem w ciemności czarne potwory w różne strony—jedne z nami, inne przeciw nam. Tanki czy ciężarówki trudno rozemnić. Okazuje się, że nasz generał przywiózł ze sobą porucznika Krzakowskiego z Komendy Placu w Krasnymstawie i jeden dodatkowy zarekwirowany Fordziak. Fordziak pcha się przodem, kieruje nim jakiś szofer warszawskiej taksówki—bardzo zresztą niewprawy, co Franka jadącego z tyłu mocno denerwuje. Po paru niezręcznych zahamowaniach Fordziak nagle wali się w ciemności na tank czy ciężarówkę, zgrzyt żelaza i wymyślania—skutek taki, że Fordziak kulawy ze złamaną osią zostaje—szofer dobrze sklęty też, a porucznik plus wielka waliza przenoszą się do nas. Jest nas teraz 6 osób, bania z benzyną, waliza okrętowa generała i inne walizy, więc siedzimy jak akrobaci, jeden na drugim, nogi w górze, ciemno i tylko Franek klnie raz po raz, wyprzedzając kolumny samochodowe i pancerne. Maciuś tutejszy człowiek więc drogę tłumaczy, a w tem czarnem piekle łatwo zbłądzić, niech tylko Franek małe światełko zapali zaraz wrzeszczą mijający nas żołnierze. Ale nie długo się tak męczymy, bo wkrótce luna ognia rozświetla nam drogę, Chełm się pali, leży wśród spalonych chat czerwony z łuny szkielet niemieckiego bombowca. Płomienie tańczą po dachach i ulicach, oświetlają biegających czarnych ludzi. Zatrzymujemy się, żeby „zasięgnąć języka”—wracają nasze szarże z nowinami, że w Komendzie Miasta Niemcy—lotnicy siedzą i nie chcą przyjąć jedzenia—bo powiadają, jutro tu nasi przyjdą, to nas nakarmią. Droga na Hrubieszów podobno wolna, ruszamy dalej. Teraz lawirujemy znowu wśród dwóch przeciwnych strumieni ewakuacji—jedni się pchają na Chełm,

inni na Hrubieszów, nikt nic nie wie, tyle że Niemcy blisko. Noc trwa długo—ciemno choć oko wykol, nie śpimy, przeciwnie trzeba gadać, żeby Franek nie usnął. Droga zła, rozwinąć szybkości nie można, manewrowanie wśród kolumn ciężka sprawa. Raz po raz tabory wozów powolnych blokują drogę. Zeskakujemy, błyskają latarki, krzyk, ktoś kogoś ruga, robi się porządek i dalej. Śpią na wozach zakutani w płaszcze żołnierze. Czasem z ciemności wyłoni się nagle huczący tank, trzeba mu drogę robić, jeden skrobnął nas łańcuchem, odrzucił, Franek hamuje i patrzy czy aby nie ma jakiej szkody—nic tylko podwozie i błotnik pocharatane. W Hrubieszowie gwałt, każą nam mijać rowy przeciwtankowe—kopie się te rowy w pośpiechu po nocy. „Trzeba tworzyć punkty obrony wszędzie“—powiada generał. Pchają nas teraz na Włodzimierz Wołyński i zwolna wstaje świt wrześnieowy, leniwy i mdły, zimno, Frankowi ręce na kierownicy mdleją, ale się trzyma. Dziesięć godzin jazdy nocą, a poprzedniej nocy też nie spał, miał służbę. Ale nie czas myśleć, bo we Włodzimierzu piekło, wałą jak nieprzytomne kolumny wozów i autobusów, koni i pieszych, cóż to za panika, czyżby nam Niemcy po piętach leźli? Wygląda tak. O 5—ej rano gorączkowe jakieś przygotowania—setki ludzi kopie rowy na szosach i uliczkach, a żołnierze leżą w kartoflach przy maszynkach, inni pośpiesznie montują artyleryjskie posterunki.

Z tego też powodu kierują nas wszystkich—całą wędrowkę narodów—w bok od szosy przez kartoffiska. Wałą autobusy i limuzyny po miękkiej ziemi, koła się w piachu ryją, kurz oczy zasypuje. Więc, że auto obciążone Franek każe nam zejść, sam z Maciusiem został, mamy go dogonić na szosie i jak skoczył—motorem się chce pochwalić widocznie—ryknął, piaskiem sypnął, w kurzu i chmurze ziemi czarnej znikł nam z oczu. Jest pośpiech, idziemy za nim—napół biegnąc. Roztrzacają nas auta i motocykle, piasek sypie nam w oczy i gubimy się. Nie widzę reszty—majora, generała, porucznika. Więc wyciągam nogi jak się da, żeby mi nie uciekli—poraz pierwszy w tej wojnie czuję na sobie zimne łapy strachu—żeby w tej szalonej ucieczce przez pola nie zgubić się—nie zostać gdzieś w tyle.

Ranek chłodny, z chat wyłazą zakutane w chusty i kubraki postacie—patrzą na nas wrogo i obojętnie. Idę tak w tym kurzu 3—4 kilometry, rżyska, kartoffiska, ryczą mijające pieszych maszyny, a Franka ani widu. Wali jak gong serce—kurz zatyka oczy i usta. Ale mijając jakieś szare od brudu i kurzu postacie, nagle poznaję w nich znajomych z Warszawy i z Kohorty. Wałą boso i brudni—piechotą od Lublina—Meller, kierownik produkcji i B . . . —ten sam, który nam kiedyś film denuncjował, że żydowski i który się tyle razy zachłystywał nacjonal—socjalistycznym entuzjazmem. Wieje teraz przed bratnią ideologią. Żal mi ich. Auto zostawili, minami nadrabiają, podobno gdzieś przed nami jedzie Lipiński z Benitą i na wozie są ich rzeczy.

Ale trzeba gnać, żeby się nie zgubił mój Franek. Łąduję wreszcie na skrzyżowaniu dróg i tam stoi rzeczywiście nasza maszyna. Franek zdenerwowany—gdzie inni? Wszyscy nas minęli—policja i wojsko uciekinierów rozgania. Leżą w krzakach szare posterunki karabinów maszynowych, a za ogrodzeniem pośpiesznie montuje się działa.

Czekamy kwadrans, 20 minut, Franek robi się szary z niepokoju. Gdzie generał, major i porucznik? Nawet gdyby kuleli dawno by nadeszli—nikt już nie idzie, a Niemcami już pachnie, bo detonacje słychać. Czy idą tanki, czy samoloty—kto to wie. Zaczyna się nerwowe jeżdżenie po mieście—Franek się gryzie, ładna heca—szefa w kartoflach zgubił. Więc i do Komendy Miasta i do policji—ale gdzie tam. Miasto zresztą jest oblakane—wszyscy kopią rowy lub też graty na wozy pakują. Jest 15 września rano. Drugi tydzień wojny i Wołyń się ewakuje—złe. Radzę Frankowi—jedyna rzecz—jechać za miasto, może będą w kolumnie piechurów, może inną drogą poszli. Jedziemy ponurzy—nie wolno nam wiać, musimy



generała odszukać. I jest rzeczywiście—idzie w kurzu i zziajany, krótkie nóżki wyciąga. Ależ klnie nas i Franka sztorcuje na czym świat stoi.

Franek, milcząc z wojskową pokorą, ciosy przyjmuje i robi co się da, aby nadrobić czas i kolumnę wyprzedzić na prostej szosie do Łucka. Gnamy jak strzała, zręcznie omijając niekończące się sznury pojazdów. Mijamy potraskane bombami pociągi—wreszcie lądujemy w jakimś parszywym miasteczku żydowskim—nic jeść dostać nie można—popijamy niedojrzałe jabłka wodą ze studni i piwem zakwaśniałem.

Zastanawiam się co teraz—mam tu przecież gdzieś blisko ciotkę w nadleśnictwie pod Ostrogiem, studiuje mapę, liczę żeby tam stanąć. Niech oni sobie gonia M.S.Wojsk—nie wierzę, żebym w tym bałaganie odnalazł filmowców, czy dostał się do wojska. Lepiej zaczekać. Ale do ciotki droga daleka—trzeba do Dubna w bok skrócić. Prawie się decyduję, że jadę tylko do Dubna. Mam już dosyć towarzyszy—drażni mnie ta ciągła nuda nieprzyzwoitych słów i politycznych uwag pozbawionych sensu. Lepiej już sobie z Maciusiem gdzieś wysiądę—bo Maciś też nie myśli o Francji (bo słowo „Francja“ padło właśnie—groźne i wspaniałe)—Maciś myśli o aptece w „Wiśniowcu pod Zbarażem. Może go na aptekarza do wojska wezmą, spodnie wojskowe i buty wiezie ze sobą. W ten sposób radząc dojeżdżamy do Łucka—niebardzo zbombardowany, pełen ministerjalnych radców—za miastem antenę nieukończoną widać—Polskie Radio stację nową buduje. Kupujemy gazetę—tak, w Łucku jest gazeta—wstyd tak wiać—Westerplatte, Hel, Warszawa bronią się, pod Lwowem Niemcy.

Czemu się to wszystko stąd ewakuuje na południe, po co ta masowa wycieczka w stronę Rumunii? Nikt nie wie. Ale przecież to już tydzień prawie, jak senator powiedział mi w Lublinie—Tarnopol, Stanisławów. Major Szelaż, strateg wielki, oblicza nowe trójkąty obrony—tym razem malutkie—Polésie, Bug, Rumunia.

W Łucku udaje nam się dostać obiad i dowiedzieć się, że Rząd w Krzemieńcu i że Krzemieniec zbombardowany. Dwa razy gnają do schronów, a syrena za restauracyjnym oknem ustawiona wrzeszczy jak nieprzytomna, uszy pękają i nigdy nie wiadomo czy to alarm, czy odwołanie.

Przecież nie spaliśmy w nocy—postanawiamy, jedziemy na Dubno—może się po drodze w lesie można będzie przespać. Jak ten Franek daje radę—sam nie wiem—szesnaście godzin bez snu przy kierownicy.

Wołyń jest piękny! Pachnie wschodem i Rosją ta ziemia falista i kolorowa. Jedziemy, Franek prawie zasypia i bardo się raz po raz kłóćmy gdzie stanąć na drzemkę. Łaski po drodze śliczne—ale generałowi dogodzić trudno, więc zamiast w bok skrócić, staje wreszcie w środku wioski, auto wciągamy na zboczce wąwozu, sami pod krzaki. Bardzo tu źle, szosa huczy, takich jak my dużo. Samoloty latają i widać nas z góry jak na dłoni. Przychodzi sierżant lotnik i kiedy po krzakach przed niemieckim karabinem maszynowym kucamy—krzyczy, że to nie 1920 rok, że paskudne miejsce sobie wybraliśmy. Ale nie mamy już siły się przenosić. Generał od chłopaczków wiejskich wodę i miednicę dostał, ściąga kalesony, chlupie się jak duża biała ryba. Inni zajadają chleb z kielbasą i piją mleko. Franek zwałił się na ziemię jak zabity, zielony jak ten mundur na nim—i śpi. Wreszcie wszyscy śpimy. Budzi mnie po godzinie brzęczenie pszczoły, ryk krów, powiew gorącego wiatru. Sen w trawie w upalny dzień jest jak kąpiel w gęstym miodzie. Nie wiem gdzie jestem—turkot samolotu przypomina wojnę i przygodę.

Teraz następuje wielkie ziewanie i kaszlanie i zbieranie się do dalszej drogi, żeby w Dubnie przed nocą dostać kwaterę.

Dubno okazuje się rozległym miastem, parterowe domki i kocie łby. Tłoczno bardzo, bo bez przerwy walą jakieś kolumny. Jest ciemno—siadamy na ławce przed domem—czekamy kiedy Franek i generał wrócą z wywiadowczej wycieczki. Tubylcy zaczynają rozmowę. Wypytyują się co

się właściwie stało—gdzie są Niemcy, dlaczego rząd ucieka. Tłumaczymy im w powadze i z wiarą, że jest wszystko w porządku, że opór jest znakomity i wciąganie Niemców w głąb kraju to manewr. Przeszkadza nam w tym dodawaniu otuchy, Krzakowski, który bez przerwy lamentuje—a to, poco z Warszawy wyjechał, zostawił żonę z dzieckiem, pod bombami—a to że w Krasnymstawie wziął Fordziaka—tyle bezpańskich Chevrolet'ów—Fordziak się skończył i on teraz musi być na naszej łasce. I dokąd właściwie jedziemy? Zadają sobie to samo pytanie i rajcują z Maciusiem, jakby tu skoczyć pod Ostróg do ciotki do Nadleśnictwa i tam czekać. Ale major radzi mi znowu, żeby z nim, że właściwie zaprzyjaźniliśmy się—niech sobie tamci jadą—my zostaniemy we Lwowie lub Stanisławowie—mam tam przyjaciół. Znowu w godzinę później na prowizorycznym noclegu generał wyraża mi i Franka na sztabową konferencję. MSWojsk jest podobno w Tarnopolu, jedziemy tam, ale tego aptekarza i majora niema sensu wozić. Maciuś chce zostać w aptece w Wiśniowcu. A major? Franek na to: Major jest stara oferma i ślepy, pcha się nie wiem poco, nikt go do wojska nie weźmie, wogóle powinien był w Lublinie zostać. Ale major, że był w II Oddziale, chce dalej bić się i uważa, że go Niemcy będą męczyć, gdyby został. Mówię o tem, że mam dosyć jazdy i że wolę zostać tu niedaleko u ciotki. Franek bardzo się oburza—na samej bolszewickiej granicy—a gdyby tak—no to co myślę sobie, ty się boisz bolszewików, boś ich w 1919 strzelał, ale ja, ja nie mam powodu. Ale bezwład decyzji, która wymagałaby albo pójścia piechotą, albo szukania wózków, porzucenia auta—gdzie mamy wszystko—rzeczy, benzynę, broń—powoduje, że przestaję myśleć o ciocie. Pchamy się dalej następnego ranka, podziwiając, że gdziekolwiek dojeżdżamy wszędzie ewakuacja. Polska zwija się jak rulon papieru. Czujemy już, że pachnie to klęską. Ale nosy do góry—gazu i jazda.

Następny postój to Krzemieniec—miasto Słowackiego. Poraz pierwszy widzę tę oazę białych kamienic nad srebrną rzeką w ciemnozielonym wąwozie. Przykry to jednak widok, bo wśród miściny żydowskiej, zmiażdżone bombami, podpalone rudery—był tu rząd i dyplomacja, bardzo napsuli Niemcy ludzi i budynków. Na górze Bony stoi loppiarz z trąbą i czeka na naloty. Jest alarm jeden i drugi, ale bez bomb. W cukierence dają jeść i pić, ceny trzykrotne. Siedzi jakaś Żydówka z Łodzi—bandaż krwawy na ręce—szła piechotą, kiedy ją lotnik kulami poczęstował. Znamy się na wojnie, więc tłumaczymy jak powinna opatrunki zmieniać.

Podjeżdżamy teraz do Wiśniowca—małej dziury z historyczną hipoteką. Wzruszające rzeczy dzieją się tutaj—bo oto zasmarkane i brudne żydowskie dzieciaki, widząc mundury wołają „niech żyje Polska“—dają nam kwiaty i jabłka, nasze mundury odsalutowują z godnością—jabłka są kwaśne i bez smaku. Tu właśnie siedzi aptekarz naszego Maciusia—stajemy na rynku—Maciuś w aptece pogadał—wraca, tak aptekarzowi potrzebny asystent—Maciuś zostaje tutaj—bierze walizę—nam oddaje swój koc i spodnie wojskowe. Żegnamy Maciusia z żalem—głupi chłopak, ale poczciwy—na jego łysej i bezbarwnej głowie występuje zaróżowione wzruszenie. I odjazd. Został Maciuś u pana aptekarza i niewiadomo co go czeka.

My tymczasem (o ileż luźniej w aucie)—kierujemy się na Sienkiewiczowski Zbaraż—trzeba brnąć po bocznych drogach—serpentynty gliniastych traktów pokonywać. Przypomina się Horodenka—znowu słonecznikowe zagony, chaty czysto bielone i dzieciaki w wyszywanych czerwono koszulach. Ukraińcy. Ledwieśmy zdążyli zacząć wojnę i już jesteśmy na terytorium etnograficznie obcym. Ukraińcy stoją koło chat—patrzą na jadących Panów. Pewnie pamiętają dobrze pacyfikacyjne metody warszawskiego rządu.

Zbaraż jest wesoty i spokojny. Nikt tu bomb, ani samolotów nie widział—w sklepie spółdzielczym kupujemy chleb, papierosy i dziesięć butelek soku żórawinowego „Sana“: I jazda na Tarnopol. Duże miasto



—przy torze kolejowym świeże ślady bomb, ale pozatem raj na ziemi—jeść można i ludzi niedużo, a o ewakuacji jakoś tu się nie myśli.

Stajemy na rynku i generał daje nam rozkaz „nie opuszczać auta“. Zawsze był ważny i tajemniczy, aż cholera brała, ale tym razem, gdy odchodził poprosiłem o pozwolenie pójścia na miasto—chce poszukać mojego senatora, a nuż jest robota dla mnie. Dobrze—ale 30 minut ani sekundy więcej—zrozy się generał i biegnie do DOK. Idę do województwa—nic o moim senatorze nie wiedzą—był tu, ale pojechał dalej. Wogóle w województwie czuć spalenizną i w powietrzu unoszą się szczątki spalonych papierów. A więc jednak i tu szykuje się ewakuacja—marny los—pozorny spokój nie wiele znaczy.

Wracam na rynek punktualnie w 30 minut i generała jak nie ma tak nie ma. Za to jest alarm, lecą nisko Heinckle i chowamy się po żydowskich sklepikach. Słychać detonację, ale po 15 minutach spokój. Koło naszego auta zebrała się grupka gapiów, z pompy na rynku bierzemy wodę do mycia i picia. Znajduje się jakiś lotnik-sierżant i obserwując samoloty zaczyna przemowę do przechodniów. Twierdzi, że wczoraj czy przedwczoraj był nad Berlinem, rzucał bomby i że spotkali w powietrzu Anglików. Opowiada jak Berlin poniszczony, jak ich było 40 czy 50 maszyn, jak nad Warszawą setki Niemców strącono—szczegóły lotu i wszystko—o tem jak jego kolega stracił 30 maszyn, a on 10—słuchają wszyscy, serce się raduje: Franek jednak ma wątpliwości—to napewno łazik, lotnik co po ziemi chodzi, nie ma przecież wcale odznaki latających.

Generał taki był srogi, żeby nie odchodzić, tymczasem sam przez 2 godziny nie wraca—dopiero wreszcie po południu zjawia się w towarzystwie jakiegoś pułkownika—powiada nam co wybadał—że MSWojsk, a właściwie Departament Uzbrojenia był tutaj, ale pojechali na Zaleszczyki—z pogardą oświadcza mi, że mój senator i propaganda są też koło rumuńskiej granicy—że my jedziemy za nimi że wystarczy nam o przepustkę, bo z Tarnopola nie puszczają, nie chcą robić tłoku na Podkarpaciu—nareszcie jakaś kontrola w tym powszechnym ewakuowaniu—ale że my (co mu się bardzo chwali)—zanim pojedziemy do Zaleszczyk, najpierw mamy jechać do fabryki chemicznej w Wygodzie koło Doliny, dobrą setkę kilometrów na zachód—w stronę frontu—bo trzeba sprawdzić co się dzieje w fabryce, on jest jej szefem. Wyjeżdżamy więc za miasto zaopatrzeni w pieczętowane papiery, nie ma jakoś tłoku na szosach, posterunki do aut zagładają, skręcamy na zachód i na wiecór jesteśmy w Buczaczu, gdzie na rynku stoi majestatyczny ratusz, cudo polskiego renesansu i rajcują gromady Żydów. Tam w mieszkaniu jakiegoś mieszczanina, który starą głowę nosi dostojnie, oczy ma pełne łez i synów na froncie wspomina, jemy jajecznicę, słuchamy radia.

Z rosyjskich i niemieckich komunikatów kształtuje nam się obraz sytuacji. W Lubelskiem walki na całego, Warszawa otoczona bije się dzielnie, wojska zachodnie przedzierają się ku Warszawie od Łowicza, na północy Niemcy pod Białymstokiem i Grodnem, Lwów otoczony, Borysław i Drohobycz wzięte. Rząd i Naczelne Dowództwo w Zaleszczykach i tam walą bomby. Zmęczonym, ochrypniętym głosem na coraz nikszej fali Warszawy II, odzywa się Starzyński. Radzi i opowiada o bombach i szpitalach, apeluje, rozmawia, jak ojciec do dzieci, które są w niebezpieczeństwie.

Ale fala ta milknie głuszona hałasem niemieckich brzęczyków.

Jedna rzecz jest już dla nas oczywista, że Polska broni się zajadle, a Rząd i Śmigły schowali się na samym krańcu kraju—w zaleszczyckim Ultima Thule.

Dobrze, że nie jedziemy już z prądem ku Rumunii. Dobrze, że mamy jakieś zadanie, przebić się na zachód do Wygody, zbadać, co z tą fabryką węgla drzewnego. O oddzieleniu się od auta mowy już niema—generał jest dowódcą, a my czterej jego podkomendnymi. Jedziemy pustemi drogami, jestem teraz o parędziesiąt kilometrów od Horodenki, miejsca, skąd wyruszyłem w przedzień wojny. Mijamy zatłoczony Stanisławów, gdzie udaje nam się dostać części do auta, a ja podejmuję z P.K.O. 100 złotych, i kupuję sobie kurtkę na zimę. Major chciałby w Stanisławowie zostać, ale teraz wstyd zostawać, bo tu bezpieczniej—pojedziemy z nimi do tej fabryki. Drogi te nie znają uciekinierów raz po raz widać artylerię i piechotę, żołnierze narzekają, że jeszcze nie byli w boju, jedni cofają się na Rumunię, inni idą bić się na Lwów. Drogi raz po raz posiekane bombami. Jesteśmy w Kałuszu—sensacyjne nowiny czekają tam na nas—że Ukraińcy urządzili powstanie, że trzeba się pilnować, bo strzelają, do wojska i samochodów po wsiach, że w Drohobyczu był ukraiński rząd, ale wszystkich wywieszano, że Niemcy cofnęli się i Sosnkowski zniszczył w tych stronach brygadę tanków.

Więc jedziemy przez puste ukraińskie wioski pełnym gazem, każdy z nas trzyma w ręku karabin lub rewolwer gotów do strzału.

Wygoda wita nas pogodą, urokiem podkarpackich wzgórz, zapachem lasów. Fabryczka stoi cicho wśród gór, ludzie spokojni, weseli, życie tu się toczy bez zmian. Niemcy byli, latali, latali, nic nie rzucili i poszli. Fabryka dalej pracuje. Zostaniemy tu parę dni, odpoczniemy. Co za luksus, jedzenie, picie, kąpiel w wannie! Samochód też odpocznie—oczyszczony z okruszków chleba i kielbasy, wyprzątany pojedzie do garażu na mycie i remont—blacha pocharatanych błotników będzie wyklepana i wygladzona.

Jakże ciągną mnie góry i lasy. Jutro pójde na wycieczkę. Patrę na sunące nad górami chmury—gdy nagle rozróżniamy w nich rój drobnych punkcików. Zbliży się warkot, drży powietrze i ziemia—lecą Niemcy. Jest zachód słońca—pewnie wracają w stronę Słowacji. Lecą wysoko kluczami po 12, jak ptaki. Liczymy ich. Naliczyliśmy 120. Cały kwadrans warczały góry odgłosem motorów.

Wykąpani, najedzeni, pokrzepieni dobrymi wiadomościami z radia, siadamy do brydża. Humory dobre, wierzymy, że sukces Sosnkowskiego odwróci kartę. Jest noc z 16-go na 17-go września.

Idylla kończy się rano, kiedy po niedzielnym późnym śniadaniu zasiadam do radia, żeby się czegoś dowiedzieć. Moskwa mówi dziwne rzeczy o historycznej decyzji towarzysza Mołotowa i bohaterstwie naszej i czerwonej armii. Czyżby nam szli na pomoc? Ale oto inny komunikat! Wojska radzieckie dziś w nocy przekroczyły na całej długości granicę polską, niosąc wyzwolenie uciemnionej przez panów ludności zachodniej Ukrainy i Białorusi.

Treść tej wiadomości objawia się w całej swej brutalności dopiero po chwili. Rozbiór Polski. Czwarty rozbiór. Franek poszarzał—jedyna jego reakcja—machinalnie nerwowo powtarzał „a widzisz, twoja matka mówiła zawsze: Hitler się ze Stalinem zgadają, a myśmy nie wierzyli“. Generał zaperza się, nie wierzy, każe innym stacji szukać. Na dworze pogoda piękna—płyną nad zielonemi kopułami gór białe kremowe obłoczki. Polska ginie. Szczekają w wiosce psy, ktoś gra na harmonii—jest niedziela. W tej wiosce niema ani jednego żołnierza, nikt nie myśli o wojnie. Ot, niedziela, jak inną. Dyrektor fabryki, nasz gospodarz, pokrywa sztucznym uśmiechem, rozpacz serdeczną. Straciliśmy Polskę.

Ale przecież wojna trwa, biją się Francuzi i Anglicy i Warszawa raz po raz słabym głosem ogłasza, że się nie poddała. Wstyd zalewa nam oczy, że



nie jesteśmy tam—w swoich murach, w ogniu pod pociskami. Że nas ta wieść straszna chwytą na wilegiaturze, w górskiej ciszy, czterdzieści kilometrów od węgierskiej granicy.

Jedziemy do Rumunii, oświadcza General! Z radia już wiemy, że Rząd i Śmigły przeszli granicę. Idziemy za nimi, jedziemy do Francji—bić się za Polskę. Franek się sprzeciwia—nie przedostaniemy się. Jest 150 km. do najbliższego przejścia granicy rumuńskiej. Wpadniemy w ręce bolszewików. Jedyna rada jechać na Węgry. Na Ruś Podkarpacką i stamtąd na Budapeszt. W tej chwili chwytą mnie i Franka sztubacka jakaś gorączkowa myśl—i samochodem do Paryża. Zobaczysz—powiada Franek—samochoodem dojedziemy do samego Paryża.

A nasz gospodarz, i inżynier Szczepan, jego żona i syn? Zostają. Nie mają wrogów wśród ludności. Bolszewikom inżynierowie potrzebni. A my wrócimy tu napewno—i wróci Polska.

Rada w radę—że czekamy do wieczora, że jakieś oddziały będą się tędy cofać, że trzeba czekać na wojsko, że wreszcie trzeba nanowo ładować auto, pakować walizki.

Auto wyklepane i wymyte przez miejscowego mechanika staje przed domem nowe i wesole, a my, łykając łyż i niosąc w oczach zdziwienie niezmierne, składamy napowrót walizy, banie z benzyną, suche bochenki chleba, karabiny, naboje, koce.

Ludzie w wiosce nic nie wiedzą. Niedziela trwa. Przy obiedzie inżynier wyciąga wódkę. Milczenie. Porucznik pierwszy odzywa się—twarz ma trupią, makabryczną—teraz to już się Warszawa podda. Dosyć trupów, lepiej że bolszewicy przyszli. Ta wojna była na nic. Oburza się general, ale nic nie mówi, dłubie widelcem kotlet—major okiem bielmem zasnutem błysnął, skrzywił się strasznie—ale że Rydz przeszedł granicę, jaka hańba. Czemu nie zginął, jak Poniatowski. Zobaczycie, będą teraz bolszewików witać wszyscy, jak ulgę. Zły był Rząd. On był pilsudczykiem, ale już w roku 1933 się odsunął, bo zły Rząd. Każdy teraz będzie komunistą. A żydki się cieszą. Wogóle po tej wojnie świat będzie bolszewicki. A Franek: teraz już rozumiem, czemu żydki nie uciekali—czekali dranie na bolszewików—i znowu powtarza to dwa razy. A po obiedzie bierze mnie na stronę i szeptem do ucha: widzisz, mówiłem, to wszystko przez tę klikę—Prezydenta, synalków jego, Prezydentową—grali w karty, protekcje, nadużycia—tak, to klika Prezydenta—i na twarzy Franka pojawia się straszny uśmiech. Patrzę na to wszystko, jakbym oglądał skecz w Grand Guignolu.

Na dworze stoją wysokie różnobarwne zagony dali—kwiatów pełnych, dostojnych i smutnych. Chmurka na niebie stanęła w miejscu, potok szumi, pies szczeka. Ktoś zdala śpiewa ukraińską piosenkę. W nocy odjedziemy. Ostatnie to są nasze chwile w Polsce.

Noc niesie nam to, czego oddawna nie było—ulewny deszcz. Jakies przedmioty przy ładowaniu auta okazują się zbyteczne—spodnie wojskowe Maciusia na przykład—nikt z nas teraz już do wojska nie pójdzie—zostawiamy to wszystko u gospodarzy. Pożegnania. Deszcz górski siecze jak bicz. Jedziemy. Powoli, w ciemności, bez światel, wciąż jeszcze obserwując przepisy LOPP'u. Niedaleko ujechaliśmy. Za potokiem zatrzymuje nas jakaś latarka. Żołnierz, nasz, Polak. O coś pyta. Wyskakuje Franek z generałem, szepczą coś tajemniczo. Po chwili komunikują tajemniczo, że idą do władz wojskowych na konferencję. Zostaniemy w aucie. Deszcz bębni o dach, milczenie przerywane częstym wzdychaniem żalonym porucznika. Ciemno choć oko wykol. Ten postój budzi mnie ze snu, w jakim niby w gęstej mgłę dotąd byłem. A więc idą bolszewicy. Zawsze tak miało być—wojna światowa, a potem komunizm na całym świecie. Czy jest przed czym uciekać? Ileż razy okrutna i zła była Polska—kraj panów i policji i marzyło się o wyzwoleniu, o rewolucji. Staje się ona ciałem teraz.

Idzie. Lecz obraz jej już teraz inny. Krwawy pochod dyktatora. Wystrzelali generałów i rewolucjonistów. Zwodzi, jest imperialistą, jak inni. W Rosji niema wolności. A może to kłamstwo wszystko. Może jednak idzie od wschodu światło, nowy porządek, który wyzwoli nas z jarzma ohydny tego życia pełnego męki, obludy, wojen, szpiegostwa. Z męki załganych obyczajów, pustej frazeologii mieszczańskiego życia. Nie wiem, może moim obowiązkiem jest zostać. Iść naprzeciw tym, którzy niosą sztandar nad narodowy. Wolność . . . lecz nie, wolność kojarzę napewno, nie z maszyną sowiecką, bezlitosną i tępą i zardzewiałą dobrze przez 20 lat terroru. Wolność kojarzę z Zachodem, z mądrym uśmiechem Shawa, z myślą Wellsa, z mównicami Hyde Parku. Tam, w starych, zgniłych formach socjalnych tkwi więcej wolności, niż w całej ewangelii Stalina i Marksa. Tam wolność jest we krwi. Czy dojadę tam? Przedemną w deszczu stoją czarne góry. Za nimi południe, Bałkany, Afryka, tysiąc krajów i miast, obce i dziwne słowa, miliony niespotkanych jeszcze ludzi. Trzeba im wyjść naprzeciw z uśmiechem. Trzeba rzucić się w wir życia i kłębowski spraw—z wizją raz jeszcze umęczonej Polski w sercu. Zapomnieć—czy raczej uświadomić sobie lepiej to, co się stało, wytrwać, nie dać się, płynąć przed siebie i dalej żyć. Świat się cały rozkołysze lada dzień. Jakże pięknie płynąć po falach wzburzonych, żeglować póki sił starcza—szukać przystani i portu.

Wracają nasi wodzowie. Generał w wielkiej tajemnicy, pod słowem honoru, donosi nam, że się dowiedział, że wojsko tędy będzie iść na Węgry że my z nimi, że układ z Węgrami jest, że będą puszczać do Francji, więc jazda, ale że jest tu pułkownik Krajewski i my jedziemy z nim, więc trzeba zostać i czekać na jego instrukcje. Oni wrócą spać do fabryki, a ja za łącznika mam spać tu w kwaterze i jakby w nocy co, to ich alarmować.

Więc zabiera się z naszych zapasów dla pułkownika butelkę wina, talie kart i koc dla mnie na noc. Idę do kwatery. Franek wypręza się i melduje służbiście, pułkownik Krajewski wita nas zmęczonym wzrokiem niewyspanych oczu. W pokoju stołowym jakiejś mieszczańskiej rodzinie zgrabny jak lalka młody porucznik manewruje nerwowo przy radio i odbiera jakieś urywane telefony. Pułkownik tyknął wina, zaraz rozkłada pasjansa, mały i smutny, patrzy na nas bez wyrazu. Cofa się od 20 dni z pod Żywca, dzień i noc się bili. Kładą się ludzie pod maszyny, ciałem żelaza i motoru nie zatrzymasz. Teraz—skrzywił się pułkownik boleśnie—idą bolszewicy. I jest rozkaz—nie strzelać do nich. Westchnął strasznie—i wysłał mnie spać do sąsiedniego pokoiku. Jakby co—obudzą. Stoi w chłodnym pokoju czarny trup-fortepian—bielą się na nim jakieś stare numery Wiadomości Literackich. Nie będzie już tego pisma więcej. Czytam jakieś dziwnie przebrzmiałe—niby z zeszłego wieku—a jeszcze przed miesiącem aktualne Kroniki Tygodniowe i Camere obscure. Potem zawijam się w koc na zimnej posadzce i śpię. Deszcz huczy za oknem.

Ale w środku snu, niby w czarnej zasłonie ktoś czyni wylom—budzi mnie jakaś sylwetka w kalesonach i ze świecą, za nią żołnierz w pełnym bojowym rynsztunku—pochyleni nade mną. Świeca zatańczyła—już nie śpię, ale niebardzo wiem, gdzie jestem. Głos groźny pyta mnie, co tu robię. Tłomaczę coś mętnie—łącznik przy pułkownikowi. Jakim pułkownikowi? Ja każę pana aresztować, tu jest kwatera, telefon obok, kim pan jest? Żle i niedobrze. Nazwiska pułkownika Krajewskiego nie pamiętam, pewnie śpi obok—wyciągam paszport i różne papiery i to dopiero mojego rozmówcę uspakaja. Oświadcza mi następnego ranka, kiedy mnie spotyka w samochodzie—pańskie szczęście, udało się panu, cywil obok komendy w nocy—jasna rzecz, szpieg. Szedłem do wychodka a tu ktoś nagle. Zastrześliłbym z miejsca, jak psa—już chciałem kaprała wołać.

Tak jakoby uniknąłem śmierci szpiegowskiej w ostatniej nocy spędzonej w Polsce. Rano jedziemy. Świt nas mgłami prowadzi po stromych



zalesionych drogach ku węgierskiej granicy, ku wyszkowskiej przełęczy. Pusto na drogach—nikogo nie widać—zarośla tylko oddychają białymi oparami. Wreszcie Wyszków, mamy się tam zgłosić do nadleśnego Wowkonowicza—ale że 7 rano dopiero, więc zaczynamy od dobijania się do żydowskiego sklepiku, żeby dostać mleka. Po kwadransie dopiero wychodzi zaspana i brudna stara żydówka, mleka niema, chleba niema—nic. Tymczasem otworzyły się drzwi sąsiedniego domku—to właśnie nadleśny—prosi do siebie, ofiarowuje śniadanie i wreszcie można się umyć po nocy spędzonej na podłodze.

Jest w domu nadleśnego pokój pełen trofeów, wiszą rogi jelenie i niedźwiedzie skóry i ileż fotografii pamiątkowych. Ministrowie, prezydenci, wojewodowie polowali tutaj.

Nadleśny, mały zasuszonego człowieka, z gorączkowym błyskiem w oczach, pokazuje nam to wszystko. Siedzimy, bo według umowy mamy tu czekać aż nadejdzie pułkownik i jego sztab. Nadleśnictwo pełne jest problemów—czy jechać, czy zostać. Problemy te reprezentuje głównie siostra nadleśnego, zasuszonego stara panna, której brzydka twarz kurczy się raz poraz w płaczu. Błaga brata, żeby jechał, jak wojsko przejdzie, kłusownicy gotowi go ustrzelić. Jest tu parę takich, zawsze mu się odgrażali. Ma przyjaciół po węgierskiej stronie, niechże bierze ze sobą parę koni i jedzie z nami. Nic nie wiadomo co nadleśny robi, chodzi szary i trochę nieswój, ale po kątach słyhać chlipanie płaczących pań i szurgot rzeczy pośpiesznie składanych do waliz. W stołowym pokoju stoi radio, więc koło niego zwykle kręcenie i trzaski. Słyhać nieartykułowane—brzęczenia, któremi Niemcy głośzą Warszawę. Milczymy wszyscy—nadleśny rozlewa wino. W tej ciszy złowrogiej radio zagadało nagle wyraźnie, dobitnie: Alarm lotniczy dla miasta Warszawy, dla miasta Warszawy i ryknęły syreny. Zamknąłem odbiornik i głośniejsz zachlipały nasze płaczące stare panny.

Nie wiemy jeszcze czy tu Niemcy idą czy bolszewicy—tak to jakoś na samym środku. Ponieważ mamy opuścić już Polskę chcemy dać znać rodzinom i piszemy listy. Głupie bezsensowne komunikaty o nas do jedynych i bliskich, którzy zostali tam i niewiadomo czy żyją. Ludzie zycyliwi jakoś nam te listy pierwszą okazją przesła.

Długo i boleśnie wlecze się cisza w pokojach nadleśnictwa. Nabrzmiewa w nas rozpacz i żal. Dobrze było jakeśmy jechali—uciekając czy goniąc, będąc w jakiejś akcji. Teraz nic nas nie czeka. Zostali w dole i daleko ludzie nasi i zakrwawione, spalone miasta. Niema już się dokąd śpieszyć. Granica za górą. Cisza tu panuje ogromna. I nawet rozmawia się szeptem bo służący i ludność nic jeszcze nie wiedzą i wiedzieć nie powinni.

Telefon jeszcze działa. Nasi panowie rozmawiają z Wygodą, z Doliną, dowiadują się, że spokój. Ale już po godzinie telefon został na rozkaz naszych władz zniszczony, słupy zwalone, druty przecięte.

Nadjeżdżają dwaj młodzi oficerowie ze straży granicznej—opowiadają że dostali rozkaz zlikwidowania placówki, i żołnierze—sąsiedzi z węgierskiego posterunku płakali jak dzieci żegnając się z nimi, mówiąc jak oddali Węgrom radio, telefon, naczynia i meble, bo szkoda tego zostawiać—nasza strażnica piękna, nie dawno zbudowana, a węgierska, po drugiej stronie słupów—poprostu szopa.

Wychodzimy na dwór—ruch się zaczyna, przeszedł oddział wojska, przejechało parę aut, dziewczyny wiejskie i dzieciaki gapią się na to wszystko. Szumi górski potok. Jacys żołnierze myją w nim utrudzone nogi. Siadamy na kłocach drzewa, rozkładam mapę samochodową Polski—beźmyślnie liczę ile setek kilometrów ujechaliśmy. Oficerowie stają koło auta, prowadzą rozmowę o strategji i aliantach. Franek niestrudzenie majstruje coś koło naszego Chevroleta, oliwi, czyści, pucuje,—żeby wszy-

stko było gotowe do dalszej drogi. General z pułkownikiem pojawili się nagle, pogadali, pojechali, dalej kazali czekać.

Wreszcie w tej ciężkiej ciszy i oczekiwaniu ruszamy ku granicy zabierając ze sobą nadleśnego i starą pannę—jadą nas odwiedzić. Droga jest stroma i wąska wśród drzew i mostków. Nadleśny tłumaczy, że mostki podmionowane a drzewa podcięte. Pierwszego dnia wojny obawiano się tu ataku niemieckiego przez Węgry. Wjazd samochodem na przełęcz to prawie tak jak winda do nieba i wreszcie ukazuje się wśród szczytów zielonych i niebieskich szeroka polana, słupy graniczne, drewniany, ładny budynek w zakopiańskim stylu i zbudowana z gałęzi i drzewa brama tryumfalna a pod nią bariera zamalowana na czerwono i biało. Tak brama tryumfalna. Dla uczczenia wiekopomnej przed paru miesiącami polsko—węgierskiej wspólnej granicy. Był to wielki jubel naszej polityki, wtedy właśnie kiedy Hitler zajął Słowację. Tak więc opuścimy Polskę przechodząc pod bramą tryumfalną. Stoi jak strach na wróble łopocząc wyschniętą zielenią i resztkami papierowych dekoracji. Ale jeszcze nie pora Polskę opuszczać. Zatrzymało się parę aut, siedzą po krzakach żołnierze i policjanci a po drugiej stronie przed małym domkiem dwu węgierskich żołnierzy w zgnilo zielonych mundurach pali fajki. Stawiamy auto z boku, sami siadamy na darni okalającej słup graniczny—i znowu czekamy. Pułkownik z generałem pojechali podobno do Węgrów do najbliższego miasteczka pertaktować w sprawie przejścia granicy.

Na samym skraju naszych spraw, w chwili gdy Polska się za nami zamyka, siedzimy na sosnowych balach, patrzymy tępo na orła nad budynkiem, na malowane narodowe szlabany. Jest nas coraz więcej, nadjeżdżają jacyś cywile od Stryja, dają znać co się dzieje—Niemcom z pod tanków uciekli. Parę furmanek z policją zaspaną, mundury i kołnierze rozpięte, leżą na wozach, kielbasę gryzą, tłuste karki wystawili na słońce—beztroscy jacyś i nie groźni—złe symbole odchodzących dni. Czekamy na powrót naszych władz i oto najwidoczniej coś się szykuje, bo trzech węgierscy żołnierze schowali fajki stanęli w szeregu przed swoją szopą—jakieś ruchy powtarzają niby to musztra—a z doliny dochodzi głos motorów. Nadjeżdżają 3 auta, wysypują się z nich operetkowo austriackie postacie węgierskich oficerów, idą już ku nam. Leniwie i ciężko wychodzimy na spotkanie naszej nowej władzy. Idzie ku nam major węgierski w niebieskich spodniach, brzęczy szablą i salutuje dotykając ceratowego kaszkietu—Austria wstała z grobu. Za nim dziwne osoby w jaskrawych mundurach i paru zandarmów z kaskami na których kogucie pióra kwitną—z naszej strony pcha się już na tłumacza nasz major—szczęśliwy że coś może pomóc, otaczamy Węgrów, salutują wszyscy—węgierski major nogami szurga, każdemu rękę podaje, przedstawia się ponuro i uroczyście zupełnie jak na pogrzebie. Ale trzeba mówić i padają słowa—niemieckie. Językiem wrogów mówią do siebie Polak—Węgier—dwa bratanki. Słowa oficera pełne są tonu obawy i kondolencji—szerokim gestem rąk pokazuje doliny za sobą—wszystkich Was przyjmujemy powiada, prosimy, będziecie gośczeni jak przyjaciele—kto chce może już jechać. Na ucho komuś szepnął czy są między nami Żydzi—bo tychby nie chcieli. Nie, Żydów niema. Z uśmiechem smutnym coś mówi o niedawnej w tym samym miejscu uroczystości, jak to granicę z nami dostali i zaraz pyta, kto tu idzie, jakie są wiadomości—więc rozkładanie mapy i dane, że Niemcy idą od Stryja—bolszewicy od Stanisławowa i co z tego będzie, niewiadomo. Widać, że major bardzoby nie chciał z trudem zdobytą polsko—węgierską granicę zamieniać na węgiersko—bolszewicką.

Znowu salutowania, szurgania nogami, odjeżdżają dostojnicy, zandarmi węgierscy zostają, niektórzy cywile korzystając z majora gościnności już czmychnęli autem przez granicę i tyle ich widać ale my czekamy na nasz sztab. Zanim się Węgrzy zapakowali do auta podbiegł do majora jakiś



wachmistrz naszej policji, śliczną niemczyzną pyta czyby można do miasta pojechać kupić wina—major coś niejasno odpowiedział—a tu jak nie skoczy któryś z naszych oficerów groźny, policjanta odsuwa i kiedy węgierskie auto ruszyło zaczyna na cały głos krzyzczyć: gliny, tańki, wy pierwsi do wiania, sukini-syny, teraz wam się węgierskiego wina zachciewa. Mandaty karne toście umieli brać a teraz wialście jak zające. Hańbęście tylko Polsce przynieśli, byki spasionie. Położył posobie uszy policjant mruknął coś i poszedł dalej spać na słomę na furmance.

Tłumacząc Frankowi że powinien wziąć auto i jechać do miasta zmienić złotówki na pengo. Póki czas to mu zmieniają i po dobrym kursie. Bo co zrobimy, żaden z nas niema obcych walut ani złota a złotówka może być jutro bez wartości. Ale gdzietam, Franek jest wyższy ponad to—rozkaz ma stać z autem to też będziemy stali choćby bolszewicy przyszli. Póki generał nie wróci.

Zmrok zapada, zimno się bardzo robi, nadjeżdża coraz więcej aut, czekać na dworze nudno—ja i major pakujemy się do auta—owijamy się kocami—pachnie to wszystko benzyną—niewygodnie i na bankach, próbujemy spać wciąż jeszcze w Polsce.

Późno w nocy budzą nas ryki samochodowych syren, bałagan i krzyki—ileż nas się tu na granicy od południa uzbierało! Głównie wojsko—teraz to wszystko rusza, Franek zapuszcza motor i my jedziemy, z urywanych zdań dowiadujemy się że mamy mieć nocleg w sąsiedniej wiosce—Poronie, 6 kilometrów stąd. Napół drzemiąc, bez żadnej już świadomości, że to chwila ważna, przekraczamy w długim korowodzie maszyn granicę ale dla jakichś powodów karzą nam stanąć z wozem z boku drogi o sto metrów od granicy. Tak jakby się niesposób było od Polski oderwać—15 godzin już tu stoimy. Drzemka trwa ale w znrzonych oczach mającą obrazy od 3 tygodni nie widziane—reflektory aut świecą jak słońca straszliwe, jasność oślepiająca, bo już niema wojny i każdy już zdjął z żarówek niebieski papier, farbę zmył ze szkła. Ileż to było z tym zachodu! Jeszcze w Sosnowce i na każdym prawie postoju Franek swoje latarnie poprawiał, kazał niebieski papier w krążki ciąć, zakładał, zdejmował, sprawdzał, kazał włączać, wyłączać, kłócił się czy oba światła równe, męczył i nudził. Teraz już sprawy tej niema. Papierki z żarówek zdjęte i z naszych latarni wali słup światła ostry i lśniący jak nóż. Tu już nie przylecą.

Wszystko jest prawie tak jak każdej nocy krzyki, szum motorów i miarowe kroki żołnierzy, tyle że po szosie pelza tysiące świateł.

Wiozą nas wreszcie dalej i dużo krzyku ciągle że jechać trzeba lewą stroną, w jakiejś hałaśliwej zmorze dobijamy na koniec do wioski, ktoś nas pcha do chaty, przy lampie naftowej w pokoiku siedzą węgierscy żandarmi, wisi portret Horthyego, szwargocą niezrozumiale przez telefon oficerowie, jedno słowo tylko znane—Lengyel—Polacy powtarza się ciągle, ciągle. Ktoś nam daje we filiżankach czarną słodką lurę i porcję słoniny z papryką, siedzimy tak w zmroku i śwądzie nafty, wreszcie—o 3 rano—prowadzą nas przez drewniane sale pełne smrodu i śpiących na podłodzie Węgrów do pokoju oficerskiego na pryce, gdzie półprzytomni ze znużenia padamy, aby zasnąć twardo, snem bez treści, ludzie bez ojczyzny.

D.C.N.



*Z książki Feliksa Topolskiego "Russia in War", która nkaże się w najbliższym czasie—podajemy słowo wstępne Sir Stafford Crippsa oraz parę rysunków.*

SIR STAFFORD CRIPPS

## FELIKS TOPOLSKI

Spotkałem Feliksa Topolskiego poraz pierwszy w Moskwie, jesienią 1941 roku. Przybył do stolicy Związku sowieckiego w czasie gdy stosunki sowiecko—polskie zostały szczęśliwie przywrócone i gdy rozpoczął się najbardziej krytyczny okres gwałtownych szturmów niemieckich na froncie moskiewskim. Przeszedł więc przez doświadczenia nalotów nieprzyjacielskich na Moskwę, widział ducha bojowego ludu sowieckiego i mógł się przekonać o bezgranicznej odwadze i determinacji jego polskich współrodaków, którzy odzyskali wolność by walczyć ramię w ramię z armją sowiecką.

Była to okazja wyjątkowa a karty tej książki dowodzą, że przyjął ją i należycie ją wykorzystał.

Związek sowiecki pozostaje zawsze jeszcze światem nieznanym

dla wielu ludzi tu w Anglii, w Stanach Zjednoczonych Ameryki i krajach Imperjum Brytyjskiego.

Publiczność angielska czytała wiele o odwadze i zaletach bojowych Czerwonej Armji, Floty i Lotnictwa, o bohaterkiej walce partyzantów na tyłach armji niemieckiej, o wytrwałości i patriotyzmie mężczyzn i kobiet na całym obszarze Związku sowieckiego, ale miała dotąd sposobność widzieć własnymi oczami te piękne postaci tylko na fotografiach wojennych ukazujących się od czasu do czasu.

Wielkości jakiegoś kraju czy narodu nie można mierzyć rejestrem indywidualnych czynów ani nawet masowych dokonań. Podobnie jak ogrom obszaru Rosji nie da się wyobrazić przy pomocy nawet największej ilości fotografii lasów, bagien i pól, tak i odwaga i wytr-





POLACY W ROSJI.  
Wrzesień 1941.



„TACZANKA” KAWALERJA SOWIECKA. Październik 1941.



Кавалерийская Тачанка  
Феликс Давидович 1941  
мелкий камуфляж  
намотан на танк  
вместо маскировки





Na pokładzie brytyjskiego krążownika. Tankowanie kontrtorpedowca na Arktyku przed akcją bojową. Październik 1941.





Katedra języków słowiańskich w moskiewskim Instytucie Pedagogicznym. Lekcja fonetyki polskiej. Październik 1941.



wałość narodu rosyjskiego nie da się wyobrazić samym wyliczeniem znamienych wypadków, niezależnie od ich ilości.

Przyjechawszy do Moskwy, Feliks Topolski postawił sobie za zadanie zobrazowanie nie tyle pejzażu czy miast rosyjskich jak interpretowanie narodu sowieckiego. Zaprzagnął dać obraz życia ludzi pod ciosami wojny i cierpienia, zaprzagnął poprzez własną swą osobowość i sztukę przedstawić światu zewnętrznemu Związek Sowiecki. Będąc obywatelem sąsiadującego z Rosją narodu, miał odpowiednie kwalifikacje do spełnienia tego zadania, a dzięki swej wrażliwej humanitarności i wnikliwości, która cechuje jego rysunki, mógł się stać zyczliwym interpretatorem charakteru narodu sowieckiego i atmosfery wojennej panującej w Związku sowieckim.

W planszach wypełniających karty tej książki znajdziemy studia i analizę reakcji wielkiego narodu na najgwałtowniejszą i najsprawniej zorganizowaną napaść w dziejach świata.

Walka narodu sowieckiego objęła wszystkie jego warstwy. Żaden odłam tego narodu, niezależnie od

wieku, płci czy rasy nie uniknął huraganu wojennego. Nie ostał się ani jeden dom w miastach czy na wsi wchłoniętej bezpowrotnie w walkę o istnienie w warunkach, które niekiedy musiały wydawać się rozpaczliwe i niemal beznadziejne.

I ja również miałem zaszczytną sposobność obserwowania tego upartego oporu narodu sowieckiego, z którego płynęło tyle natchnienia, i w świetle moich własnych doświadczeń rysunki Topolskiego przywodzą mi w pamięci tę atmosferę przyspieszonego i pełnego wysiłku, która wówczas wypełniała Moskwę i która była cechą tak znamieną najczarniejszych dni które przeżył naród sowiecki.

Jeżeli te rysunki Topolskiego przyczynią się, tak jak mam nadzieję, do pogłębienia porozumienia między ludami Wielkiej Brytanji, Dominjonów brytyjskich i Ameryki a ludami Związku sowieckiego, osiągną cel jaki sobie postawił artysta. Co więcej, przyczynią się do ułatwienia współpracy powojennej, na której opierają się dziś nadzieje tak wielu ludzi na świecie.

HENRYK GOTLIB.

## O NIEDOSKONAŁOŚCI GRECKIEGO KLASYCYZMU.

Na jakieś dwa lata przed tą wojną odbył się w Rzymie międzynarodowy kongres zorganizowany przez Włoską Akademię Sztuki, z osławionym Marinettem na czele. Dominanta obrad i uchwał kongresu były (wedle sprawozdań prasy włoskiej i relacji Wacława Husarskiego, który brał udział w kongresie w charakterze polskiego delegata) następujące tezy: narody, które hołdują demokracji, mają sztukę zdezorganizowaną i przestarzłą, wszelkie odmiany romantyzmu, z impresjonizmem i post-impresjonizmem włącznie, to wszystko przeżytki, takie same, jak malarstwo sztalugowe, na ich miejsce wkracza wielka sztuka monumentalna odmłodzonych narodów, oparta na tradycjach grecko-rzymskich.

Obrady i postanowienia kongresu, inspirowanego przez instytucje pozostającą na usługach reżimu, miały zatem za zadanie zareklamować teoretyczne uzasadnienie tendencji, które znalazły już konkretny wyraz w sztuce faszystowskich Włoch. W krajach bowiem, które oddawały się złudzeniu, że odnalazły ostateczną formę społecznego i narodowego bytowania, a więc we faszystowskich Włoszech i nazistowskich Niemczech, a w ostatnich latach także i w Sowietach, proklamowano powszechny i oficjalny powrót do grecko-rzymskiego klasycyzmu, jako jedyne systemu estetycznego godnego wielkich narodów i doskonałych systemów

politycznych. Wznoszono więc monumentalne gmachy i zdobiono je rzeźbą i freskiem, których formę artyści tych krajów usiłowali oprzeć na „doskonałej harmonii“ z okresu „światłości helleńskiej“.

Fakty te świadczą, że sztuka, która wszak nadaje wygląd zewnętrzny naszemu życiu, ulicom miast, wnętrzom mieszkań, strojom i modzie epoki, nie jest czemś zawieszonym w przestworzach, lecz, że jest w pewnym (coprawda w pewnym tylko) sensie wiernym odbiciem panującego politycznego i społecznego systemu. Zwłaszcza w krajach o ustroju totalistycznym.

Możnaby wprawdzie dowodzić—nie bez słuszności z innego zgoła na te sprawy patrząc aspektu—że teorie i teoryjki rozmyślania i rezonowania historyków sztuki, krytyków i publicystów nie wpływają na artystów naprawdę twórczych i na kierunek sztuki niezależnej, zwłaszcza w krajach t.zw. demokratycznych. Lecz nie zapominajmy, że już przed tą wojną sztuka została zetetyzowana nie tylko w państwach o totalnym systemie gospodarczym, lecz także w dużej mierze i w demokratycznej Ameryce. Po tej wojnie zaś czeka nas hegemonia kapitału państwowego zupełna albo niemal zupełna. W rezultacie prace i losy architekta, malarza i rzeźbiarza, których odbiorcą będzie przeważnie — jeśli nie wyłącznie—państwo, gmina lub instytucje społeczne, w ścisłej będą zależności od smaku i estetyki, którą sobie upodobają sfery rządzące i ich urzędnicy, wychowani i sugerowani przez samych artystów, pisarzy i uczonych w sztuce.

Sądząc po analogji, czekają nas zatem próby rozpętania drugiego w dziejach „Odrodzenia“, jeszcze bardziej niezwiązanego organicznie ze współczesną kulturą plastyczną, niż Renesans, który unicestwił wspaniałe rozmach sztuki średniowiecznej.

Jest więc może obowiązkiem artysty już dziś ostrzec przed niebezpieczeństwem i drogą rzeczowej analizy uprzytomnić, czym była historycznie i czym jest w swej artystycznej zawartości epoka „światłości klasycyzmu greckiego“.

W epoce Peryklesa, którą uważało się jeszcze do niedawna powszechnie za najwspanialszy okres sztuki greckiej i sztuki w ogóle, wznoszono w Atenach bardzo wiele świątyń, skarbców i nagrobków i produkowano masowo wazy, figury i figurynki. Wiadomości o autorstwie tych dzieł są bardzo skąpe. Wiemy tylko napewno, że nazwiska takie, jak Fidjasz, Skopas i Praksyteles należą do legendy. Nie ma bowiem na świecie dzieła, któreby można przydzielić któremuś z tych mistrzów sławionych przez starożytnych. Dzieła Fidjasza i Praksytelesa znamy tylko z kopii, przeważnie rzymskich, nieraz tak nieudolnych lub „upiększonych“, że niepodobna wyrobić sobie na tej podstawie sądu o tych artystach. Tak n.p. autorstwo „Hermesa“, uważanego do niedawna za jedyne bezwzględnie autentyczne dzieło Praksytelesa, okazuje się więcej niż hipotetyczne. Powoływano się dotąd, jako na jedyne dokument w tym względzie na ogólnikowe świadectwo Pausaniasza, który pisze: „w Heraionie między innymi znajduje się Hermes w marmurze z dzieckiem—Dyonisosem na ramieniu, jest to dzieło Praksytelesa“. W czasach ostatnich archeolodzy okazali się mało skłonni świadectwo to uznać za wystarczające, a Brumel uważa „Hermesa“ ze względu na technikę „cukierkową“ (jak wyraził się M. Barres) wręcz za kopię rzymską z I. wieku po Chr.

Tak, wyzwoleni z uroku wielkich nazwisk, spróbujmy zastanowić się, na czym polega doskonałość greckiej rzeźby z „epoki światłości“.

Sztuka grecka od końca V. wieku rozwija się w tym sensie, że rzeźba archaiczna oparta na tradycjach wschodnich, zwłaszcza egipskich, była nawskroś rzeźbą i tyle tylko brała z „życia“, ile wolno jest brać jej rzeźbiarzowi, ażeby dzieło było i pozostało rzeźbą. Odwrotnie artyści i rzemieślnicy czasów późniejszych mniej dbali o statykę, o zwartą bryłę, o rytmikę planów i sens materiału rzeźbiarskiego, niż o przedstawienie



ciała ludzkiego lub głowy. Dzieła epoki archaicznej przedfidiaszowej są naskutek tego czystą rzeźbą, dzieła epok późniejszych przepojone są natomiast anegdotą. Są literackie.

Trafność tych uwag sprawdzić jest łatwo na konkretnych przykładach. Przyjrzyjmy się więc płaskorzeźbie ze wschodniej części fryzu skarbca Syfnińczyków w Delfach, dzieła z VI. wieku przed Chr., przedstawiającego „zgrupowanie bogów“. Identyczne niemal w układzie i temacie „zgrupowanie bogów“ znamy z British Museum, pochodzące z fryzu wschodniego Partenonu, a więc z okresu peryklesowego. Fryz archaiczny z Delf jest symfonią form urytmizowanych, ruchów i wyrazów“ udyscyplinowanych i podporządkowanych instynktowi rzeźbiarskiemu. Na Partenonie Ateńskim zaś mamy przedstawienie bogów siedzących swobodnie, odkrytych draperią powiewną i z „naturalną“ przypadkowością okrywających ciała.

Jeśli przytem przyjrzymy się uważnie szczegółom rzeźby archaicznej, n.p. stopie młodzieńca, siedzącego na koniu (ze słynnego dzieła z Muzeum na Akropolu), zdamy sobie sprawę, jak rzeźbiarze VI. wieku opanowywali rzemiosło, jak po mistrzowsku umieli wyrzeźbić to co chcieli. Zrozumiemy wówczas i ocenimy poziom dyscypliny rzeźbiarskiej i umiar w przedstawianiu tych tylko elementów natury, z których może się składać rzeźba, ażeby być dobrym dziełem sztuki.

Jeżeli z okresu klasycznego i hellenistycznego pozostały fragmenty pięknych głów, jeśli dziś podziwiamy w Luwrze „Nike z Samotraki“ (z czasów po r. 300 przed Chr. lub „Venus z Milo“ również z IV w. przed Chr.), to kto wie, ile zyskały te rzeźby przez okaleczenie. Wędrując po Akropolu—takim, jakim jest dziś: cementarzystku cudownie spatynowanych marmurów, pustych świątyń i szlachetnych w swej nagości architrawów i frontonów—uprzytomnijmy sobie, jak wyglądał ten sam Akropol za czasów Peryklesa lub później, zawalony lasem posągów i przepelniony świątyniami, których świetność podnosić miały wymalowane na różne kolory marmurowe kolumny, fryzy i metopy, i nie ludźmy się, i nie liczmy zbyttno na smak arystokratów ateńskich. Wszak jedynym z najsławniejszych rzeźbiarzy końca V wieku przed Chr. był Poliklet, twórca klasycznych kanonów rzeźbiarskich, człowiek bez cienia talentu, typowy rutylista i kalkulator. Rzeźby jego—jedne z niewielu, których autorstwo jest niewątpliwe—przypominają inną „sławę“, głośnego konkurenta Michała Anioła, niejakiego Bandinello, którego dzieła do dziś dnia szpecą Florencję. Tak to każda epoka ma swojego Bandinello, hypnozę nazwisk, które rozwiewają czas i historia.

Czyżbyśmy jednak nie postąpili lekkomyślnie i czy mamy słuszność, machnąwszy tak niecierpliwie ręką na epokę „doskonałego klasycyzmu“, która wszak przez wieki była tabu Europy i punktem wyjścia naszej średniowiecznej kultury?

Wątpliwości te osłabia może następujące uwagi: za czasów Lessinga źródłem i synonimem „piękna“ była rzeźba hellenistyczna. Wcześniej jeszcze Vasari zachwycał się rzeźbą okresu schyłkowego i rzymskiego. Dopiero dużo później cofnięto się do rzeźby okresu peryklesowego. Zrobił to m. in. Ingres, któremu akademicy francuscy, wychowani na Wickelmanie, zarzucali naskutek tego nieprawomyślność. Entuzjasta greczyzny i wróg romantyzmu, Ingres odnajdywał rzeźbiarski geniusz grecki w epoce peryklesowej, którą jego akademicy przeciwnicy uważali „jeszcze“ za barbarzyńską i przygotowującą tylko właściwą epokę klasyczną.

Artyści dzisiejsi spragnieni—po impresjonizmie i formizmie—udyscyplinowanych form w sztuce, sięgają znowu do Hellady. Ale cofają się jeszcze o krok wstecz w głąb dziejów sztuki greckiej i odnajdują jej wielkość i żywotność w okresie archaicznym i kreteńsko—mikeńskim.

Predylekcja artystów dzisiejszych dla epok dawniejszych sztuki greckiej

znajduje obiektywne poparcie ze strony naukowej. W odczycie wygłoszonym w r. 1933 na międzynarodowym kongresie historyków sztuki w Paryżu stwierdza Dr. Kazimierz Michałowski: „Obserwacja precyzyjna i i szczegółowa dowiodłaby . . . że kwalitatywnie wykonanie rzeźby zdobiącej skarbiec w Delphach (epoka archaiczna, przyp. aut.) przewyższa wspaniałą dekorację z epoki klasycznej . . . Piękność erechtejonu w porównaniu z organicznym życiem, którym oddycha dekoracja w Delphach, oznacza obniżenie się poziomu (n'et qu'un aplatissement) . . . w Delphach nie myśli się o narzędziach pracy . . . bo czuje się bezpośrednio dotknięcie ręki artysty . . . Można by powiedzieć, że girlandy kwiatów wyrastają wprost z marmuru . . . „Natomiast w epoce klasycznej jedynie tylko . . . bardzo dobią robotę cyzelańską . . . a w sławnym sarkofagu sydońskim (epoka hellenistyczna, przyp. aut.) dekoracja wygląda już jak wstążka przyklepiona do kamienia.“ Badania naukowe wykryły ponadto, że w czasach archaicznych kamień obrabiano kamieniem i dopiero za Peryklesa, w okresie „standaryzacji i organizacji pracy przy Partenonie“ posługiwano się mniej solidnymi metodami obróbki, ale umożliwiającymi rzeźbienie w szybszym tempie. Po stwierdzeniu, że rzeźba archaiczna odznacza się dużo większą precyzyjnością w wykonaniu szczegółów, n.p. draperji, niż rzeźba klasyczna, Dr. Michałowski konkluduje wreszcie z ostrożnością naukowca: „Zdaje się, że jeśli mowa o doskonałości technicznej, to epoka klasyczna różni się od archaicznej pewnym odcieniem na korzyść archaicznej! Mały odcień, który zmusza nas jednak poddać rewizji naszą koncepcję o absolutnej i nieprześcignionej doskonałości sztuki z epoki klasycznej“ (Dr. K. Michałowski: „Quelques observations sur la qualité d'execution des oeuvres d'art grec classique et archaïque.“ Warszawa, 1933).

Dodajmy, że Charles Picard (w „La sculpture antique“ Paris 1923) taką daje charakterystykę ogólną twórczości greckiej: „Im głębiej zapuszczamy się w poznanie oryginalności helleńskiej . . . tym bardziej zdajemy sobie sprawę, że główną zasługą Grecji było nie tyle stworzenie nowych idei, jak udoskonalenie techniki . . .“ „Cud grecki“ „polegał głównie na wytworzeniu metody pracy . . .“

Jeśli zatem według uczonego tej miary co Ch. Picard wielkość sztuki greckiej zasadza się nie tyle na jej oryginalności—zbyt bowiem oczywisty jest jej azjatycki rodowód—ile na jej doskonałości technicznej, to stwierdzenie (przez Dr. Michałowskiego) większego majsterstwa technicznego w okresie archaicznym, niż za czasów Peryklesa, ułatwia wytworzenie sobie sądu o dwóch tych epokach, także i na zasadzie dociekań naukowych.

Do ludzi, którzy przywykli widzieć w ateńskim Akropolisie i greckim klasycyzmie źródło wszelkiego i doskonałego piękna, przemówią może powyższe uwagi i przekonają ich, że wygłodniali klasycyzmu nie możemy ani dziś ani jutro powtarzać po raz drugi w historii—szaleństwa humanistów i ludzi Odrodzenia i zwracać się do greckiej „epoki świetności“ w poszukiwaniu nowego klasycyzmu.



## KILKA SŁÓW O POEZJACH LIRYCZNYCH W. B. YEATS'A

*Przemówienie przygotowane na wieczór pisarzy polskich w P. E. N. Clubie  
Irlandzkim w Dublinie.*

Literatura o Yeats'ie jest bardzo obfita i obejmuje zarówno artykuły i wypowiedzi pełne zachwytu, jak i obiektywne wyczerpujące studia, jak wreszcie ostrą nieraz krytykę jego twórczości. Ta właśnie krytyka, która pojawiła się w latach ostatnich, z którą zetknąłem się już po przyjeździe do Wielkiej Brytanji, sprawiła, że jeszcze głębiej oceniłem piękno liryki Yeats'a, jeszcze silniej wyczułem czar jego wierszy, szczególnie odkąd zacząłem przekładać je na język polski.

Yeats był znany polskim poetom. Zнали go, zarówno pisarze starszej generacji, owiani jeszcze echemi pierwszych lat XX-go wieku, jak i poeci mi współcześni. Chociaż każdy z nas miał do niego takie czy inne nastawienie, takie czy inne zastrzeżenia, wszyscy, zostali wciągnięci w krąg jego czaru. Stosunek cudzoziemskich poetów do wierszy Yeats'a był bezpośredni, nienaruszony żadnym wpływem, nie obciążony znajomością tła, na którym tworzył poeta. Był to stosunek całkowicie bezinteresowny. Wyczuwaliśmy w nim wszyscy, autentycznego i zapładniającego poetę, podobnie jak w usłyszanym po raz pierwszy tworze muzycznym, wyczuwa się jakąś prawdziwą wartość muzyczną, która się już potem na zawsze w pamięci utrwała.

Nie odważyłbym się dawać syntezy dzieła Yeats'a ani nawet mówić dłużej o jego życiu i twórczości; uwagi moje o twórczości Yeats'a ograniczam głównie do jego wierszy lirycznych, zawartych w „The Wind Among the Reeds“ i w „Responsabilities“, w „The Wild Swans at Coole“ i w „The Tower“, że wymienię tytuły najważniejszych tomów. Takie ograniczanie dzieła poety jest może subiektywne i popularne, ale upoważnia mnie do tego sam Yeats, który wydał w roku 1929 tom „Selected Poems“, gdzie powiada w krótkim wstępie: „I have arranged in chronological order whatever lyrical and narrative poems of mine best please my friends or myself or best illuminate one another“. Te proste słowa przedmowy robią wrażenie, gdyż wyczuwa się w nich prawdziwą szczerłość pisarza w stosunku do własnej twórczości.

Początek jego twórczości przypada na lata 80-te—90-te. Była to epoka znana i nam w Polsce, epoka dziwacznych wnętrz secesyjnych, lamp przyćmionych, bibelotów orjentalnych i leżących na stole książek Rosettiego w dziwacznych oprawach, epoka ciężkich kotar pluszowych i palm pod oknami, które, jakgdyby symbolicznie napelniały pokój mrokiem „morbide“, i odgradzały poetę od świata i ludzi.

Ówczesne hasła odseparowania się od życia i od ludzi (mówiło się wtedy „od tłumy“), wiara w posłannictwo poety, używanie słowa „wtajemniczenie“, wszystkie te wieże z kości słoniowej musiały stać się udziałem Yeats'a. Debiutował w nieszczerzej epoce. Zapomniane dziś prawie nazwiska z tych czasów, takich zagorzałych wyznawców hasła „sztuka dla sztuki“, jak Lionnel Johnson lub Ernest Dowson, nie mogły *nie* wywrzeć wpływu na Yeats'a. A przecież poeta przetrzymał czad tej epoki. Ostał się, tak jak ostają się zawsze prawdziwi poeci bez względu na epokę. Lata 900-setne rozwiły się bezpowrotnie i wydają się historją równie daleką, jak historie orjentalnych księżniczek z węzami na tarasach imaginacyjnych Babilonów. Liryka Yeats'a przetrwała.

Kraj rodzinny Yeats'a, Irlandja, stał się tem natchnieniem, które ocaliło go od oparów estetyzmu.

Muszę tu szczerze wyznać, że koncepcja Irlandji u Yeats'a (zawarta przedewszystkiem w jego dramatach) wydaje się jakby zanadto mglista, zanadto poetyczna. Irlandja wyrasta u niego, jakby utopja celtycka, kraj pięknych snów. Koncepcje romantyczne Polski, poetów polskich są mimo wielu pokrewieństw odmienne od koncepcji Yeats'a, podobnie jak romantyzm polski od romantyzmu w pojęciu zachodnio—europejskim. Romantyzm polski jest bardziej żywoty i ma swój specyficzny, prawie że społeczny i polityczny wyraz. Ale to nie należy do tematu.

Mgliste się wydają również wypowiedzi społeczne i życiowe Yeats'a w ostatnim okresie jego twórczości. Coprawda Yeats poszukuje niestrudzenie idei żywej, zapładniającej, chce być poetą czynu, akcji,—ale idee jego nie mogą nasycić pisarzy mego pokolenia, a coś dopiero mówić o pokoleniu najmłodszym. Wojna i przemiany społeczne pogłębiły jeszcze różnice między pokoleniem dzisiejszem a poglądami Yeats'a, które w ostatnich jego utworach chociażby w takim utworze, jak „On the Boiler“, brzmiały wręcz reakcyjnie i śmiem powiedzieć, faszystowsko. Mówi tam, że „human violence must be embodied in our institutions“, ostrzega Irlandję żeby zachowała „a caste system, taking warning from modern democracies“. Tak samo trudno nam się zgodzić z nim, że tylko trzy kasty ludzi stworzyły rzeczy piękne: arystokracja, chłopci i artyści.

Pomimo jednak oporów w stosunku do stanowiska Yeats'a, jego poezja liryczna—i to jest jej sekret, wyrosła ponad jego poglądy,—i przetrwała. Co więcej, żyje nadal, i oddziaływa na nas, i pobudza nas emocjonalnie, choć często może nie tak, jak to sobie sam Yeats wyobrażał. W czemże leży urok tej poezji? W czem leży jej pulsująca świeżość i sugestywność?

Wszystkie wiersze Yeats'a posiadają przedewszystkiem jakąś—swoistą melodyjność i rytmikę i wyczuwa się w nich odwieczny rytm pieśni ludowych. Ta śpiewność wiersza, mającego swe źródło w folklorze, jest ważna, choć często niebezpieczna. Mieliśmy w Polsce poetów, którzy czerpiąc z niewyczerpanej skarbnicy pieśni ludowej, wpadali w rodzaj łatwego naśladownictwa, jakąś piosenkowatość, która prowadzi do ślepego zaułka. Yeats tego uniknął: nie został piosenkarzem, „ptakiem śpiewającym z Bożej łaski“, pomimo że napisał tak urocze piosenki, jak klasyczną dzisiaj i niesłusznie krytykowaną „The Lake Isle of Innisfree“, jak wzruszającą „When You are Old“.

Wszystkie jego wiersze są opanowane i, mimo czaru melodyjności i bezpośredniości, dobrze przemyślane i opracowane, nie mają zbędnych dłużyń, pustych retorycznych miejsc, przeciwnie pisane są z oszczędnością środków i powściągliwością godną fragmentów prozy Swifta. Symbole Yeats'a nie są nigdy jakimiś ogólnikowemi, zdawkowemi allegorjami, ale mają swój odrębny indywidualny wyraz i przez to nigdy nie są nudne. Yeats jest także architektem swych wierszy. Każdy jego najdrobniejszy wiersz jest zawsze świetnie zbudowany i ma zawsze efektowne zakończenie. Z zakończeń jego wierszy możnaby rozłożyć świetny wachlarz znakomitych powiedzeń i epigramatów. Takie fragmenty, na przykład, z „Mechanical Songs“ nawet jeśli zawierają myśli abstrakcyjne, trudne do zrozumienia dla cudzoziemskiego czytelnika, posiadają jednocześnie zawsze jakąś swoistą pointę poetyczną, która działa na wyobraźnię. Przytoczę chociażby, takie zakończenie poematu „The Four Ages of Man“:

Now his wars on God begin;  
At stroke of midnight God shall win.

Wiersze Yeats'a posiadają jeszcze jedną ważną cechę: są uniwersalne. Rozumiem przez to, że mają właściwości emocjonalne i poetyczne, działające na cudzoziemskiego czytelnika nawet wtedy, jeżeli ten czytelnik nie jest



wtajemniczony w życie i środowisko poety, nie zna pobudek jego twórczości ani tych kompleksów życiowych, które wiążą się z twórczością. Weźmy na przykład taki wiersz o majorze Gregory'm ze zbioru „The Wild Swans at Coole“ pod tytułem „An Irish Airman Foresees His Death“. Ten wiersz wzrusza nas, niezależnie od tego, czy wiemy dla kogo, w jakim celu i okolicznościach był napisany. Poeta mówi:

Nor law, nor duty bade me fight,  
Nor public men, nor cheering crowds,  
A lonely impulse of delight  
Drove to this tumult in the clouds.

To precyzyjne wyliczenie pobudek, które *nie* pchnęły lotnika do walki, kaže właśnie zastanowić się nad temi pobudkami i nabicra dla mnie przynajmniej—jakiejś cichej wymowy ukrytego poczucia o konieczności spełnienia obowiązku.

Albo inny, klasyczny dziś utwór—przytaczam świadomie najbardziej znane wiersze Yeats'a—, „Sailing to Byzantium“, w którym poeta wyraża, rzekłbyś, pragnienie przemienienia siebie i swej twórczości w dzieło sztuki, a przez to osiągnięcie nieśmiertelności. Pragnienie doskonałości, które pulsuje w tym wierszu, jest tak silne, że zostaje nieomal urzeczywistnione przez samo powstanie wiersza, który sięga szczytów sztuki w ogóle.

W poezji Yeats'a przyciąga nas, Polaków, jeszcze Irlandja. Miłość do Irlandji w Polsce jest naprawdę powszechna i wszystko, co mówi nam o Irlandji, opromienione jest blaskiem sympatji. Piękno Irlandji, widziane oczyma Yeats'a zachwycia nas. Jego miłość do ziemi rodzinnej ma w sobie dużo wspólnego z miłością do kraju rodzinnego, wyrażoną przez poetów polskich, że wymienię choćby skupioną „Księgę Ubogich“ Kasprowicza, jako motto której chciałoby się widzieć słowa Yeats'a: „The Poetry of Earth is Never Dead“.

Pomimo że z postawą społeczną Yeats'a i niektórymi jego przekonaniem trudno się dziś pogodzić, trzeba stwierdzić, że jego stosunek do siebie, do świata, do sztuki jest zawsze rzetelny i uczciwy. Tęsknota za prawdą przepływa przez całe dzieło poety. I dzieło to nie mogłoby być artystycznie piękne, gdyby nie było dziełem człowieka szlachetnego. Zarówno z utworu „The Hour Before Dawn“, jak i ze wszystkich ważniejszych wypowiedzi Yeats'a przebijają się pragnienie stworzenia wielkiego dzieła, któreby miało wyraźne i mocne wskazania ideologiczne. Yeats pragnie czynu i wielkości, chciałby stworzyć nową wielką wizję pięknego świata. Ale pragnień swoich nie może zrealizować. Nie odkrył właściwie drogi do jakiejś wielkiej nowej koncepcji, i nie napisał „Poem of Action“, któryby pociągnął za sobą ludzi. Wewnętrzna jednak tęsknota Yeats'a, choć niezrealizowana, nadaje jego utworom piętno ludzkości i opromienia je niezwykłą szlachetnością. Louis Macneice w swej znakomitej książce o Yeats'u powiada w konkluzji:

„The spiritual lesson that my generation (a generation with a vastly different outlook) can learn from Yeats is to write according to our lights. His lights are not ours. Go thou and do otherwise“.

Ale światło Yeats'a, chociaż nie jest naszym światłem, płonie na horyzoncie poezji, płonie właśnie dlatego, że poeta był mu wierny. Gdyby je był zdradził—zgasłby może jego artystyczny.

Wielki pisarz francuski Marcel Proust, którego wpływ zaważył na powieści innego wielkiego pisarza, autora „Ulyssesa“, Joyce'a,—powiada w ostatnim tomie „A la recherche du temps perdu“:

„il serait absurde de sacrifier au symbole la réalité qu'il symbolise. Les Cathédrales doivent être adorées jusqu'au jour ou pour les préservées il faudrait renier les vérités qu'elles enseignent“.

Katedry, choćby najpiękniejsze, jeśli w nich niema Boga tracą swą treść i przestają być piękne. Tak samo jest i z wierszem: jeśli w nim niema

prawdziwego ognia poezji, to bez względu na to, co wyraża, traci swój sens i przestaje nas nasycać.

Dziwne mi się wydaje mówić o poezji, kiedy na świecie szaleje wojna i rzeka cierpień rozlała się na kontynencie. A przecież pomimo straszliwego pożaru, poezja żyje i nadal nam jest potrzebna, może nawet bardziej potrzebna, niż dawniej. Dlatego musimy jej być wierni.

Układając te uwagi o Yeats'ie i odczytując na nowo jego liryki, myślę o moich przyjaciółkach, polskich poetach, z którymi kiedyś, za czasów młodości pięknej i beztroskiej, po raz pierwszy czytywaliśmy, czy to „The Man Who Dreamt of Fairy Land“ czy to „The Song of the Old Mother“. Myślę o tych co zostali zesłani do obozów koncentracyjnych, o tych co żyją w niewoli. Nie wolno im drukować wierszy, nie wolno im kupować książek. Każdy rozumie co to znaczy dla pisarza i poety nie móc pisać i czytać. Musi wtedy wytężyć pamięć i z pamięci przypominać sobie i odtwarzać ulubione utwory. Wiersz którego nie można sobie przypomnieć przestaje być sam przez się dziełem sztuki, a dziełem sztuki i pociechy staje się wspomnienie o wierszu, pamięć o nim.

Jestem pewny, że myśląc czasem o ulubionych poezjach poetów polskich, a także poetów francuskich, angielskich, rosyjskich, irlandzkich, amerykańskich,—wspominają także ulubione wiersze Yeats'a. I odnajdują w nich może jakieś nowe ukryte dotąd znaczenie, tak jak i my je odnajdujemy, czytając te wiersze na nowo, że przytoczę na zakończenie, jedną z pięknych pieśni Yeats'a :

In pity for man's darkening thought  
He walked that room and issued thence  
In Galilean turbulence ;  
The Babylonian starlight brought  
A fabulous, formless darkness in,  
Odour of blood when Christ was slain  
Made all Platonic tolerance vain  
And vain all Doric discipline.

JÓZEF CZAP.

## DWA SPOTKANIA

Byłem wówczas w Moskwie. Mundur mój wywoływał wielokrotnie podejrzliwość przechodniów : czapka z orłem („co to za krab“—spytal mnie jeden krasnoarmiejec), płaszcz angielski, krojem bardziej niemieckie niż rosyjskie przypominający szynele, buciki na nogach zamiast walonek, a przede wszystkim „pagony“ (szlify) wywoływały podejrzenie i najdziwniejsze, zawsze niechętnie domysły (niemiec ? dywersant ?). Legitymowano mnie wielokrotnie, raz nawet, pomimo że miałem papiery całkiem w porządku, odprowadzony zostałem na komendę wśród tłumu wrogich gapiów.

Wracałem do hotelu, w półciemnym hallu koło windy stał starszy człowiek, zgarbiony żyd o zmarszczonej, nijakiej twarzy, zapuchniętych z czerwonymi powiekami oczach. Miał na sobie stary „tabaczkowy“ płaszcz z żółtym, zupełnie wytartym kołnierzem.

Poczułem znowu na sobie badawcze długie spojrzenie—przeczekał aż podeszłem bliżej i nagle półgłosem się do mnie odezwał :

„Patrzę na Pana i . . . chce mi się płakać—Pan—polski oficer—Pan ma na sobie polski mundur !

Bo ja, Panie, jestem też z Polski—ja jestem z pod Proszowic.“



Przypomniało mi się, że miałem numer „Polski“. Zaproponowałem, by zaszedł do mnie i to pismo, o którego istnieniu nie wiedział, wziął do czytania.

Stary człowiek zgodził się skwapliwie, wsunął się za mną do windy i urywanym głosem mówił o sobie, mówił tak, jakbym mu był bliskim od zawsze człowiekiem, jakby wiele lat czekał na tę chwilę, by móc nareszcie mówić o tej sprawie najważniejszej.

„Ja jestem z pod Proszowic, ja miał tam kawałek ziemi, teraz ja w Moskwie, i to z mojej winy, ale w 1915 roku była wojna i ja pojechał do Moskwy, i tu ja został. Tak . . . ja mam wiele win . . . ale teraz to mam jedną myśl, żeby swój kraj zobaczyć przed śmiercią, . . .—i dodaje ciszej—żeby ja jeszcze kraj swój zobaczył, to ja już mogę umrzeć.“

Idziemy przez długie korytarze, wchodzimy do pokoju, wyciągam z teki „Polskę“ i pokazuję mu fotografie zniszczonego placu Zamkowego, ruin Zamku Królewskiego. Stary żyd aż jęknął wpatruje się długo w fotografie, oparty o poręcz krzesła, cały skulony, i widzę, że płacze, że grube łzy mu płyną z oczu jak dziecku.

Zostaję sam i myślę, dlaczego ten stary żyd z Proszowic jest mi bliższy niż wszyscy ludzie, z którymi obcowałem przez dwa tygodnie, dlaczego łzy tego człowieka czułem prawie, jakby były mojemu własnymi łzami? Nie dopytałem się i nigdy pewno się nie dowiem bliżej, kim jest mój gość kilkuminutowy, wiem o nim tak mało i tak bardzo wiele.

I przypomniało mi się wówczas inne spotkanie. Opowiedział mi o niem przyjaciel doktor D. w obozie w Starobielsku.

Na początku października 1939 przed samym wywiezieniem do obozu pracował doktor wraz z grupą polskich lekarzy w szpitalu w Tarnopolu. Żył wówczas, jak każdy zresztą Polak, pod znakiem niezmiernego przygnębienia. I podszedł raz do niego w szpitalu nieznanomy, bardzo biednie ubrany stary żyd. Nie widzieli się nigdy przedtem. Podszedł i powiedział mu kilka słów tylko:

„Niech się Pan Doktor tak nie martwi. Kraj taki jak Polska, co dał Mickiewicza i Chopina, *nie może zginąć*“.

Teheran w kwietniu 1942 r.

MARJAN HEMAR

## CUD BIEDNYCH LUDZI SZTUKA W PIĘCIU OBRAZACH.

### OBRAZ 2.

*Gabinet Sędziego Śledczego. Przy ścianach szafy z aktami, półki, książki, itd. Dwa biurka, sędziego i aplikanta. Krzesła.*

SĘDZIA (Chodzi po pokoju, badając Zakrystiana. Dyktuje aplikantowi, który siedzi i pisze przy swoim biurku) Oskarżonego znalazłem z widzenia—od kilku miesięcy (do Zakrystiana)—ile to mogło być miesięcy?

ZAKRYSTIAN Chyba ze dwa—może trzy—teraz mamy maj, a jego w lutym już widziałem—to będzie ze trzy.

SĘDZIA (dyktuje) Od trzech miesięcy. (Do Zakrystiana). Więc jak często przychodził do kościoła?

ZAKRYSTIAN Z początku rzadziej przychodził. Potem coraz częściej. Właściwie już codziennie bywał. I rano i wieczorem.

SĘDZIA (dyktuje) W ostatnich tygodniach przychodził do kościoła codziennie, a nawet bywał po dwa razy na dzień.

ZAKRYSTIAN Tak właśnie.

SĘDZIA Czy Pan zauważył co szczególnego w sposobie zachowania się tego człowieka ?

ZAKRYSTIAN Chyba nic szczególnego—to znaczy—w kościele każdy człowiek jest szczególniejszy.

SĘDZIA W jego sposobie modlenia się, no, w całym zachowaniu ?

ZAKRYSTIAN Modlił się bardzo rzewnie. Czasem płakał—to widziałem—w pierwszych czasach, chciałem go nawet kiedy wypytać, co za jeden i o co się łaski doprasza. Człowiekowi żal cudzego nieszczęścia. Potem myślałem sobie, że pewnie jaki nieszczęśliwy, chory, lub roboty nie ma—i uważałem żeby go zostawić w spokoju ; kiedy tej samotności i pociechy boskiej szuka, to już lepiej mu nie przeszkadzać. No, i obchodziłem go nawet z daleka. Udawałem, że nie bardzo widzę i poznaję—bo są i tacy, co się nieszczęścia zawstydzą, a litościwego spojrzenia nie zniosą. Kto mógł wiedzieć, że w takich zamiarach ? . . . .

SĘDZIA (dyktuje) Oskarżony modlił się żarliwie, często płakał i robił wrażenie człowieka nieszczęśliwego, więc starałem się nie przeszkadzać mu w tem nabożeństwie i nawet rozmyślnie trzymałem się od niego z daleka, aby nie urazić go okazaniem litości.

ZAKRYSTIAN Zupełnie tak, panie sędzio.

SĘDZIA No, a jakżeż było tego dnia ?

ZAKRYSTIAN Tego dnia jak zawsze było. Pod wieczór przyszedł—tyle, że krócej był.

SĘDZIA Jak długo ?

ZAKRYSTIAN Nie widziałem, kiedy wychodził—ale w pół godziny po jego przyjściu już byli z policji, z zapytaniem o te perły—więc chyba wszystkiego razem mógł być z dziesięć minut.

SĘDZIA (dyktuje) Krytycznego dnia oskarżony przyszedł do kościoła pod wieczór—godzina była ?

ZAKRYSTIAN Może koło szóstej—

SĘDZIA Tak jest. Około godziny szóstej i wedle moich obliczeń przebywał w kościele nie dłużej, niż 10 minut. Nie zauważyłem, kiedy wyszedł. Czy pan był cały czas wewnątrz kościoła ?

ZAKRYSTIAN Cały czas.

SĘDZIA Obraz święty, z którego zginęły perły, jest—jak widzieliśmy—w mrocznej wnęce—czy pan nie zauważył w czasie pobytu oskarżonego żadnego błysku światła ? Żadnej, choćby chwilowej, jasności ?

ZAKRYSTIAN Żadnego światła nie widziałem.

SĘDZIA (do aplikanta) Proszę zapisać. No, co jeszcze ? Czy wielu ludzi wiedziało o perłach zawieszonych na obrazie ? O tem, że perły są cenne ?

ZAKRYSTIAN Proszę pana sędziego—perły wiszą już blisko 20 lat—wdowa jedna ofiarowała—ludzie i wiedzieli i nie wiedzieli—jak kto. A kto wiedział, ten i wiedział, że wartość mają dużą.

SĘDZIA To byłoby wszystko . . . (namyśla się chwilę)—tak—proszę, pan przeczyta protokół i podpisze.

ZAKRYSTIAN (przeczytał) Wszystko, jak sam powiedziałem, panie sędzio—nawet jakby zręcznie. (Podpisuje).

SĘDZIA Dziękuję.

ZAKRYSTIAN Przepraszam, proszę pana sędziego—jedno zapytanie—czy sąd jemu uwierzy, czy nie ? Bo to u nas wielkie zainteresowanie . . .

SĘDZIA (z uśmiechem) A wy jemu wierzycie ?

ZAKRYSTIAN (zastanawia się, poważnie) To jest tak : uwierzyć—to strata dla kościoła byłaby—i wogóle—jakoś niewiadomo—a nie uwierzyć—to znaczyłoby, że straszny grzech—świętokradztwo—(żegna się)—ale myślę, że raczej wierzmy. . . . On nie wyglądał na takiego, panie sędzio, coby mógł w takim miejscu ukraść—gdzie sam i płakał i w piersi się bił . . . . Ludzie jemu wszyscy wierzą—teraz kościół pełny codziennie—i



przed obrazem świece się palą—tysiące świec—i wota znoszą—myślę, że raczej jemu wierzymy. . . .

SĘDZIA No, to chyba i sąd jemu uwierzy. Dziękuję, może pan odejść.

ZAKRYSTIAN Kłaniam się panu sędziemu. Przepraszam bardzo. (Wychodzi. Chwila milczenia)

APLIKANT Panie sędzio, czy pan to serio mówił, że sąd może uwierzyć ?

SĘDZIA Serio ? (Zapala papierosa, częstuje aplikanta, który przyjmuje z ukłonem).

APLIKANT Ja wiem, że niektórych spraw jeszcze nie rozumiem—ale tutaj wszystko jest proste—dla mnie—aż zanadto proste.

SĘDZIA (z lekką ironią) Niektórych spraw pan jeszcze nie rozumie. . . . No, oczywiście—pan jest na praktyce. Kiedy się pan otrzaska z wszystkimi sprawami i nauczy wszystkiego na pamięć—może to będzie mniej proste—

APLIKANT Pan wybaczy, panie sędzio, powiedziałem proste w tem znaczeniu, że jestem pewien, że ten człowiek perły ukradł.

SĘDZIA Bądźmy ściśli—jesteśmy pewni, że perły znalazły się w jego ręku.

APLIKANT Nie, ja jestem pewien właśnie, że je ukradł. Trudno—ja nie wierzę w cudy.

SĘDZIA A, to w istocie trudno. Ale pan zapomina o jednej drobnotce : Co to kogo obchodzi ?

APLIKANT Co ?

SĘDZIA Że pan nie wierzy w cudy ?

APLIKANT (urazony) Oczywiście, nikogo. Moje zdanie się nie liczy.

SĘDZIA Nie myślałem tego tak—niech pan się nie obraża—przypuścimy, że to ja nie wierzę w cudy. Co to kogo obchodzi ? Co to kogo obchodzi, czy w cudy wierzy pan prokurator, albo prezes sądu, albo pan radca Zaręba, albo pan aplikant Kowalewski ? Tysiąc razy ważniejszą rzeczą jest—czy ten złodziejaszek wierzy w cudy ? Pan nie wierzy—wolno panu. Ale, niech pan pomyśli—a jeżeli jednak tak było, jak on mówi ?

APLIKANT (nieufnie) Pan sędzia ze mnie kpi ?

SĘDZIA Ani mi to przez myśl nie przeszło.

APLIKANT Czyżby pan sędzia przypuszczał—?

SĘDZIA Drogi panie kolego. Ja mam się dowiedzieć. To jedno. I mnie nie wolno się pomylić. To drugie. A trzecie; Ja nie mam nic przypuszczać—ponieważ obowiązkiem moim jest przypuszczać wszystko. (Gasi papierosa, przyciska dzwonek, wchodzi Woźny).

SĘDZIA Poprosić następnego świadka.—

APLIKANT (czyta z aktu) Elżbieta Majewska.

SĘDZIA Poprosić Elżbietę Majewską. (Woźny wychodzi).

(Po chwili wchodzi Grzegorzowa)

GRZEGORZOWA (dyga) Dzień dobry panu sędziemu.

SĘDZIA Dzień dobry pani—proszę usiąść.

GRZEGORZOWA (siada na skraju krzesła) Ślicznie dziękuję.

SĘDZIA Pani nazwisko brzmi—

GRZEGORZOWA Elżbieta Majewska—Grzegorzowa Majewska.

SĘDZIA Aha, znaczy, że mąż ma na imię Grzegorz.

GRZEGORZOWA Miał, proszę pana sędziego, ale umarł. Na wojnie umarł. Na tyfus.

SĘDZIA Więc pani jest wdową po Grzegorz Majewskim ? Czym był mąż ?

GRZEGORZOWA Woźnym banku. W banku kredytowym. Osiemnaście lat tam współpracował.

SĘDZIA To pięknie. Pani jest teściową Józefa Bylejaka—zwracam

pani uwagę, że wolno pani wstrzymać się od składania zeznań, jako spokrewnionej z oskarżonym—

GRZEGORZOWA Kiedy ja, proszę pana sędziego, nic takiego do wstrzymania nie mam, ani do zatajania, nawet co wiem, to wolę powiedzieć.

SĘDZIA Doskonale—czem pani się zajmuje ?

GRZEGORZOWA Praczka.

SĘDZIA W domach prywatnych ?

GRZEGORZOWA Nie, proszę pana sędziego, z różnych domów biorę, a pracuję u siebie.

SĘDZIA Pani ma dwie córki.

GRZEGORZOWA Zameżne. Jedna już pięć lat, druga właśnie—osiem miesięcy.

SĘDZIA (z aktu) Starsza Anna, żona Michała Gromadzkiego, szewca i młodsza Teresa, żona Józefa Bylejaka, elektrotechnika.

GRZEGORZOWA Dotąd się zgadza, proszę pana sędziego.

SĘDZIA Wszystko się zgodzi. Córki zapewne pomagają pani w utrzymaniu ?

GRZEGORZOWA Iiii tam, panie sędzio. . . .

SĘDZIA Co pani rozumie pod słowami „iii tam“ ?

GRZEGORZOWA Z czego by pomagały ? Wszystko na mojej głowie. Starsza, tyle, że z początku sami sobie radę dawali—nawet im dobrze szło. Teraz zupełnie ciężko—odkąd Michał, właśnie mój pierwszy zięć, pić zaczął. To jeszcze do mnie o wsparcie przychodzą a to do komornego zabrakło, a, to cukru pożycz, a to soli, a to mąki, bo w tej samej kamienicy mieszkają, przez podwórce tylko, więc do matki najbliżej, ale jak trzeba oddać, to nagle daleko.

SĘDZIA Tak, to nieprzyjemnie—no, a jak z młodszą córką ? Chora była ?

GRZEGORZOWA Młodsza córka właśnie w dwa miesiące po ślubie przy kuchni stała i ten paraliż ją chwycił. Odrazu krzyknęła tylko i na podłogę ją rzuciło. (Ociera łzy). Od tego czasu leżała na łóżku, nieruchoma—delikatna była zawsze i piękna taka, aż tu taka choroba straszna—dopiero dwa tygodnie temu—jak się cud stał.

SĘDZIA Jakżeż to było ?

GRZEGORZOWA W jednej minucie wstała—odrazu—chwilę przedtem jeszcze ani ręką ruszyć by nie ruszyła, ani nogą, ani powieką, ani słowa wyraźnie nie powiedziała, odrazu—jakby nigdy chora nie była—widzieli wszyscy !

SĘDZIA To musiało wywrzeć duże wrażenie na obecnych ?

GRZEGORZOWA Panie sędzio—do niej teraz, jak do jakiej świętej ludzie się schodzą od samego rana—chorzy proszą się, żeby tylko dotknęła—matki, żeby dzieci po głowie pogłaskała—z kuriera nawet dwa razy u nas byli—fotografię chcieli wydrukować, ale Tereska nie dała—powiada, że nie dla ludzkiej ciekawości łaska niebieska nas odwiedziła.

SĘDZIA A to bardzo ładnie powiada.

GRZEGORZOWA Nawet—śmiech o tem mówić, ale Michał—ten pierwszy zięć mój—

SĘDZIA Tak—

GRZEGORZOWA Od tej chwili—bo on też był przy tem—kropki wódki nie tknął ! A ile to już czasu ! Inny człowiek się zrobił—cichy, smutny, pracowity—może Bóg da, że się naprawdę wszystko na dobre odmieni. Żeby tylko Józus już wrócił—

SĘDZIA A ten drugi zięć, mąż Teresy, bardzo się chorobą żony martwił ?

GRZEGORZOWA Proszę pana sędziego, tyle mogę powiedzieć, że to w żydowskich rodzinach taka miłość się nie zdarza, jaką on miał dla Tereski. Widziało się nam wszystkim, że się przez to cierpienie do cna



zmarnuje chłopak. Całe życie miał jakby przestawione, do kina nie poszedł, za inną dziewczyną ani się obejrzał—tylko siedział koło niej. Z początku lekarzy z ubezpieczalni do niej ściągał—ale to nie była dla nich choroba.

SĘDZIA Jakto nie dla nich choroba ?

GRZEGORZOWA W ubezpieczalni lubią krótkie choroby. Żeby można od razu co zapisać, albo zestawić—i następnego z kolejki przypuścić. A tu, powiadali, że czekać trzeba. Może się samo polepszy i wtedy będzie można leczenie zacząć, bo to dla nich ryzyko jest, powiadali, kuracja droga i długa, a wszystko może pójść na próżno. Więc jak ją lekarze z tej kasy opuścili, tylko jeden, co w naszej kamienicy mieszka, młody doktor, bez pacjentów jeszcze—

SĘDZIA Pan doktor Szulc—

GRZEGORZOWA Tak jest, więc on do niej czasem zachodził. Delikatny człowiek bardzo . . . bo to pieniędzy nie brał, więc umyślnie czasem Józusiowi takie naprawki w domu powierzał, żeby niby wyrównanie było.

SĘDZIA Tak, to ładnie.

GRZEGORZOWA Bezrobotni czują takie koleżeństwo dla siebie. . . . Więc on jeden do niej jeszcze zachodził. A Józus z rozpaczy modlić się zaczął. Naprzód w domu tylko, potem do spowiedzi chodził coraz, potem go do kościoła wciągnęło. . . . Az go ta krzywda spotkała.

SĘDZIA Ten cud ?

GRZEGORZOWA Nie—to, że jemu nie uwierzyli. W ten cud, który mu żonę uleczył.

SĘDZIA A jakie były pani stosunki z zięciem, podczas choroby córki? Zięć pani nie pracował, z czegoż żył w tym czasie ?

GRZEGORZOWA Ze mnie. (Po chwili). A stosunki były takie : gdyby za dziewczętami latał, albo po szynkach, albo zabawy swojej szukał—to chociażby mi pieniądze do domu znosił, nie byłby został u mnie. Mnie tam niejedno cierpkie słowo na niego się wyrwało—Pan Bóg może mi przebaczyć—bo ta niedobra gorycz sama się czasem w człowieku zbiera, a nie wykszusić jej, to jeszcze gorzej—serce zakiśnie. A to i sąsiadka jedna z drugą i córka druga, chcąc, nie chcąc, judziły mnie na Józusia, że bez pracy po izbie się wałęsa. Ale jak o tem pomyśle, co się stało—to bym mu teraz do końca życia łzami drogę z przed nóg zmywała—tak mi tych słów niedobrych żal. Ja tam zawsze, chociaż to i owo za nim krzyknęłam—ale w sercu myślałam inaczej. My prości ludzie, panie sędzio, i czasu w życiu nie mamy. U nas, co w powietrzu, to na języku—ale to co w sercu, to na święta chowamy.

SĘDZIA (zamyślony) Tak—a tych świąt w życiu niewiele.

GRZEGORZOWA Oj niewiele. (Z nagłym wzruszeniem). Panie sędzio, ja stara kobieta jestem—tyle mojego życia, ile Józusiowi za tę krzywdę wynagrodzę—uwierzcie wy jemu !

SĘDZIA Moja pani, co też pani mówi !

GRZEGORZOWA (płacze) Uwierzcie wy jemu ! To święty człowiek ! Co jakiego wroga między nami miał—to każdy się teraz w piersi bije i ludziom w oczy wstydy się spojrzeć ! Trzeba go było widzieć, kiedy z tymi perłami wrócił—

SĘDZIA Pani Grzegorzowo—

GRZEGORZOWA Panie sędzio ! My nie tacy, żeby takie złodziejstwo kryć, dlatego, że kto swój je popełnił ! Żeby to syn rodzony był, żeby brat własny, to bym ja pierwsza oczy od niego odwróciła i na karę ludzką i boską go wydała ! Panie sędzio najmiłościwszy, ale on niewinny jest, jak Bóg na niebie, niewinny, on prawdę mówił, uwierzcie jemu, bo byćście w sercu spokoju do końca życia nie mieli !

(Sędzia nalewa wody z karafki do szklanki)

SĘDZIA Proszę panią—(podaje jej szklankę)—niech pani przestanie

plakać—no, wypić—co też pani wygaduje! Przecież ja zięcia pani sądzić nie będę. Ja mam tylko zbadać ze sprawy to, co się da ustalić—i mam to wszystko podać dalej, innym, prawdziwym sędziom. Oni już sami sobie będą łamać głowy, czy pani zięć jest winien, czy nie. Widzi pani—gdybym ja go nawet miał sądzić—niech się pani tylko zastanowi—teżby się przecież niczyje prośby na nic nie przydały. Tylko by zaszkodzić mogły. Za niewinnym nie trzeba się wstawiać—niewinność sama wychodzi na jaw. Przecież sąd jest nietylko poto, aby skazywać ludzi, aby skazywać winnych—jest także i poto, aby uwalniać tych, którzy na karę nie zasłużyli—

GRZEGORZOWA (z smutną rezygnacją) Iii—to się tak mówi . . . a jak sędziego brzuch zaboli, to na narodzie się mści.

SĘDZIA A, to ładne ma pani pojęcie o wymiarze sprawiedliwości. . . .

GRZEGORZOWA Ja najmocniej przepraszam, panie sędzio, nie chciałam urazić, niech Bóg broni—ale myślę, że przecież świadczyć mam—więc zeznać mogę tylko pod przysięgą, że Józef prawdę mówił.

SĘDZIA A co mówił?

GRZEGORZOWA Jakto, co?

SĘDZIA Kiedy do domu wrócił z kościoła—z temi perelkami—co mówił? Niech pani sobie przypomni dokładnie.

GRZEGORZOWA Panie sędzio, każde słowo pamiętam, jakbym w tej chwili w uchu miała. Było tak: (uroczyście) na schody wpada—prosto z drzwi—i krzyczy: Tereska, słuchaj, matko, słuchajcie—cud się stał w kościele, modliłem się, powiada, przed obrazem świętej Teresy—i nagle, powiada, usłyszałem muzykę, jakby organy zagrały—i na obrazie jasność zobaczyłem, blask złocisty—patrzę, a Święta uśmiecha się do mnie—i ręką, powiada, zdjęła z szyi te perły! Potem tak do mnie mówi: Wysłuchałam twoich prośb, bo widzę, że ty z miłości do chorej żony tak cierpisz i przez to, że jej stara matka sił już niema do takiego życia, żeby dla was wszystkich na kawałek chleba zarabiać—tak powiedziała—weź te perły, one mnie niepotrzebne, co mi po brylantach i perłach, kiedy ludzie cierpią i żona twoja chora—weź te perły i będziesz mógł żonę wyleczyć i matce ulżyć, bo to warto dużo. Może dziesięć tysięcy, może sto! I rękę do niego z perłami wyciąga. Więc Józus te perły wziął. Wtedy organy zamilkły i jasność zbladła i on pognął do domu, zadyszany i nam cud opowiedział. A jak wtedy wyglądał! Jak mu oczy świeciły—a czoło—jakie światło miał nad czołem! Że mnie Bóg pozwolił zaznać takiego widoku. Przecież, gdyby ukradł, toby się próbował kryć, panie sędzio, toby nie miał tej pewności, tego zapachu! Przecież, gdyby ukradł, toby Tereska z łóżka nie wstała, z takiej ciężkiej choroby, na sam widok klejnotów!

SĘDZIA Proszę panią—czy zięć pani miał tego dnia jaką robotę w projekcie?

GRZEGORZOWA Nie, nie miał panie sędzio.

SĘDZIA Aha, więc nic nie miał?

GRZEGORZOWA Tyle, że temu doktorowi z drugiego piętra radio miał naprawić w mieszkaniu, czy co—słyszałam jak go pan doktor przedtem prosił—

SĘDZIA Aha, więc to radio miał naprawić. Słyszałam o tem. Dobrze. Dziękuję pani. Może pani już odejść.

GRZEGORZOWA Dziękuję panu sędziemu—niech pan Bóg da zdrowie, panie sędzio, ja jeszcze słowo tylko—

SĘDZIA Proszę.

GRZEGORZOWA Pan sędzia mógłby tym sędziom powiedzieć, którzy sądzić będą niewinność Józusia—od siebie pan sędzia mógłby im powiedzieć—żeby się dobrze namyślili, nim jemu krzywdę zrobią—bo to nie jego rzecz najważniejsza będzie w tym wyroku—

SĘDZIA A czyja?



GRZEGORZOWA Ich własna, panie sędzio! Wy wszyscy panowie jesteście i swoje rozumy macie, a on jest chłopak biedny, niewykształcony i nieporadny, ale gdybyście tu pomylili się, to już po waszym rozumie będzie i po waszym spokoju, do końca życia. Niech im pan sędzia to powie!

SĘDZIA (poważnie) Powiem im, pani Grzegorzowo.

GRZEGORZOWA Dziękuję, panie sędzio, dowidzenia.

SĘDZIA Niech pani sędziemu „do widzenia“ nie mówi—z nami lepiej się nie widywać—albo najrzadziej. . . . No, bądź pani zdrowa.

GRZEGORZOWA Kląniam się panu sędziemu. (Odchodzi z dygiem).

(*Chwila pauzy*).

APLIKANT Przepraszam—czy pan sędzia przywiązuje wielką wagę do zeznań tej kobiety?

SĘDZIA (po chwili) Widzi pan—pan jest młodym prawnikiem. Teraz pan się jeszcze uczy. Za parę lat będzie pan może siedział na mojem miejscu i przesłuchiwał ludzi strapionych i śmiesznych. Niech się pan dowie zawczasu jednej rzeczy: Wszystkiego czego się pan nauczyć może, może się pan nauczyć od nich. Nie z wykładów, ani z kodeksów—ale od, nich. Niech się pan dowie jednej rzeczy: Prawu nie chodzi nigdy o to aby pan Bylejak siedział w więzieniu, czy spacerował na wolności. Prawu chodzi o to, aby było sprawiedliwe. Aby każdym wyrokiem potwierdzało—nie winę, albo niewinność jakiegoś głupiego Bylejaka—ale swoją mądrość. Własną mądrość. Mądrość prawa. Niech się pan dowie o tem, szanowny kolego jeżeli się pan raz pomyli, jako sędzia—nie będzie pan miał spokoju do końca życia, i nie będzie pańska mądrość nic warta. I nie dlatego, że pan jakiegoś Bylejaka pokrzywdził, ale że pan prawo skrzywdził—przyszły panie sędzio.

APLIKANT Wydaje mi się, proszę pana, że to co pan mówi—pan się nie będzie gniewał?

SĘDZIA Nie,—nie będę się gniewał.

APLIKANT Wydaje mi się, że to jest jednak teoria—piękna i bardzo szlachetna—ale teoria. W praktyce musiałyby się takie stanowisko przerodzić w poczucie zupełnego skrępowania—jakiejś bezradności—nie wiem—ale przecież sądzić można tylko rozumem. I tylko w tych granicach, w jakich rozum może się swobodnie obracać—intuicja psychologiczna, czy duże doświadczenie—to są też tylko formy rozumu. I jeżeli się rozum pomyli—notabene przy najlepszej woli sądującego—to nie zawsze musi być wina człowieka. To już może być wina samego prawa, które z tego rozumu powstało i rozumowi podlega. . . .

SĘDZIA Wy młodzi prawnicy. . . jacy wy jesteście pewni—jacy pewni rozumu. . . jacy rozumni. . . jak to dobrze, że musicie się trochę postarzyć, zanim zaczynacie praktykować. . . . Rozum. . . oczywiście. . . .

APLIKANT A czemże innem kieruje się prawo, jeśli nie bezwzględna logiką rozumu?

SĘDZIA Czemże innem? Oczywiście, oczywiście. . . .

APLIKANT Czyżby pan sędzia wątpił o absolutnej władzy logiki na obszarze sprawiedliwości?

SĘDZIA Drogie panie, nie byłbym sędzią śledczym, gdybym nie umiał wątpić. O wszystkim.

KURTYNA.

KONIEC OBRAZU DRUGIEGO.

### OBRAZ 3.

*Gabinet w prywatnym mieszkaniu Ministra Sprawiedliwości. Dywany, obrazy, brzozy, szafy z książkami. Po prawej duży piękny stół (biurko) do pracy, po lewej stolik, kilka foteli i mały stoliczek z kolekcją butelek. Minister siedzi za biurkiem, przegląda plik wycinków prasowych, od czasu do czasu robi notatki na kartce papieru, po chwili wchodzi cicho służący. (Służący nie w liberji).*

SŁUŻĄCY Proszę pana ministra, przyszedł ksiądz Dobraniecki.

MINISTER Dobrze (rzuca okiem na zegar ścienny, który wskazuje wpół do piątej). Proszę poprosić, podać nam od razu kawę.

SŁUŻĄCY Słucham pana ministra (Wychodzi).

(Minister wstaje, chowa kartkę z notatkami do kieszeni, wychodzi z za biurka, przez drzwi w głębi wchodzi Ksiądz.)

KSIĄDZ (Kłania się z szacunkiem). Moje najniższe uszanowanie dla pana ministra.

MINISTER (Odpowiada ukłonem) Kłaniam się—dzień dobry (podchodzi bliżej z wyciągniętą ręką).

KSIĄDZ Pan minister pozwoli przedstawić się: dr. Dobraniecki.

MINISTER Bardzo się cieszę, bardzo mi przyjemnie—proszę bliżej—ksiądz doktor będzie łaskaw usiąść (prowadzi go do stolika na lewo i wskazuje fotel). Ksiądz (jeszcze stojąc). Chciałbym przede wszystkim podziękować panu ministrowi—wielki to dla mnie zaszczyt.

MINISTER (wskazuje mu fotel). Proszę, proszę. (Siadają, ksiądz raczej na brzeżku fotela). Ksiądz doktor punktualny,—po królewsku. . .

KSIĄDZ Staralem się. Zdaję sobie sprawę z tego, że czas meża stanu jest odmierzony—i wyceniony w każdej minucie—

MINISTER (uśmiecha się). Nie przesadzajmy—to na szczęście tylko czasami—dzisiejsze popołudnie należy tylko do nas.

KSIĄDZ Tembardziej jestem wdzięczny i zaszczycony.

MINISTER Dziękuję najuprzejmiej—to ja raczej powinienem księdza przeprosić—

KSIĄDZ (prerażony). Mój Boże, za co ?

MINISTER Dowiedziawszy się, że pan życzy sobie audiencji u mnie, poleciłem spytać się, czy nie zechciałby pan, aby odbyła się u mnie prywatnie ?—wydało mi się, że będziemy mogli porozmawiać swobodniej—(śmieje się)—i dyskretniej—a nie wiem, czy tak właśnie jest po myśli księdza dobrodzieja— ?

KSIĄDZ Pan minister doprawdy tak uprzejmy—czuję się coraz bardziej zażenowany—

MINISTER (śmieje się). Księżo, księżo !

KSIĄDZ (śmieje się pocziwie). Zwłaszcza, że obawiam się, czy nie popełniłem w zasadzie niezręczności—

MINISTER No ? Jakiej ? !

KSIĄDZ Ta audiencja u pana, panie ministrze, miała na celu uzyskanie pewnej dla mnie łaski—to znaczy—nie dla mnie—no, ja to jeszcze wszystko wyłuszczyć—teraz dręczy mnie myśl, że jako człowiek nieobeznany z waszą wspaniałą hierarchią sprawiedliwości—przekroczyłem może pewne instancje—właściwe dla załatwienia mojej drobnej sprawy—może sięgnąłem za wysoko zabierając czas samemu biskupowi sprawiedliwości— ?

MINISTER Ach, jak to ładnie powiedziane—(śmieje się).

KSIĄDZ Jeżeli tak, proszę mi darować. Ale to sprawa pilna. Bardzo pilna. Ja nie miałem czasu—a wiem, że im niżej na świecie, tem większy tłok interesantów, i spraw, i formalności—nie miałem nawet czasu na to aby się wahać—i poszedłem od razu za podszeptem swego pomysłu—

MINISTER No, więc zapewniam kochanego pana, że wszystko w porządku—

KSIĄDZ Bardzo, bardzo się cieszę—



MINISTER Wyjdźmy więc poza te ekskuzy i ceremonje—grunt, że sobie siedzimy w spokoju i możemy pogadać o sprawie, która nas obu interesuje—

KSIĄDZ Nas obu ? Czy to ta sama sprawa ?

MINISTER (śmieje się). Myślę, że ta sama. Nie znam jeszcze pańskiego życzenia, drogi księże doktorze, ale myślę, że sprawa ta sama—(poważniej)—wie ksiądz, to nawet trochę dziwne, trochę zabawne—wczoraj, kiedy mi zameldowano pańskie starania o audiencję—myślałem właśnie, że wartoby porozmawiać z jakim miłym, światłym księdzem—(podchodzi do biurka, bierze stamtąd teczkę z aktami i pokazuje Księdzu) O tym procesie. I o wielu rzeczach dokoła tego procesu No ? Mylę się ?

KSIĄDZ Nie.

MINISTER (odkłada teczkę na miejsce, przyciska dzwonek na biurku). I tem skwapliwiej poprosiłem księdza dobrodzieja do siebie. (Siada).

KSIĄDZ (po chwili). To dobrze. Jestem w zupełności na pańskie usługi, panie ministrze.

MINISTER Pan jest proboszczem tego kościoła ?

KSIĄDZ (kiwa głową).

(Wchodzi służący, pchając przed sobą wózek z imbryczkiem kawy, filiżankami i t.p., ustawia przed panami filiżanki, nalewa kawy, stawia pudełko papierosów).

MINISTER Napijemy się kawy ?

KSIĄDZ (wciąż onieśmielony i wdzięczny). Panie ministrze—

MINISTER A może ksiądz dobrodzieju woli herbatę ?

KSIĄDZ Dziękują—wolę kawę—jeżeli nie sprawię tem kłopotu—poprosiłbym półnapój z wodą—

MINISTER Ależ proszę—

KSIĄDZ (w stronę służącego). Poprostu trochę gotowanej wody—(do ministra)—przepraszam za śmiałość—

MINISTER Proszę bardzo. Janie—

SŁUŻĄCY Tak jest panie ministrze. (Wychodzi).

KSIĄDZ Serce, niestety, już nie takie jak być powinno.

MINISTER A jakie powinno być ?

KSIĄDZ Takie aby nam nie przeszkadzało. Ani ruszać się, ani martwić, ani cieszyć, ani pić kawę, ani palić.

MINISTER (podsuwa mu pudełko z papierosami). Papierosy, czy cygara ?

KSIĄDZ Papierosa, dziękuję. (Zapalają).

MINISTER Tak . . . sami przeszkadzamy sercu w jego trudnej pracy—nie dziwmy się, że się nam na starość rewanzuje.

KSIĄDZ To smutne, że za wszystko trzeba w życiu zapłacić.

MINISTER To sprawiedliwe.

KSIĄDZ Tak też myślę. Sprawiedliwość jest czemś smutnem.

MINISTER (z miłą ironią). Czy ksiądz doktor ma może jaki praktyczny pomysł na coś weselszego w tej dziedzinie ?

KSIĄDZ (uśmiecha się). Nie.

MINISTER My nie mamy, niestety, instytucji odpustów. Czasami tylko robimy amnestje, zwłaszcza, kiedy więzieniom grozi przepelnienie.

KSIĄDZ (z uśmiechem). Miłosierdzie jest zawsze błogosławione, jakiegokolwiek są jego pobudki.

MINISTER (uśmiecha się). Rozumiem. Czy ksiądz dobrodzieju wie, że nawet minister niema żadnego wpływu na decyzję sądu, ani na wymiar sprawiedliwości ?

KSIĄDZ (chyttrze) Nie wiedziałem.

(Służący, niesie imbryk z gorącą wodą—nalewa księdzu kawy i wody).

KSIĄDZ Tak—bardzo—dziękuję—

MINISTER A może czegoś do kawy? Może dobrego koniaku, co?

KSIĄDZ Och, nie—dziękuję—

MINISTER Likieru?

KSIĄDZ Nie, dziękuję—nie używam alkoholów. (Służący wyszedł).  
Kawa dobra. . . .

MINISTER Co ksiądz myśli o procesie tego—Bylejaka?

(Ksiądz odstawia ostrożnie filiżankę, milczy).

MINISTER Chciałbym bardzo wiedzieć, co pan o tem myśli—i co myślą inni panowie z duchowieństwa?

KSIĄDZ Nie wiem co myślą moi przełożeni. Zdaje mi się, że czekają na sąd panów.

MINISTER My, niestety, nie możemy czekać na niczyją ekspertyzę. . . .  
(Po chwili). A pan?

KSIĄDZ Cóż — . . . ja . . .

MINISTER Sprawa leży panu na sercu?

KSIĄDZ Tak.

MINISTER Jakież jest pańskie zdanie?

KSIĄDZ Ja jeszcze nic nie wiem.

MINISTER (z lekką irytacją). Rozumiem. Pan także czeka na wyrok?

KSIĄDZ Nie. To nie to.

MINISTER Księżę doktorze—mówmy otwarcie. To jest sprawa kłopotliwa.

KSIĄDZ Tak.

MINISTER Drażliwa i krępująca. Nie chciałbym być w skórze sędziego, który będzie o niej rozstrzygał, ani prokuratora, ani nawet obrońcy. Wszystko razeni, opowiedziane w paru słowach, mogłoby być—no, poprostu dowcipem, kawalem, spryciarską anegdotką. Mnie by zresztą nie śmieszyło. Ale ten tuman zbiorowej psychozy dokoła drażliwej anegdotki, wydaje mi się rzeczą najgorszą. Jesteśmy niemal świadkami powstania nowej sekty . . . co? Czemu kościół nie zabiera głosu?

KSIĄDZ Kościół czeka, panie ministrze.

MINISTER Czy ksiądz czyta, co wypisuje o tem prasa, zwłaszcza brukowa?

KSIĄDZ Nasuwało mi się to i owo na oczy.

MINISTER Całe kolumny sprawozdań, dyskusji, polemik, wywiadów. Ekspertyzy profesorów, fizyków, astrologów, ankiety wśród adwokatów, lekarzy, aktorek i służby domowej. Podobno kroi się już proces dwóch żydowskich wytwórni filmowych o prawo filmowania scenarjusza z tej historii. (Wyciąga z kieszeni karteczkę). Próbowałem wynotować sobie plon jednego dnia w tytułach gazetarskich—(Czyta)—„Józef Bylejak, bohater ulicy Dalekiej“—„Józef Bylejak będzie wolny“!—proszę, proszę—„Wywiad z Michałem Gromadzkim, szwagrem Bylejaka“—„Michał Gromadzki, wyratowany z szponów alkoholizmu“—„Cud z ulicy Dalekiej“—„Czy ludzkość wchodzi w nową epokę cudów?“—„Cudem uzdrowiona Teresa“—(Mnie kartkę w rękę).

KSIĄDZ Na ręce tej Teresy, tak szczęśliwie uleczonej—przysyłają ludzie z całego kraju pieniądze—sporo pieniędzy—z najdalszych zakątków—pan minister wie o tem zapewne?

MINISTER Proszę! Nie wiedziałem!

KSIĄDZ Datki nadchodzą ciągle, grosze i złotówki—nawet i większe sumy—dotąd, jeśli się nie mylę, przekroczyły już trzy tysiące. . . .

MINISTER No, proszę!

KSIĄDZ To dużo pieniędzy. A dla nich tam—cały majątek. Aż dziwne, że Teresa Bylejakowa oddała i oddaje wszystko najuboższemu chorym, potrzebującym pieniężnej pomocy—współcierpiętnikom swojej bylej niedoli—gruzlikom, rachitycznym dzieciom, kalekom bez koniecznych protez—



MINISTER (po chwili). Słucham, słucham.

KSIĄDZ Szwagier Teresy, ów sławny już dzisiaj szewc, Michał Gromadzki—istotnie pił. Grubo ponad miarę. Nie wątpię, że zmarniałby ze szczętem, i on, i oczywiście żona—gdyby nie owo wydarzenie. . . . Dowiadywałem się dość dokładnie. Zdaje się że zapomniał już nawet o wódce. To dobry rzemieślnik—ma teraz dużo roboty i wiem, że pracuje chętnie i pilnie. Jest w łaskach u ludzi.

MINISTER Więc ?

KSIĄDZ Więc to już troje. Ale ja mam też jeszcze pewne swoje notatki w zanadrzu i gdyby pan minister raczył pozwolić—

MINISTER Proszę, proszę—

KSIĄDZ (wyjmuje okulary i nakłada, wyjmuje pękaty portfel i z niego kartkę papieru z cyframi, którymi się będzie posiłkował). W tym roku w miesiącu czerwcu zdarzyły się na terenie naszego komisariatu trzy wypadki kradzieży, jedno włamanie—co prawda bardzo łagodne—

MINISTER Co to znaczy włamanie łagodne ?

KSIĄDZ (bagatelizując). Zamek naruszyli, właściwie nawet zadrapań na drzwiach nie było. I jedna bójka uliczna, zresztą z szoferem taksówki, więc mógł to być przejezdny z innej dzielnicy—

MINISTER Nie rozumiem, do czego ksiądz zmierza ?

KSIĄDZ I to wszystko. W czerwcu roku ubiegłego, na tym samym terenie, zanotowano 74 wypadki kradzieży—obecnie trzy i 9 włamań, 14 wypadków bójek ulicznych, w tym jedno zabójstwo—no, i jeden wypadek zgwałcenia.

MINISTER W tym roku nie było żadnego, rozumiem.

KSIĄDZ (patrzy nań z ponad okularów). Panie ministrze, te cyfry były i w latach ubiegłych, zawsze mniej więcej jednakowe—

MINISTER Tak, tak, zrozumiałem.

KSIĄDZ Ja się nie znam na statystyce. Słyszałem coś niecoś—że trzeba podobno notować takie rzeczy przez dziesiątki, bodaj czy nie setki lat, aby się móc przekonać, czy taki jeden wyjątkowy czerwiec, nie był tylko złudnym przypadkiem. Nie mam tyle czasu przed sobą. Ja zresztą nie wierzę w statystykę. To pogańska religia. (chowa kartkę do kieszeni, zdejmuje okulary, mówi w zamyśleniu). Wiem tylko że od dwóch miesięcy mój kościół jest pełny. Moi wierni są ludźmi ubogimi. Świeczki, jakie się palą przed obrazem Św. Teresy są cienkie. Ale jest ich dużo. Przynoszą Jej dużo kwiatów, taniutkich, ale najdroższych. I przychodzą. Mōdlą się spowiadają, przystępują do komunii świętej. Wiem, że wychodzą z kościoła obmyci łzami i podniesieni na duchu. Że unikają grzechów—ha, robią co mogą—że są dumni, iż właśnie w ich smutnej brzydkiej dzielnicy, w ich kościele, na ich ulicy wydarzyło się tamto—dumni, że jedni są Teresy sąsiadami, a inni, że przechodzili codzień obok jej domu, a tanitym buty naprawia jej szwagier, a owym bieliznę prasowała jej matka. Tyle wiem, panie ministrze. I wiem, że to dużo. To bardzo dużo.

MINISTER A co z tego wynika ?

KSIĄDZ Ja nie wiem. Zdaje mi się, że coś dobrego. Coś, z czym się trzeba liczyć.

MINISTER Kochany księżu, bywają zbrodnie, których skutki wydają się nam błogosławione.

KSIĄDZ Należy dziękować wtedy Opatrzności, że ludzką złość obróciła ku dobremu.

MINISTER Ale zbrodnię należy ukarać.

KSIĄDZ Jeśli posiejemy kłokol a wyrosnie nam zboże ?

MINISTER Od siania do żniwa daleko. I tem większa, drogi panie, odpowiedzialność tego, który ziarno wysiewa. (Wstaje, przechadza się, mówiąc). Proszę pomyśleć o tem, że ludzki system wymiaru sprawiedliwości jest dziś olbrzymią sumą tysiącletnich wysiłków całej ludzkości,

wszystkich historycznych okresów, wszystkich kolejnych cywilizacji. Ten olbrzymi dorobek ludzkiego mozolu szuka wciąż nowych form i doskonalszych, przechodzi z pokolenia na pokolenie i rośnie. Rośnie, pęcznieje z każdym dniem, z każdym procesem, z każdym wyrokiem, z każdym doświadczeniem i z każdą zbrodnią. Wciąż nadąza o krok za rozwojem nieprzewidywanych form życia, wciąż przewycięza niespodzianki ludzkiego charakteru, ludzkiej słabości i ludzkiej mocy, wciąż uczy się człowieka. I coraz bardziej zbliża się do swego ideału. To znaczy, że nasz system wymiaru sprawiedliwości stara się i powinien być siłą, równą siłom samej przyrody. Wyłoniła ją ludzka tęsknota do ładu, ludzka żądza życia i miłość własności. Wyłoniła ją sama przyroda człowieka. Przyroda jest sprawiedliwa. Nie dba o jednostkę, ale sprawiedliwa jest dla gatunku. Zmusza go do największej wydajności, do egzystencji, najbardziej dla gatunku moralnej—i chroni go, albo go potępia. Prawo ludzkie musi mieć w sobie wszystko z praw przyrody—ponad codzienne, przypadkowe pomyłki i niespodzianki, musi zmierzać do stałej, przeciętnej nieomyślności. (Po chwili). W naszym systemie prawa, zbrodnia powinna wywołać karę. To jest wszystko. Podobno cały gmach matematyki można wyprowadzić z formuły dwa a dwa jest cztery. Ale dość zmienić tę najskromniejszą zasadę, tę amebę matematyki, aby cały gmach runął w gruzy, w chaos rumowiska. Matematyka jest sprawiedliwa. I każda dziedzina wiedzy ludzkiej stara się przemienić w matematykę. W naszej matematyce prakomórka, istotą i podstawą jest wzór—„kara za zbrodnię“.

KSIĄDZ Trudno mi za ten wszystkim nadążyć. Wierzę, że to prawda, skoro stwierdza to właśnie—pan minister. Ale tak często słyszy się o pomyłkach sprawiedliwości. Ludzki aparat poznania jest przecie tak niedoskonały. Może dlatego, że sam jestem człowiekiem innej wiedzy—i innej tęsknoty—kto wie czy nie starszej jeszcze.

MINISTER Zmierzającej do tego samego celu ?

KSIĄDZ Ale na innej drodze, panie ministrze—a to dosyć ważne—na innej drodze, mniej matematycznej . . . na której dwa a dwa może być nic i może znaczyć wszystko i wszystko, co jest pośrodku—może dlatego mogłoby mi się wydawać, że lepiej dziewięć razy przebaczyć winnemu, niż raz niewinnego skrzywdzić.

MINISTER Niech się to panu nie wyda okrutne, co odpowiem—ponieważ terminy okrucieństwa, czy miłosierdzia nie wchodzą w skład naszego słownictwa—otóż lepiej dziewięć razy ukarać niewinnego, niż jedną zbrodnię puścić bezkarnie.

KSIĄDZ Dlaczego ?

MINISTER Gdyby w naszym mieście wybuchła nagle śmiertelna epidemia, wobec której medycyna stanęłaby bezradnie, gdyby groziła rozlaniu się na cały kraj—co należałoby uczynić ? To, co czyniono kiedyś—zamknąć bramy miasta i skazać na zagładę chorobę samą i wszystkich zarażonych i zdrowych. Bo jeśli niedoskonały lekarz przeoczy chorobę w zdrowym pozornie organizmie—jakżeż straszliwa będzie jego odpowiedzialność ! To jest sprawiedliwość medycyny. A gdyby wybuchła wojna i postawiła naprzeciw siebie dwa narody . . . ? Czy wolno żo nierzowi wypatrywać i rozsądzać, kto z tamtej strony jest jego wrogiem a kto jest niewinny wojnie, kto mu tam jest bratem, towarzyszem z międzynarodówki sztuki, z międzynarodówki pracy czy z międzynarodówki kapitału ? Trzeba strzelać. To jest sprawiedliwość żołnierza. Widzi pan, drogi księżo, myśl o tem, że mógłby zostać ukarany człowiek niewinny, może być przykrą dla mnie i dla pana—

KSIĄDZ No, i dla tego ukaranego ?

MINISTER Tak. I dla niego. Ale nieukarana zbrodnia staje się ogniskiem zarazy. Mówiliśmy o błogosławionych skutkach naszej historii. Niech się ksiądz przed czasem nie cieszy. Przypuśćmy, że sąd uwolni tego



Bylejaka. Co będzie, jeśli jutro zdarzy się taki sam wypadek w kościele księdza, a pojutrze dziesięć takich wypadków w dziesięciu kościołach i miastach? Co będzie, gdy wszyscy święci Pańscy zaczną rozdawać złodziejazkom i spryciarzom wota kościelne i skarbonki? Wtedy ksiądz przybiegnie do mnie—ratuj nas pan przed cudami!?

KSIĄDZ Panie ministrze. Ja nie przyszedłem dziś prosić o łaskę dla oskarżonego Bylejaka—

MINISTER Nie miałbym nawet na to żadnego wpływu. Proszę księdza, my rozmawiamy prywatnie. Ja poprostu jestem zirytowany tą całą historją. I dla swojej prywatnej wiadomości chcę się księdza spytać: czy ksiądz wierzy, że było tak, jak nam zeznał Bylejak?

KSIĄDZ Nie wiem.

MINISTER Proszę mi odpowiedzieć otwarcie—czy ksiądz wierzy w ten cud?

KSIĄDZ (po długiej chwili). Pan minister mi wybaczy, gdy zauważę, że to pytanie jest źle postawione. Albo cudów niema—albo wszystko jest cudem. Wszystko razem i każdy szczegół z osobna. Ja wierzę—powiem nawet: wiem—że człowiek żyje w nieustającym tęczowym kręgu cudowności, że sam jest cudem i cudem jest wszystko co jest w nim i dokoła niego.

MINISTER To jest, niestety, scholastyka.

KSIĄDZ (uśmiecha się, szeroko i poczciwie). Ha, i cóżemy wytłumaczyć, mówiąc „scholastyka“? Być może, iż mówię rzeczy zbyt proste, ale dalibóg, panie ministrze, nie wykrętne. Gdyby spytać kogo, co rozumie i co myśli, mówiąc słowo „cud“ odpowiedziałby mi zapewne—że cud jest to zjawisko, którego przyczyn, ani przebiegu nie umiemy sobie wytłumaczyć—co więcej—jego przyczyny i przebieg, zdają się być w sprzeczności z wszystkimi prawami przyrody i zdrowego rozsądku, zdają się przeto wynikać z sił nadprzyrodzonych. Na takie określenie odpowiem zawsze: scholastyka. (Uśmiecha się. Po chwili). Umiemy myśleć o sprawach oderwanych od życia, nieważkich i ledwie uchwytnych, umiemy tworzyć dzieła sztuki, których widok, albo brzmienie wyciska czyste łzy z oczu ludzkich jeszcze po setkach lat, odczuwamy wzruszenia wyższe, niż wzruszenia głodu, pragnienia i żądz—umiemy przeżywać cudze cierpienia i radości, czujemy potrzebę dobra i pogardę nieprawości—mamy sumienie. Co to znaczy? Co to jest? POCO? Dlaczego? Kto je umieścił w nas? I gdzie—w jakim mięśniu? W jakiej komórce? Scholastyka. . . . Przyjmijmy, że jednostka, jej cały ogromny i bogaty i cudowny świat, może nic nie znaczyć, jeśli chodzi o dobro—jak to pan minister powiedział? —gatunku. O mądrość gatunku. Ba, cóż to za mądrość? Gdzie ma swoje siedlisko? Gdzie jest jej umysł? Mówimy z taką swobodą o prawach przyrody, jakbyśmy sami je ustanowili. Dlaczego przyroda ma prawa? Dlaczego nie jest kapryśnym chaosem? Gdy nie znamy przyczyn tych praw—jakżeż możemy stwierdzić, co jest z nimi sprzeczne, co zgodne? Co jest „nadprzyrodzone“?

MINISTER Drogą księże, rozumiem. Ten stół, przy którym siedzimy—jest dla mnie przedmiotem prawnym, dla pana cudem, dla fizyka fontanną elektronów, a dla malarza martwą naturą. Stołem jest niestety tylko dla stolarza. (Ksiądz śmieje się). Ksiądz dobrze wie, o co mi chodzi. Ja też wiem—o co nie chodzi księdzu.

KSIĄDZ Mam, krótko mówiąc, odpowiedzieć ze stanowiska—stolarskiego—czy wierzę, iż święta Teresa z obrazu podała swoje perły Józefowi Bylejakowi?

MINISTER Tak.

KSIĄDZ W przeciwnym razie musiałbym uwierzyć, że Bylejak perły ukradł?

MINISTER Tak jest.

KSIĄDZ (nagle kryje twarz w dłoniach).

MINISTER Co księdzu jest ?

KSIĄDZ (nieszczęśliwym głosem). Ja nie wiem, ja naprawdę nie wiem.  
. . . Są rzeczy między cudem a zbrodnią, o których wiemy tak mało. . . .  
Jest jeszcze jedna, smutna niespodzianka w tem wydarzeniu—

MINISTER Jaka ?

KSIĄDZ (składa ręce, błagalnie). Nie mogę tego nikomu powiedzieć—  
—jest coś, co mnie gnębi i smuci—

MINISTER To dziwne—

KSIĄDZ Panie ministrze—(wstaje)—pukałem do pańskich drzwi, aby  
pana o coś poprosić—

MINISTER Niechże pan usiądzie—pan jest tak przejęty—zrobię  
wszystko co będzie w mojej mocy.

KSIĄDZ (siada). Chciałbym bardzo zobaczyć się i pomówić na osob-  
ności, bez świadków—z Józefem Bylejakiem—Czy pan minister mi pozwoli ?

MINISTER Czego się ksiądz chce od niego dowiedzieć ?

KSIĄDZ Nie, nie. To ja muszę jemu powiedzieć coś—boję się tego  
—to okropne—ale—nie mogę inaczej. Proszę, niech mnie pan minister  
raczy nie pytać—

MINISTER Nie będą pytał. Nie próbuję się nawet domyśleć.

KSIĄDZ Muszę spełnić swój obowiązek—mój Boże, jak dobrze jest  
ludziom, których obowiązki określa ich zwierzchnik, albo szef, albo dyrektor

. . . Jak ciężko jest czasem rozstrzygać o tem samemu—

MINISTER Kiedy ksiądz chce to zrobić ?

KSIĄDZ Jutro jeśli wolno—

MINISTER (podchodzi do biurka, zapisuje). Dobrze.

KSIĄDZ (wstaje, składa ręce z wdzięcznością). Panie ministrze !

MINISTER Proszę się porozumieć jutro z kancelarją aresztu śledczego,  
wyznaczą księdzu godzinę.

KSIĄDZ (wstaje—podchodzi do ministra, który mu wychodzi naprze-  
ciw). Dziękuję. Z całego serca dziękuję (Podaje ministrowi rękę).

MINISTER (przytrzymuje dłoń księdza w swojej). Niema o czem  
mówić.

KSIĄDZ I przepraszam za to, żem tyle drogiego czasu zabrał i kłaniam  
się panu ministrowi.

MINISTER To ja dziękuję księdzu—za zaufanie—bardzo bym się  
cieszył, gdybyśmy mogli jeszcze kiedyś porozmawiać z sobą—żałuję tylko,  
że ksiądz zapewne nie zechce napić się ze mną—choćby na pożegnanie—  
mam taki dobry koniak. . . .

KSIĄDZ Kiedyś . . . bardzo lubilem. . . .

MINISTER Może—pół na pół z wodą ?

KSIĄDZ (chrząka). Mam ją u siebie w szafce, jeszcze z tych dawnych  
czasów, jedną i drugą buteleczkę—kto wie, czy nie równie starą i równie  
sprawiedliwą—i gdyby dostojny gość chciał kiedy zaszczyścić księżowskie  
progi—tobym się pewnie z radości i sam, ostatni raz w życiu, napił—i  
gościa bym wodą nie zatrzymał. . . .

MINISTER (śmieje się). Trzymam księdza dobrodzieja za słowo—w  
takim razie —do widzenia ! (kłania się).

KSIĄDZ (ciągle z dłonią w dłoni ministra). Dowidzenia, panie minis-  
trze ! (Schyla głowę).

KURTYNA

KONIEC OBRAZU TRZECIEGO



## O PEŁNE WYZWOLENIE CZŁOWIEKA.

## 2. SMOK Z WIEŻY.

Średniowieczne krużganki i baszty zamkowe we współczesnym pejzażu zamieniły się w masywy murów fabrycznych i wież pałacowych. Rycerz ustąpił miejsca przed-iębiocy i tankierowi. Smok legendarny, goszczący w podziemiach zamkowych, a żyjący często w zgodzie z interesami pana, przeniósł się do wieżyc otoczonych parkiem. Współczesny smok i współczesny rycerz przemysłu, czy finansów zawarli trwale przymierze.

Jeśli pomiędzy legendami, które służą tym, co dziś posiadają i rozkazują zrodzą się jakieś legendy o walce ze smokiem, to walki te w niczem nie będą podobne do zmagañ Św. Jerzego. Smok współczesny służy swojemu panu, a nieporozumienia, jakie wynikają, nie są nigdy winą smoka, lecz mają swe źródło w krótkowzroczności pana. Pan zapomina, że życie się zmienia, a smoki z czasem tracą zęby i przestają straszyć.

Smok z wieży, w świetle współczesnej hierarchii feudalnej jest mniej potężny od potwora z lochów. Smok ten, służący tajemniczym, a w gruncie rzeczy prostym potrzebom produkcji i zapotrzenia mas, płaci haracz potężniejszemu kuzynowi.

Kapitał pieniężny umocnił legendę o swej wartości. Kapitał pieniężny zgodnie z bezkrytyczną a powszechną opinią, jest najniezbędniejszym czynnikiem produkcji. Przemysłowiec i kupiec muszą machinie, którą bankier rozpętał, płacić stały procent, bez względu na stan ich interesów oraz rentowność przedsiębiorstw, przez nich prowadzonych. Prawdą jest, że część korzyści otrzymywanych przez bankiera, ten wypłaca licznym rzeszom depozytariuszy. Prawdą jest jednak, że gdyby podsumować wszystkie przepadłe wkłady oraz wszystkie wypłacone przez banki klientom procenty—to zapewne suma przepadłych wkładów byłaby większa, aniżeli sumy wypłaconych procentów.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę stałe dewaluacje i potopy inflacji, które nawiedzają wszystkie kraje świata, to musimy zrozumieć, jak niemoralnym jest pęd w kierunku przyciągania zaoszczędzonych pieniędzy do dzisiejszych banków, pod pozorem rozbudowy przemysłu czy handlu. Ratunkiem dla tej fikcji, głoszącej hasło „pewność i zaufanie”—jest krótkotrwałość pamięci ludzkiej oraz brak uzdolnień matematycznych. Bo gdyby biedakom, składającym pieniądze, wiadomem było, że ćwierć pensa w złocie, oddane na cztery procent w dacie Narodzenia Chrystusa, winna ich sukcesorom obecnym przynieść górę złota wielkości globu ziemskiego, to szukaliby dla swych lokat bardziej moralnych i realnych zabezpieczeń, niż banki. Anormalność tych stosunków potęguje fakt, iż właściciele tego rodzaju zakładów finansowych cieszą się pełnym szacunkiem i czerpią wielkie korzyści materialne ze swej działalności.

Przedsiębiorca przemysłowy lub kupiec, prócz inwencji pracy oraz wkładu materialnego, musi posiadać zmysł realizmu, musi odczuwać potrzeby ludzkie, rozumieć prawa życia. Przemysłowiec musi produkować, to jest wytwarzać nowe dobra. Kupiec musi dobra wytworzone dostarczać do miejsca ich zapotrzebowania, konserwować je i sprzedąć tak, aby klient czuł, że zostały zaspokojone jego ludzkie potrzeby. Bankier operuje fikcjami i teoretycznie korzysta z przywileju powstrzymania się od wszelkiego ryzyka. Bankiera—operację kupca czy przemysłowca nie obchodzą. Kontrola bankiera sięga tak dalego, jak nakazuje mu bezpieczeństwo dokonanych wkładów. Procent musi być wplacony, kapitał winien być zwrócony, a produkt należy wyprodukować taki, który zagwarantuje powyższe. Zagadnienie użyteczności, celowości społecznej, zdrowotności, estetyki

wytwarzanych artykułów jest tylko o tyle ważne, o ile nie narusza zabezpieczenia procentów i kapitału. Te nakazy, idące od wszechwładnego bankiera, narzuca się przemysłowcowi. Ambicja twórcza, poczucie roli społecznej, duma zorganizowania pozytywnej placówki, satysfakcja z dobrze wypełnionego zadania, to wszystko ustępuje miejsca pogoni za zyskiem, za rosnącą kolumną cyfr na rachunku bankowym, za dobrem nierealnym, nieistotnym, przemijającym.

Majster fabryczny, twórca najpotężniejszych warsztatów produkcyjnych, wieloimienny Henryk Ford, odsunięty z terenu swej huczącej fabryki, przekształca się w anonimowego mieszkańca pałaców. Minał dla niego czas, gdy dzieło rąk jego i dzieło maszyn przez niego kierowanych było źródłem jego dumy. Czas, kiedy praca związana była z twórczością, skończył się dla przemysłowca czy kupca—ujarzmil ich mit pieniężny, gdyż poszli na służbę do bankiera.

Dziś wielki producent nie widzi najczęściej swoich wytworów. Dziś wielki kupiec nie rozróżnia ani gatunków, ani nazw artykułów, które pełnymi statkami czy dziesiątkami wagonów rozsyła w różne strony świata. Żaden z nich nie pamięta i nie zna licznych twarzy odbiorców czy współpracowników swego lub swych przedsiębiorstw. I znowu jesteśmy świadkami mitologizacji nietylko procesów produkcji, ale także i jej organizacji, oraz metod rozprowadzania dóbr wytworzonych. Jeszcze jeden z elementów życia oderwał się od podłoża, na którym wyrósł i tylko dzięki przypadkowi oraz dzięki bierności mas trwa, wywołując coraz to większe rozprzężenie społeczne.

Młodość pełna jest temperamentu i pożąda walki. Gdy rewolucja francuska otworzyła roгатki miasta Paryża—umożliwiła powstającemu przemysłowi pójść w świat szeroki. Ludzkość była spragniona wytworów pracy ludzkiej. Produkty przemysłowe krajów europejskich, dostarczone przez na pół uzbrojonych kupców, opanowały coraz to odleglejsze rynki. Ryzyko osobiste i odwaga osobista upoważniały do przyjęcia zasady drzwi otwartych. Zasada ta, choć prowadziła do sankcjonowania wojny gospodarczej i prawa silniejszego—nie była groźna w tych czasach. Raczej zmuszała do pilnego zespłania się z terenem, do wsłuchiwania się w jego potrzeby i chroniła odbiorców przed monopolistycznym wyzyskiem. Srogość walk gospodarczych początkowo nie była dewastacyjną, a opowieść pewnej grupy marksistów, iż z tego kotła najwięcej wyciekało wojen, nie znalazła historycznego usprawiedliwienia.

Bogaty wojny nie lubi, nie lubi nawet hałasu wojny „na niby“. Przemysł i handel zatem wraz ze wzrostem zamożności i narastaniem trudności konkurencyjnych—wolał zawieszenie broni. Dawne zawaśnione obozy zaprzestają bezkrwawej walki. Powstają kartele i trusty, tworzą się wielkie domy handlowe, zawierane są różnorakie konwencje, a wszystko po to, by dużo, dobrze i bez kłopotu zarobić. Zyski trzeba pomnażać, a że i czynniki uczuciowe można wyzyskać, należy zaprządz do swego wózka patriotyzm i poczucie krzywdy społecznej. Propaguje się więc metody gospodarcze, przy których, stwarzając pozory działań altruistycznych,—skupia się w swoich rękach szereg wspianiałych przywilejów. Pod hasłami narodowemi, społecznemi, pozornie głęboko bezinteresownemi, prze się w kierunku rozbudowania ceł ochronnych. Ci, którzy przedtem burzyli roгатki strzegące bram miejskich, teraz już, bez ryzyka życia i krwi, jedynie przy pomocy piór usłużnych, przeniósłszy się dawno z warsztatów rzemieślniczych do pałaców, wołają o postawienie nowych, mocniejszych rogatek. Zyski trzeba pomnażać: pokój, zawarty z dawnymi konkurentami oraz altruistyczne cła ochronne i kartele, pozwolą na lepszą eksploatację mas konsumenckich. Należy więc z kolei uchylić bram między państwami, a gdy zostanie trochę wolnej przestrzeni na harce i gonitwy, rezultat będzie lepszy. Taki idealny stan rzeczy gwarantował wynalazek



„klauzuli największego uprzywilejowania“. Wynalazek ten był dogodny dla współczesnych spekulantów, oderwanych od warsztatów produkcji, a pozostających w sferze mistyki. Mury tariff celnych, podnoszonych dowolnie pod naciskiem coraz potężniejszych wpływów warstw posiadających, zostały zaopatrzone w wyloty, przez które sprzymierzeńcy, związani w międzynarodowe kartele, ruszali na operowanie i eksploatację słabszych, niezależnych, lub zbuntowanych przeciw zawartej zmwie.

Na zasadzie klauzuli największego uprzywilejowania, państwa zawierające kontrakty handlowe, zobowiązują się udzielać wszystkim kontrahentom tych samych zniżek celnych i innych przywilejów, jakie traktatowo zostają udzielone jednemu z uczestników umów. Za dobrodziejstwa tego wynalazku płacą dwie grupy społeczne: 1) Konsumenci, którzy w stosunku do artykułów skartelizowanych w skali światowej nie mogą się spodziewać żadnych zniżek płynących z uprzywilejowanych tariff celnych, 2) Robotnicy w niskiej płacy i bezrobociu ponoszący koszty walki konkurencyjnej.

Walkę w skali międzynarodowej podejmuje się jedynie w tych dziedzinach produkcji, gdzie jedna z grup wytwarzających dane artykuły znajdzie się w specjalnie korzystnych warunkach, które powstały albo na skutek zastosowania nowych, bardzo wydatnych, a tanich metod wytwórczości, albo naskutek zasiłków dumpingowych, płaconych przez państwo. Z wyjątkiem okoliczności pierwszej, walka ta pozbawiona jest cech konstruktywnych. Skutkiem jej bywa ruina przedsiębiorstw przemysłowych kraju słabszego, wzrost bezrobocia i pogłębienie chaosu.

Klauzula największego uprzywilejowania w traktatach handlowych pozostawiając bariery celne, niszczy i wypacza życie gospodarcze w sposób bardziej skuteczny, niżli by to mogła uczynić pełna swoboda wymiany lub pełna autarkja. Utrzymanie tej zasady da się wytlomaczyć wynikiem poczucia rzeczywistości u mas, ulegających demagogii sfer posiadających oraz automatyzmowi myślowym. Frazes o wolności łącznie z frazesem o popieraniu wytwórczości rodzimej utrzymuje ów dziwoląg gospodarczy dający poważne zyski większości posiadaczy warsztatów produkcyjnych.

Współzawodnictwo, jako czynnik konstruktywny, przestaje, jeżeli nie przestało już zupełnie, istnieć w pracach przemysłu. Konkurencja w swej ewolucji na terenie gospodarczym przestała się liczyć z elementarnymi zasadami uczciwości i moralności. Kierownik przedsiębiorstwa, całkowicie odseparowany od wytwarzanego produktu, nie może mieć miłości do dzieła pracy rąk ludzkich i sił przyrody. Uczucia satysfakcji z pokonania oporu martwych brył, ustępujących woli i świadomości ludzkiej, dających nowy kształt materii, nie są dziś częste. Niszczenie lub ponizienie wartości użytkowej czy estetycznej warsztatu wytwórczego, a także i produktu wytwarzanego, nie spotyka się z należną karą. W tych warunkach, konkurencja tam, gdzie jeszcze istnieje, przekształca się w czynnik bezwzględnie szkodliwy. Bezimiennność osób działających ułatwia akceptowanie każdej metody. Stare firmy obdarzone dumą rodową nie byłyby zdolne do wykonania czynów, na które decydują się z łatwością dyrektorzy i współwłaściciele anonimowych spółek. Wartość pozytywna współzawodnictwa unormowanego poczuciem moralnym, skłania do przywrócenia go we współżyciu gospodarczym, jednak w postaci dostosowanej do dzisiejszych potrzeb.

Kartele powstały dla lepszego wykorzystania konjunktury przez posiadaczy warsztatów produkcyjnych. W trosce o swój interes przemysłowcy stworzyli organizację, która przyjęła zasady planowości gospodarczej. Celem tej organizacji nie było spotęgowanie wytwórczości, obniżenie cen produktów, lub podwyższenie płacy robotniczej. Społeczny i humanitarny punkt widzenia został zupełnie pominięty. Działalność organizacji kartelowych przy kapitalistycznej gospodarce dewastuje przemysł. Ginie troska o rozbudowę, o renowację, o polepszenie gatunku, o ulepszenie, o posze-

zenie rynku zbytu. Wystarczy wysoka cena przy małym obrocie, jeśli zabezpiecza zysk. Wystarczy monopolistyczne stanowisko, które stwarza gwarancje tego zysku. Wystarczy ścisły związek z organizacją państwową, gdyż on zapewnia przywileje. Ambicję twórczą zastępuje ambicja pobierania renty za postój. Zamykać, zamykać fabryki, mnożyć głodnych i bezrobotnych—to nie przejmuje posiadających wstrętem. Bezcenne fabryki i renta—oto ideał wygody życiowej. Zjawisko groźne z punktu widzenia społeczno—gospodarczego, świadczące o degeneracji natury ludzkiej. Inwalida psychiczny szuka zadowolenia w krótkotrwałych podniętach. Człowiek wyzuty ze skrupułów pozbawia masę robotniczą pracy, która jest dla niej nie tylko źródłem zaspokojenia potrzeb materialnych, lecz sprawdzianem jej użyteczności.

Czy wyczerpaliśmy zastrzeżenia w sprawie zmitologizowania tak do niedawna praktycznej działalności przemysłu ?

Widzieliśmy, jaką ewolucję przeszedł właściciel lub kierownik przedsiębiorstwa, ewolucję, która doprowadziła do utraty kontaktu z rzeczywistością. Zastanówmy się teraz, jak wygląda sytuacja robotnika w nowych, zmechanizowanych warsztatach wytwórczych ? Temat ten był niejednokrotnie poruszany, jednak dla dania pełnego obrazu nie można go tu pominąć.

Charlie Chaplin, doprowadzony do rozpacz monotonią gestów współczesnych i zautomatyzowanych odruchów, rzuca fabrykę, by wzięwszy pod ramię ukochaną dziewczynę, pójść przed się pośród łąk i ogrodów. Lecz nie każdy jest Charlie Chaplinem i nie przed każdym otworzy się droga swobody. Miliony rąk i ramion, miliony stóp i ud, miliony kręgosłupów poruszanych zdyscyplinowanymi mięśniami, wykonuje automatyczne gesty, zwane pracą. Robotnik zna jedynie znikomą część całokształtu pracy fabrycznej. Jemu, jak i przedsiębiorcy, nie wiadomy jest jej rezultat i obcy ostateczny produkt. Chcąc nie chcąc robotnik zamienił także twórcze zadowolenie na banknot sobotniej wypłaty. Ciąży mu praca sprzeczna z naturą, żądającą harmonijnego współdziałania wszystkich ludzkich władz.

A może inaczej wygląda sytuacja inżyniera ? I on też nie wiele ma do powiedzenia o całości produkcji. Jeśli pracuje w fabryce, podlega mu niewielka część jej obszaru. Jeśli ma kreślić i planować, staje się kółkiem wielkiego mechanizmu, o którego działaniu ma słabe pojęcie.

Kto w tych warunkach pozostał pełnym, prawdziwym człowiekiem ? Człowiekiem twórcą, odczuwającym przyspieszone bicie serca na widok owoców swego działania ? Nie jest nim właściciel, ani dyrektorzy, ani inżynierowie, ani też robotnicy. Człowiek przepadł.

Może więc w pracy tej najtrudniejszej, najsmutniejszej, w czarnej pracy niewolnika zastępuje go maszyna ? Może już nie z Charlie Chaplinem ale z Rene Clairem zdoła on wyjść na szeroką wodę, przejść do sali tanecznej, pełnej powietrza i słońca, by oświadczyć : A nous la Liberte ! Może zgodnie z wersją Rene Crair'a tryby maszyn same się już mają obracać, wyrzucając na rynek liczne bogactwa dla wszystkich ?

Pogłębiający się rozdźwięk pomiędzy pracą a twórczością zniechęca masy do wszelkich działań. To nie tylko postęp techniczny powoduje żądanie skróconego czasu pracy. To brak zainteresowania czynnościami wykonywanymi—to nuda. Nawet skrócony dzień roboczy dłuży się, staje się dniem nie do zniesienia. Robotnik, walcząc o skrócenie godzin roboczych, walczy o skrócenie tortur nudy.

Czas wolny—w przeciwstawieniu do czasu pracy—musi być pełen podniet. Czas ten jest wypoczynkiem, a więc nie może być zapełniany czynnościami użytecznymi. Godziny wolne, zgodnie z powszechnym przeświadczeniem, wypełnić winna rozrywka. Pierwiastek twórczości, wyeliminowany z pracy, nie znajduje ujścia w godzinach wypoczynku. W ten sposób człowiek, którego najwyższym atrybutem jest zdolność tworzenia,



choćby w najszczuplejszym kręgu spraw, ostatecznie przestaje być człowiekiem.

Rozrywka, tracąc świeżość, wymaga coraz to nowych postaci. Jedyną możliwością nasycenia tej potrzeby jest wzrastająca ilość pieniędzy. Mechaniczna praca i narkotyk wypełniają więc lwią część tego, co jest przez nas tak ukochane, co nazywamy życiem. Pustka, tak uczuciowa, jak intelektualna, grozi jałowością nie tylko jednostkom żyjącym. Zubożając naturę ludzką, powoduje ona zwyrodnienie najistotniejszych cech gatunku i ograniczenie jego możliwości. Oderwanie człowieka od bezpośredniej radości tworzenia i rozbrat z siłami przyrody, grozi odległą może w czasie, ale nieuchronną zagładą. To wszystko, co długie lat miliony wytworzyły i namuliły w naszej podświadomości, jako źródła trwania i hartu oraz świadomości—maleje. Idąc po dzisiejszej linii rozwojowej, będziemy dziedzicznie przekazywali dalszym pokoleniom coraz mniejszą ilość treści. Trwonimy skarby i przygotowujemy zagładę. Na miejsce ludzi z krwi, kości i ducha, przyjdą kadry słabeuszy, pozbawionych impulsu twórczego. Robot, nie mechanizm, podległy inteligencji i woli ludzkiej, robot człowiek wyzbyty najistotniejszych wartości, oto groza dni jutrzejszych.

Czasy ubiegłe, gdy od wysiłku i imagacji ludzkiej zależała ilość dóbr materialnych, skryponych w rękach człowieka pracy, stworzyły pojęcie własności. Słusznym było, aby w tych okresach, gdy walory osobiste często decydowały o ilości nagromadzonych dóbr, jednostka i jej następcy mieli możność pełnego rozporządzania tym dorobkiem. Wrogiem pojęcia własności był w owych czasach ten, kto żadną pracą się nie parął. Dawno już jednak minęły te lata, gdy prawo własności wspierało się na poczuciu moralnym. Dzisiejsze pojęcie własności na żadnym prawie moralnym ugruntowane być nie może. Olbrzymie fabryki, potężne gmachy mieszkalne, wielkie domy handlowe—gdzie szukać ich źródeł własności? Czyż wszechobejmujący geniusz ludzki, tysiączne wynalazki, praca i śmierć anonimowych milionów, mogą być podstawą zasady własności? Czyż może kto usprawiedliwić prawo rozporządzania przez przypadkową jednostkę tem, co z nadziei i smutków, co z sił dotychczas nieokілznanych powstało i powstaje? Własność w tradycyjnym ujęciu jest anachronizmem, jest narzędziem przemocy i krzywdy, nie zaś słuszną kompensatą wysiłku. I tak pojętej własności nie uratuje przepisanie tytułu na bezimienne społeczeństwo lub bezosobowe państwo. Ani urzędnik komunalny, ani urzędnik związków zawodowych, czy pracownik innych zrzeszeń, ani nawet najtęższy biurokrata państwowy nie uratuje i nie zmieni nic przez przejście na siebie odpowiedzialności za martwy tytuł własności. Bo nie zmiana tytułu, lecz zmiana formy pracy i zasad używania jest niezbędna.

ALEKSANDER HERTZ

## NIEZNISZCZALNE GHETTO.

Słowem „provincjonalizm“ dałoby się najwłaściwiej określić tę atmosferę duchową, jaka panowała w Polsce w ostatnich latach przedwojennych. Pod znakiem zaścianka, pod znakiem głuchej, nudnej i smutnej prowincji stało nasze życie kulturalne, stały nasze koncepcje polityczne czy ideologiczne. Były widoczne oznaki, że związki nasze z wielkimi ośrodkami myśli światowej ulegają rozluźnieniu, że rwą się, że jest ich coraz mniej. Przygnębiające wspomnienie czasów saskich narzucało się świadomości tej nielicznej gromadki ludzi, którzy jeszcze czuli po europejsku i w europejskości widzieli sens swego życia.

Czasy saskie! Więc zatracenie zmysłu rzeczywistości, zagubienie perspektyw historycznych, więc megalomanja, więc konserwatyzm, nieuczność

do wszystkiego, co nie dawało się zmieścić w ramach utartych i uznanych szablonów. Więc brak zainteresowania dla zagadnień ogólnoludzkich, więc wreszcie—niepoważny stosunek do rzeczy bardzo poważnych i poważny do zgoła niepoważnych. Czy trzeba ilustrować to przykładami?

Nie oznacza to, by nie interesowano się tem, co się działo poza granicami Polski. I w dobie Sasów szlachetczy: na nie jedno importowała z zagranicy. Ale podobnie jak wtedy, tak i teraz brało się przedewszystkiem to, co dawało się wygodnie umieścić w schematach rodzimego zaścianka duchowego. Importowano rzeczy, które były zgodne ze smakiem i upodobaniami odrodzonego pokolenia saskiego. Jakże to znamienne, że z całej ówczesnej francuskiej produkcji publicystycznej największem powodzeniem cieszył się u nas znakomity „Gringoire“, że z drugiej strony artykułach pani Tabouis widział niejeden kwintesencję francuskiej myśli politycznej. A zresztą, ileż z tych importowanych produktów ulegało w naszej adaptacji gruntownemu splyceniu i zwulgaryzowaniu.

O wielkich wydarzeniach europejskiego i amerykańskiego życia kulturalnego, o wielkich borykaniach się myśli światowej wiedzano u nas bardzo mało. Któż miał o tem informować i w jaki sposób? Na palcach możnaby policzyć tych ludzi i te ośrodki moralne, które programowo starały się utrzymywać związki Polski z żywą myślą wielkiego świata. Pozatem znajomość języków obcych, z której ongiś inteligencja polska była tak dumna, stała się teraz żalosnem wspomnieniem przeszłości.

Na pociechę możemy sobie powiedzieć, że nie my jedni żyliśmy pod znakiem ucieczki od Europy. Jest wysoce znamienne, że wśród naszych zagranicznych importów przeważały produkty takiej samej tromtadracji, takiego samego prowincjonalizmu czy zaściankowości. Katastrofa Europy była już wtedy wyraźną rzeczywistością. Europa ulegała redukcji. Izolacjonizm polityczny szedł wszędzie w parze z kulturalnym, autarkja gospodarcza miała swój odpowiednik w autarkji duchowej. Nie tu miejsce na analizę, dlaczego tak się stało, jakie były źródła obiektywne tego powszechnego zwyciężania prowincjonalizmu. Nacjonalizmy budowały własne „rodzime“ kultury, wolne od „obcych“ domieszek, czyste, tradycjonalistyczne, swojskie. Najbardziej dziwaczne i bezmyślne filozofje starały się uzasadnić tę herostratesową wobec własnej kultury robotę. Wszelka bowiem wielka kultura musi być syntezą. Gdy się oczyszcza kulturę z „obcych“ naleciałości, gdy się ją odcina od obcych wpływów, to się ją skazuje na uschnięcie, na śmierć. I dlatego nacjonalizm, a zwłaszcza jego faszystowski wydanie, niesie zniszczenie kulturze narodowej narodu, który zaczyna praktykować tę ponurą, heretycką filozofję.

Były to więc czasy ucieczki narodów europejskich od Europy. Bowiem właśnie Europą jest—wspólnota podstaw, zasadniczych treści i form kulturalnych, jest powszechna współzależność we wszystkich dziedzinach, jest wspólność losów i przeznaczeń tych kilkudziesięciu narodów, zamieszkujących ów niewielki półwysep ogromnego kontynentu Eurazjskiego. Narody europejskie uciekały od samych siebie, od tego, co stanowiło tęść ich życia duchowego. Było to szczególnie groźne dla Polski.

Albowiem właśnie nam życiowo była potrzebna europeizacja. Tylko przez związki z demokratyczną kulturą świata anglosaskiego, z racjonalistycznym myśleniem Francji mogliśmy przewycięzać w naszej kulturze ciężące na niej tradycje szlachetczyzny i młodopolskiego zakłamania. W tamtych wielkich źródłach europejskości mogły znajdować nowe wartości te siły polskie, które, wychodząc z nizin społecznych, stawały do walki o wykucie nowego kształtu kultury polskiej. Przy naszym obiektywnem położeniu politycznem, przy naszym zacofaniu kulturalnem, przy naszych tradycjach szlachetczyzny—tem groźniejszym stawał się autarkizm kulturalny wzmagający megalomanję i niszczący zdolność widzenia rzeczywistości. Mieliśmy wiele do nauczenia się u „obcych“.



Katastrofa wrześniowa wyrwała brutalnie znaczną część inteligencji polskiej z idyllicznej atmosfery zaścianka. Wyrwała w przenośni i dosłownie. Zburzyła gmach dotychczasowych złudzeń, skonfrontowała je z rzeczywistością, nakazała gruntowne przemyślenie całokształtu problemów życia polskiego. W tym sensie „wyrzuciła“ w przenośni. Ale i „wyrzuciła“ dosłownie, skazując tysiące inteligentów polskich na długotrwały pobyt w krajach obcych.

W tragicznych niewątpliwie okolicznościach powstała wyjątkowa sposobność bliższego i głębszego zetknięcia się ze światem. Sposobność naprawdę niezwykła. Gros wygnańców znalazło się w Anglii i w Ameryce, więc w tych krajach, które nie przestawały być wielkimi kuźniami myśli, w krajach, w których właśnie w toku tej wojny wre gorączkowa praca ideologiczna, w których wykuwają się nowe koncepcje polityczne, moralne, filozoficzne. Tu właśnie schroniła się wielkość europejska, tu jest kontynuacja tej wspaniałej tradycji wielkich i odważnych myśli, wielkich i odważnych zasad, wielkich i odważnych dążeń. Kto, jak piszący te słowa, ma możliwość zapoznania się ze Stanami Zjednoczonymi, ten potrafi ocenić, jak wielkie rzeczy w dziedzinie kultury duchowej zachodzą w tym niezwykłym kraju, ile tu można się nauczyć.

Ale to nie wszystko. Nasi wygnańcy nie przyjechali tu w charakterze turystów. Mają czasu dużo, mają pewne obowiązki wobec kraju, a wśród nich nie najmniejszym jest obowiązek wychowania się w atmosferze demokracji anglosaskich. Są dobrze przyjmowani. Anglija i Ameryka dają im dostęp do ośrodków swego życia duchowego, nie stawiają zapór, przeciwnie—chętnie służą pomocą i poradą. Czynią to taktownie, nawet—serdecznie. Zaiste—sposobność wyjątkowa, w swym rodzaju jedyna.

Jak ta sposobność jest wykorzystywana? Mówiłem przed chwilą, że katastrofa wrześniowa wygnała w znaczeniu przenośnym znaczną część naszej inteligencji z atmosfery zaścianka. Że zburzyła nie jedno złudzenie, że narzuciła mus przemyśleń. To, co napisałem należy właściwie do kategorii tak zwanego wishful thinking. Albowiem tak się stać powinno było, ale tak się nie stało. Na grunt Ameryki czy Anglii została przeniesiona stara polska prowincja, stary polski zaścianek. Gorzej—ta prowincja stała się dziś Ghettem.

Nie mówcie mi, że coś się naprawdę zmieniło. To, że p. XX.” reprezentuje“ Polskę w takiej czy innej instytucji amerykańskiej, że p. Y. zasiada w takiej czy innej organizacji „współpracy“, a p. Z. wyklada w tym czy w innym uniwersytecie, nie wiele znaczy, jeżeli panowie X., Y. i Z. nie przestali być takimi, jakimi znaleźmy ich tak dobrze przed wojną w Polsce.

A zresztą nawet i takich panów jest bardzo mało. Emigracja nasza żyje w świecie Ghetta, żyje atmosfera, która jest kontynuacją polskiej atmosfery przedwojennej. Tylko, że atmosfera Ghetta jest zawsze bardziej duszna i bardziej jałowa nawet od atmosfery zaścianka.

Miernikiem mojego stosunku do ludzi jest, czy i w jakim stopniu przeobrazili się pod wpływem tej wojny. Czy i jak ją przeżyli, przetrawili, jak ją w sobie przelamali, co z niej zrozumieli. I z całą pasją nie znoszę ludzi, po których wojna ta spłynęła bez śladu.

Chciwie rzucam się na każde polskie słowo drukowane, przychodzące z Londynu, na to, co piszą moi rodacy tu—w Ameryce. I ogarnia mnie rozpacz. Przecież na palcach można policzyć dowody jakiegoś przełomu wewnętrznego, jakiejś próby wyjścia poza zakłęty krąg prowincjonalnego Ghetta. Tak, jest Pruszyński. Jego „Droga wiodła przez Narvik“, jego artykuły radują serce, dając świadectwo, że człowiek ten dojrzał, że umie widzieć i że rozumie. Tak, wierzę—Słonimski przeżył tę wojnę prawdziwie. Tak, wstrząsnęły mną niektóre artykuły Zahorskiej. Tak, jeszcze kilka nazwisk można wymienić. Ale to wszystko razem da się policzyć na palcach jednej ręki.

A reszta? Czytuję „Wiadomości Polskie“, „Myśl Polską“ czytuje artykuły Mackiewicza, u nas w New Yorku—Matuszewskiego. Czytuję, co piszą ludzie różnych poglądów—z prawa i z lewa, popierający rząd i opozycja: I widzę dawne czasy kurjerkowej myśli, ikacowej filozofii, mocarstwowego zakłamania. Te same problemy, te same sposoby ich stawiania i rozwiązywania.

A nieraz jest jeszcze gorzej. Przecież w Polsce taki Matuszewski nigdy by sobie nie pozwolił schodzić na taki poziom, na jaki schodzi w nowojorskim „Nowym Świecie“. Tu nie chodzi o to, czy słuszne czy niesłuszne są jego poglądy. Chodzi o poziom, o atmosferę, o jakość rozumowania. Albo Mackiewicz, który z głupia frant protestuje przeciwko zaczepianiu Włochów, Francuzów i Hiszpanów, bo z Mussolinim, Petainem, czy Frankiem może wypadnie się jeszcze dogadać. I tu nie chodzi o to, jak ocenić koncepcję Mackiewicza, jego wiarę w możliwość konserwatywnej, umiarkowanej faszystowskiej Europy, jak oceniać jego nadzieję, że taka Europa powstanie. Chodzi o sposób stawiania zagadnienia, o tchórzostwo w nazywaniu rzeczy po imieniu. I to jest obrzydliwe i to jest zawstydzające. Zwłaszcza, że żyje się wśród narodów, gdzie odwaga przekonani i jasność stawiania zagadnień są uważane za elementarny obowiązek pisarza.

Nudna jest ta wasza produkcja polskiego Londynu. Nie lepsza jest i nasza nowojorska. Nudna i smutna. Ucieczka od rzeczywistości, ucieczka od istotnych zagadnień. To nie jest zagadnienie, czy Rydz był czy nie był głupi, czy mieliśmy sto czy dwieście czołgów. Ale jest zagadnieniem, jaką mamy mieć wizję przyszłej Polski, na jakie siły społeczne w niej liczymy, jakie mają być drogi, po których iść chcemy.

Stało przed nami jedno, rzeczywiście kolosalne zagadnienie. Chodzi mi o pakt polsko-sowiecki i o wszystko to, co on implikuje. Bagatela, przecież to jest problem zasadniczej rewizji tradycyjnej polskiej koncepcji politycznej i to nie tylko w stosunku do sowieckiego sąsiada. Ten pakt stawia na porządku dziennym najbardziej fundamentalne problemy życia polskiego, wysuwa niezliczone nowe zagadnienia, kapitalne, o życiu dla nas znaczeniu.

I na jaki poziom zesła dyskusja, tak bardzo namiętna i gorąca? Czy rząd miał, czy nie miał prawa podpisywać, czy ani piędzi ziemi, czy jakaś pięćdziesiąt, czy teraz czy dopiero po wojnie, czy Stalin wbił nam nóż w plecy, czy jest naszym przyjacielem i t.d. i t.d. I całe zagadnienie sprowadziło się do sporu kazyperdów na temat granic. Więc na temat zagadnienia, które w takim ujęciu nie jest nawet trzeciorzędne. Cały aparat dobrze znanej nam frazeologii został tu puszczony w ruch. Zdradcy, sprzedawczycy, puścizna po przodkach, wielkość, niegodni imienia polskiego—cały pseudopatrijotyczny terror grzmiących słów i frazesów, cały arsenał kurjerkowej tromtadacji był tu zużytkowany. Czegóż to nie wypisywał Matuszewski, na ile sposobów zagadując to, czego nie śmiał powiedzieć.

Ten terror frazesu panuje ciągle. Najlepszy dowód, że żyjemy w murach duchowego Ghetta, że niczego nie przejeśliśmy od naszych gospodarzy. Wychowanie demokratyczne przyniosło im bowiem odwagę, godność w mówieniu rzeczy niepopularnych. Amerykanin i Anglik nie boją się wrzasku patryjotów z zapiecka, mówią to, co uważają za słuszne, by było powiedziane. Najbardziej drastyczne, najbardziej „niepatrijotyczne“ tematy są tu przedmiotami rzeczowych i odważnych dyskusyj. Jeden przynajmniej drugiemu święte prawo błędzenia i szukania. Żąda tylko rzetelności myślenia i uczciwego dyskutowania. Nie nauczyliśmy się tego dotąd.

I w rezultacie polemiki na temat przełomowego wydarzenia historii polskiej, wydarzenia o kolosalnych i wszechstronnych aspektach, stały się powodzią pustej i zakłamanej gadaniny. Nie wniosły niczego, coby świadczyło o dojrzałości myślenia i o dojrzałości historycznej. A gdy Juljan Tuwim w swej pięknej Modlitwie złożył świadectwo, że poeta może stokroć



lepiej rozumieć rzeczywistość historyczną od patentowanych historyków i polityków, to domorośli cenzorzy próbowali okastrować najważniejszy ustęp utworu, ustęp, zawierający najgłębszą myśl polityczną, z jaką na emigracji można się było spotkać.

A zagadnienie polsko-czeskie? Znowu sprawa o olbrzymim znaczeniu, o niezwykle różnorodnych i istotnych aspektach. Owszem, Wiadomości Polskie wyprodukowały wielki numer poświęcony stosunkom polsko-czecho-słowackim. Przykro o tem mówić, a i wstyd wobec Kraju—prasa podziemna nieskończenie mądrzej i głębiej całą tę sprawę ujęła. Znowu jakaś ucieczka przed poważnymi sprawami, znowu nieumiejętność widzenia rzeczy zasadniczych. I znowu ten sam prowincjonalizm, to samo Ghetto.

Podobno w różnego rodzaju zespołach planistycznych prowadzona jest poważna praca badawcza. Podobno tworzone są wielkie projekty, podobno są one bardzo głębokie. Być może. Ale to, co do nas dochodzi, wygląda rozpaczliwie.

Tej atmosfery Ghetta, spłylenia i tromtadracji ukryć się nie da. Wiedzą cośniewo o tem Amerykanie i nie bez przekąsu mówią o naszych poczynaniach. Wiedzą nawet dużo. Bo przecież są rzeczy, który ukryć się nie da, które muszą wyjść na jaw. Ileż to ironicznych słów słyszałem na temat jednego z naszych uczonych rodaków, który gwałtownie starał się przekonać Amerykanów do idei jagiellońskiej i do świętobliwości królowej Jadwigi. Pytano mnie, czy Polacy innych kłopotów nie mają i czy wszyscy poważnie traktują ideę jagiellońską. Musiałem długo tłumaczyć, że pan ten nikogo nie reprezentuje, że są to jego indywidualne hobbies. Nie wiem, czy mi uwierzono. I trudno się dziwić, że w przekonaniu niejednego z Amerykanów jesteście ludźmi bez poczucia rzeczywistości, miłymi romantykami, których jednak poważnie traktować nie można. Małą pociechą jest, że i inne emigracje polityczne prezentują się niewesoło. Choć—nie wszystkie.

Jest coś strasznego w tem Ghetcie, które poszło wraz z nami na wygnanie. I jedyną nadzieją—że nie najlepsze siły Polski zostały wyrzucone poza siebie ojczyzny. Przeciwnie, właśnie to, co w dawnej Polsce uosabiało w sobie ducha szlachetczyzny, ducha zaścianka, co w niej było moralnem i kulturalnem Ghettem, znalazło się prawie w komplecie na ziemiach wielkich demokracji anglosaskich. I trudno się dziwić, że ludzie ci są takimi, jakimi byli przed wojną. Trudno się dziwić i trudno wymagać od nich rzeczy, do których nie są zdolni. Pan Pasek czy w Polsce czy w Danji nie przestał być Paskiem. Nasi Paskowie pozostają Paskami w Anglii i w Ameryce.

Nie zmienia to przecież sprawy, że marnowana jest doskonała szansa nawiązania mocnego i bliskiego kontaktu myśli polskiej z anglosaską. Zabrakło odpowiednich pośredników, zabrakło odpowiedniego medjum, któreby ułatwiło kulturze przyszłej Polski znalezienie wspólnego słowa z odrodzoną Europą. I stąd tem większe zadanie spada na te jednostki, które tę wojnę prawdziwie przeżyły, sens jej starały się zrozumieć i czegoś się na wygnaniu nauczyły. Nie mają one lekkiego życia w atmosferze rodzimego Ghetta. Ale mają przed sobą wielki, wspaniały, twórczy świat ducha anglosaskiego, rzeczywistego spadkobiercy nieśmiertelnej Europy. I mają przed sobą obowiązek wobec Polski.

New York, w maju.

## NAUKA W ŻYCIU POLITYCZNYM.

Każdy prawdziwy uczony musi pragnąć by przyjazny i tolerancyjny duch nauki, jej liberalna międzynarodowość i władza jaką daje, znalazły ludzkie i serdeczne zastosowanie w sprawach światowych. Istnienie i przyszłość cywilizacji wymaga z naszej strony nieustępliwego uporu w takim właśnie traktowaniu zdobycy wiedzy.

Nie wolno nam przytem zapominać, że jedną z głównych metod naukowych jest krytyka, a najważniejszymi przedmiotami krytyki winny być nasze własne idee. Bez krytycyzmu dokładność obserwacji i rygor dedukcyjny może łatwo ustąpić miejsca imaginacyjnej czy też uczuciowej spekulacji, lub nawet szalbierstwu. Niestety zbyt często dzieje się to tam, gdzie następuje poplątanie nauki z polityką—tembardziej że politykę określa się często jako sztukę i naukę rządzenia. Nie znaczy to bym lekcewał znaczenie roli nauki w rządzeniu sprawami ludzkości lub niedoceniał możliwości wielkich osiągnięć w tej dziedzinie. Ale najlepsze nawet narzędzie musi być użyte umiejętnie, jeśli nie ma ulec uszkodzeniu, ze szkodą dzieła, któremu miało służyć. W danym wypadku narzędzie jest tak dobre, nadzieje związane z jego odpowiednim użyciem tak żywe, że warto zastanowić się poważnie nad wszystkimi niebezpieczeństwami i trudnościami.

Wszystkie nowe metody i odkrycia zbyt łatwo stwarzały pokusę uniwersalnego ich stosowania i eksploatacji dla celów egoistycznych. Planowe stosowanie nauki w zarządzaniu sprawami państwowymi jest metodą nową, która nie została dotychczas właściwie i całkowicie wypróbowana. Jeśli w przyszłości mamy zapewnić jej powodzenie musimy ochronić ją przedewszystkim od mętnego myślenia, nieuważnego stosowania i bezskrupulatnego używania dla celów egoistycznych.

Tuż przed wybuchem tej wojny, na kilka miesięcy przed swym zgonem, znany chirurg i uczony neurolog Wilfrid Trotter, zastanawiał się nad kwestją: „Czy intelekt posiada własną funkcję?” Wywody swoje rozpoczął od niewinnego i pochlebnego założenia, że należy ludzi skłaniać by myśleli sami za siebie. W ten sposób bowiem posiadliby zdolność pożytecznego rozważania doświadczeń życia codziennego i wytworzenia sobie poglądów na sprawy społeczne, polityczne i narodowe nie podlegając całkowicie przyzwyczajeniom i przesądom. Nie należy jednak sądzić, że przez samą praktykę naukowej metody można rozszerzyć zdolność mózgu rozstrząsania spraw ludzkich. Doświadczenie bowiem wręcz obala pogląd, że człowiek, który odznaczył się w jednej czy nawet kilku gałęziach nauki mieć musi rozsądniejsze od innych zapatrywania na sprawy powszednie.

Od kilku tysięcy lat—Profesor Trotter przypomina—najzdolniejsi ludzie każdej epoki, zajmowali się mechanizmem intelektu w nadziei, że uda im się skłonić ludzkość do myślenia a tym samym rozsądnego postępowania. Jeśli mamy uratować ustrój społeczny od wzrastającego zamieszania, musimy wprowadzić do naszego myślenia jakieś radykalne zmiany, a zwłaszcza musimy w dostatecznym stopniu uwzględnić nasze uczucia i nasze przesady. Musimy wyzbyć się katastrofalnego przekonania, że w umyśle ludzkim odbywają się jakiegokolwiek działania odpowiadające koncepcji czystego rozumu. Wszelkie procesy rozumowania podlegają udziałowi i wpływom uczucia. Możemy jedynie brać zgóry pod uwagę bardziej rażące następstwa uczuć i dokonywać odpowiedniej korektury.

Te słowa Trottera tembardziej zasługują na przypomnienie, że z chwilą gdy nauka zajmie się sprawami państwowymi, a więc sprawami życia



praktycznego, w których zdarzają się silne wzruszenia i sprzeczne interesy, istnieje poważne niebezpieczeństwo, iż nauka zrezygnuje z swego normalnie stosowanego obiektywizmu i zadowoli się poplecznictwem. A wówczas może pozbawić się możliwości rozważania wszystkich faktów i łatwo ograniczyć się do badania tylko tych, które można pogodzić z jakimiś konkluzjami osiągniętymi pod wpływem interesu czy uczucia. Intelpekt zdaniem Trottera okazał się tylko organem ludzkim podlegającym upodobaniom i kaprysom podobnie jak żołądek czy nerki. Nawet przy pracy laboratoryjnej napotykałyśmy stale na trudności w skupianiu tej samej uwagi na faktach potrzebnych i niepotrzebnych. O ileż trudniejsze jest to w szpitalu, na targu, a przedewszystkim w sprawach publicznych, gdzie grają namiętności, gdzie poszczególne zagrożone interesy się bronią, gdzie działa przesąd, hula propaganda. Zdajemy sobie jasno sprawę z tego, że nauka powinna zająć należne jej, i poczesne miejsce w rządzeniu sprawami państwa. Jeśli jednak nauka ma odgrywać przypadającą jej rolę, musi zdać sobie w całej pełni sprawę z niebezpieczeństw ją otaczających, musi świadomie wybrać obiektywizm, wyrzekając się stronniczości, musi kształcić swych wiernych w przekonaniu, że rzetelność naukowa, że czyste sumienie naukowe, są lepszymi towarzyszami pracy aniżeli polityczne zaszczyty, popularność czy sława.

Beztróskie i lekkomyślne stosowanie niedowarzonej nauki w sprawach publicznych, lub też nadużywanie prestige'u naukowego dla przeprowadzenia politycznych posunięć, nie doprowadzi do niczego. Nauka jest precyzyjnym narzędziem, a każdy robotnik wie, że im bardziej precyzyjne narzędzie tem większa musi być biegłość i umiejętność władającego nim.

W roku 1663, Robert Hooke określił cele Królewskiego Towarzystwa Naukowego jako :

„wzmoczenie znajomości rzeczy przyrodzonych i wszystkich pożytecznych Sztuk, Fabrykacyj, Sposobów Mechaniki, Machin i Wynalazków w drodze Eksperymentów, bez mieszania ich z Religją, Metafizyką, Moralnością, Polityką, Gramatyką, Retoryką i Logiką“.

Chciałbym to określenie przyjąć jako punkt wyjścia dla dalszych rozważań. Niejednokrotnie moi towarzysze naukowci zarzucali mi w związku z tym brak konsekwencji, gdyż jako członek parlamentu nie mogę uniknąć mieszania się do „Moralności, Polityki i Retoryki“, choć niektórzy z nich nie zarzucaliby mo że członkowi parlamenu nadmiernego związku z „Logiką“. Niemiej muszę stwierdzić, że nie mieszanie się do moralności i polityki, co więcej pogardliwe oburzenie z jakim niektórzy ludzie „wyżsi“ mówią o takich potrzebach socjalnego życia, jak moralność i polityka wydaje mi się nieznośnie dziecinne i głupie. Nauczyciele moralności i rządcy polityczni ludzkości powinni być wybierani z pośród najlepszych a nie najgorszych umysłów i charakterów. Nauka jednak powinna pozostać bezstronna i obiektywna nie w poczuciu jakiejś wyższości czy też obojętności wobec wspólnego dobra lecz dlatego, że od tego zależy jej pełna intelektualna uczciwość. . . . Jeśli nauka zwiąże się z uczuciem, propagandą, reklamą, poszczególnymi jakimiś teorjami społecznymi, czy gospodarczymi straci na zawsze powszechny szacunek, a temsamem jej polityczne znaczenie zostanie zaprzepaszczone. Jeśli nauka ma się nadal rozwijać, jeśli ma prowadzić do rozwoju a nie zniszczenia instytucji ludzkich, musi upierać się przy zachowaniu swej tradycyjnej pozycji niezależności, musi odrzucić mieszania się do religiji, moralności, polityki i retoryki musi zapobiec temu, by te ostatnie nad nią zapanowały.

Nie chcę przez to powiedzieć, że nie należy wyników nauki stosować w rządzeniu gdyż byłoby to nielogiczne, lub też że ludzie nauki nie powinni brać udziału w rządzeniu, że nauka nie powinna być finansowana przez rząd, lub też że kierunek badań naukowych nie musi uwzględniać potrzeb

ludzkich. Ani też nie chcę powiedzieć, że ludzie nauki, jako obywatele, nie powinni mieć przekonań politycznych. Stwierdzam jednak, że jedynym celem nauki jest dotarcie do faktów, że żadne względy religijne, moralne czy polityczne nie powinny na włość nawet odchyłać nauki od prawości że sama reputacja nauki (będąca wspólną własnością wszystkich ludzi nauki) nie powinna być nadużywana dla celów egoistycznych czy też dla celów poszczególnych grup i że ani władza, ani interesy materialne, ani uczucia, precedensy, zwyczaje—niezależnie od wpływu jaki mają na nas jako ludzi—nie powinny kazić stronnictwami naszych spostrzeżeń naukowych i wniosków jakie z tych spostrzeżeń wyciągamy.

Mógłby ktoś powiedzieć, że są to wszystko rzeczy oczywiste i że nie warto kłaść na nie takiego nacisku. Był czas—nie tak dawno temu—gdy wolność, pokój i znośne na ogół zasady narodowego i międzynarodowego postępowania wydawały się również oczywiste. Gdybyśmy nie zamknęli oczu na fakt, że utrzymać je można było tylko za cenę nieustającej czujności, wysiłku i poświęcenia, dzisiejszy stan świata nie byłby tak opłakany. Istnieje poważne niebezpieczeństwo, że proces stopniowy, zbyt powolny by wywołać nagły wstrząs, podminuje niezależność nauki. Wystarczy spojrzeć na Niemcy i Włochy by sobie zdać z tego sprawę. Mógłby ktoś powiedzieć na to, że takie rzeczy nie zdarzają się u nas. Tego rodzaju niepoprawne samo-zadowolenie od wielu lat wlecze się naszym śladem. A przecież żadna dobra sprawa nie zwycięża na zawsze—nawet w Anglii. Niebezpieczeństwa takiego uniknąć możemy nie przez zaufanie uczuciu raczej, aniżeli rozumowi, nie przez negowanie oczywistych faktów dlatego że są nam niemiłe, lecz tylko przez nieustanną czujność i uporczywą determinację utrzymania naszej naukowej niezależności i uczciwości.

Dlatego też, mimo najgorętszego pragnienia by całe bogactwo nauki, jej wyniki, metody i nastawienie umysłowe stosowane były w służbie państwa, należy nieustannie ostrzegać, że o ile nauka nie zachowa niezależności i obiektywizmu, przynieść może więcej zła aniżeli dobra. Jakże łatwo popaść z przyczyn sentymentalnych w mętne myślenie. Jakże łatwo dać się uwieść modzie, która każe w nauce dopatrywać się uniwersalnego lekarstwa na wszystkie choroby. Jakże łatwo zdobyć tanią sławę użyciem fałszywych argumentów naukowych dla wsparcia jakiejś popularnej lub stronnictwej sprawy. A przez to przynosi się szkodę nie tylko państwu, lecz obniża się powagę nauki samej, zdobytą uczciwością całych pokoleń uczonych.

Nadużywanie nauki w rządzeniu może wynikać nie tylko z powodu skrzepowania interesem czy też uczuciem aparatu myślowego człowieka, lecz i z innych przyczyn. Główna trudność wynika stąd, że metoda biurokratyczna przez swój autorytet, swą rutynę, tłumienie inicjatywy, brak swobody i krytycyzmu, i tajność, stwarza antytezę środowiska, w którym dobra praca naukowa zwykła się odbywać.

Zdają sobie dobrze sprawę z tego, że planowanie i kierownictwo są niezbędne w sprawach państwowych czy badaniach dla celów przemysłu. Ale jeśli nauka nie ma być unicestwiona, należy połączyć planowanie z duchem wolności i inicjatywy, z duchem krytyki i równości intelektualnej między starszymi i młodszymi. Nie są to nieziszczalne pragnienia. Istnieją instytucje rządowe, w których duch jest stuprocentowo dobry, ale niestety są również instytucje rządowe, w których duch jest doszczętnie zły. Duch ten w każdym razie jest lepszy tam, gdzie nawiązany został stały kontakt z innymi aniżeli rządowe instytucjami naukowymi, gdzie ogłaszanie wyników jest normalnie dozwolone, gdzie możliwą jest krytyka i dyskusja, gdzie istnieje coś raczej z atmosfery uniwersyteckiej i gdzie wpływ kierowniczy i inspirujący może być wywierany—niekiedy za kulisami—przez ciała doradcze złożone z uczonych niezależnych.

W normalnych czasach takie warunki istnieją w Anglii w większym



stopniu, aniżeli gdziekolwiek indziej w trzech Instytucjach Badań Naukowych i Stowarzyszeń Naukowych, które częściowo podlegają rządowi, a częściowo bezpośrednio przemysłowi.

W czasie wojny jednak należy zwrócić większą uwagę na związek nauki z siłami zbrojnymi. Niezbędnym jest by poważni uczeni o dużej inicjatywie pozostawali w ścisłym kontakcie z faktycznymi operacjami wojennymi. W czasie wojny bowiem, powstają, niekiedy nagle, niecierpiące zwłoki zagadnienia i trudności, które doświadczony uczoney może rozeznac jako podlegające naukowemu traktowaniu, czego zwykły laik dostrzec nie potrafi. Szczególnie w wojnie prowadzonej z taką szybkością jak obecna, wyniknąć mogą wielkie szkody, a nawet dojść może do katastrofy, jeśli jakieś zagadnienia lub trudności operacyjne nie będą załatwiane bez zwłoki. Przewidywanie takich zagadnień natomiast przynieść może wielkie korzyści. Co więcej, nowe narzędzia, metody, rodzaje broni rzadko tylko działają doskonale bezpośrednio po zaopatrzeniu w nie oddziałów. Jeśli chcemy zapewnić ich pełne wykorzystanie, trzeba w okresie początkowym udoskonalać je, a uczynić to mogą jedynie ludzie fachowi, przyczem taktyka i strategia stosowania nowych broni musi być opracowana w współpracy żołnierzy z uczonymi.

Nie wynika z tego oczywiście, by uczeni mieli występować w charakterze ekspertów strategicznych. Ale już dostatecznie stwierdzonym faktem jest, że brak kontaktu między uczonym a żołnierzem używającym jakiejś nowej broni i operacjami w których broń ta jest stosowana przynosi poważne szkody. Byłoby wielkim błędem izolować całkowicie uczonych od żołnierzy. Uczeni bowiem nie są jedynie jakimiś wykwalifikowanymi technikami, których się opłaca poto by wyczarowywali coś, co tamci w swej większej mądrości u nich zamawiają.

Chciałbym tu jednak podkreślić, że aczkolwiek zasada bezpośredniego kontaktu między uczonym a „użytkującym“ dotyczy dosłownie tylko broni i metod wojny, niemniej da się zastosować powszechnie. Wojna jest tylko najbardziej w tej chwili palącym przykładem, ale ta sama zasada odnosi się do wszystkich stosowań nauki, czy to w wojnie, rządzeniu czy przemyśle. Uczony, specjalista, nie może na zawsze ograniczać się do swego laboratorium, gdzie oczywiście jest jego główne miejsce. Byłoby źle, gdyby uczony miał się stać jakimś natrętem mieszającym się do wszystkiego. Ale o ile uczony nie wyrzy od czasu do czasu ze swojego zagajnika, może nie dojrzeć lasu wśród drzew, może nie zrozumieć w jakim stosunku stoi jego zadanie do większych zadań świata. W jakiegokolwiek dziedzinie działalności ludzkiej praca jego ma zastosowanie, uczony powinien pozostać w kontakcie z „użytkującym“, zaś ten ostatni w kontakcie z uczonym. Tylko w ten sposób będzie nauka w rządzeniu, nauka w przemyśle czy nauka w sprawach ludzkich wypełniać swoją pożyteczną rolę.

Tyle, jeśli chodzi o badania naukowe w resortach wojskowych czy dostawach wojennych. Jednak w wielu innych resortach rządowych konieczną jest naukowa konsultacja, naukowe przewidywanie i naukowa krytyka. I tu również o ile ludzie z kwalifikacjami naukowymi nie będą utrzymywali stałego kontaktu z ich codzienną pracą, problemy naukowe i możliwości nie będą nigdy w czas urzeczywistnione.

\*Uważam, że budowanie takiego systemu rezerw urzędników-uczonych powinno być rozpoczęte bezpośrednio po zakończeniu wojny. Byłoby wielką szkodą, gdyby tylu zdolnych ludzi, którzy oddają obecnie tak wielkie usługi w instytucjach rządowych miało na zawsze stracić kontakt z tymi instytucjami. Przez utworzenie więc takiej rezerwy, poziom intelektualny i użyteczność nauki w instytucjach rządowych byłyby podniesione, a z drugiej strony uniwersytety weszłyby w bliższy kontakt ze sprawami praktycznymi.

Omawianie na tym miejscu szczegółów byłoby przedwczesne. Zasada

ogólna wymaga byśmy obalili barjery oddzielające uniwersytety, instytucje niezależnych badań naukowych, laboratorja przemysłowe oraz rządowe zakłady naukowe. Da się to skutecznieć w drodze regularnej wymiany personelu, w drodze wspólnego systemu emerytalnego, w drodze wprowadzenia do laboratorjów rządowych wszystkich tych ułatwień dla dyskusji, krytyki, inicjatywy, współpracy nawet dla nauczania—które istnieją gdzieś indziej. Nie możemy dać się odwieść od tego projektu biurokratycznymi niechęciami, fałszywie pojętą ostrożnością, zbyteczną tajnością i rzekomymi trudnościami administracyjnymi. Musimy w nauce pozostać wierni naszemu geniuszowi narodowemu i doprowadzić do najpełniejszej ko-operacji i wymiany między nauką niezależną, a nauką kontrolowaną przez państwo.

Wspomniany plan utworzenia rezerwy urzędników-naukowców i regularnej wymiany między poszczególnymi instytucjami nie musi być ograniczony do nauki, lecz zastosowany być może do całej służby państwowej jako takiej. W służbie państwowej niezbędne są drastyczne zmiany. Zdolność osobista i osobista prawość nie wystarcza. Trzeba zmienić światopogląd, metody, organizację i tradycje służby państwowej i utrzymać kontakt z światem rzeczywistym i metodami istniejącymi w tym świecie. Wojna potwierdziła słuszność szeroko rozpowszechnionych podejrzeń, że mimo poczucia obowiązku i wzniosłych tradycji, urzędnicy państwowi naogół zawiedli. To samo możnaby powiedzieć o parlamencie, ale ta sprawa tu nie należy. Byłoby więc ze wszech miar pożądane, w interesie urzędników państwowych, przemysłu i uniwersytetów, by wprowadzona została regularna wymiana personelu. Uniwersytety należałoby w tym związku uważać za szkoły dokształcające, do których wracaliby co jakiś czas pracownicy naukowcy ze służby państwowej i z przemysłu dla przeszkolenia. Z drugiej strony należałoby zakłady przemysłowe i służbę państwową uważać za warsztaty, w których profesorowie uniwersyteccy zdobywaliby doświadczenie praktyczne. Wzajemna, czasowa wymiana najzdolniejszych ludzi dałaby biuram rządowym poczucie rzeczywistości, zaś instytucjom przemysłowym zrozumienie potrzeb państwowych. I gdy mówimy tu o roli nauki w zarządzaniu sprawami państwowymi, musimy zdać sobie sprawę z tego, że nauka nigdy nie zdobędzie sobie pełnej możliwości działania o ile nie nastąpi rewolucja w metodach i zasadach samego rządzenia.

Na zakończenie chciałbym uderzyć w bardziej optymistyczną strunę. W dawnym systemie *laissez fair*, który chcemy zastąpić systemem należytego stosowania nauki w zarządzaniu sprawami państwowymi, służba zdrowia zorganizowana była głównie na zasadzie leczenia ludzi gdy byli chorzy, budownictwo na zasadzie naprawiania rur gdy pękły z powodu mrozu, przemysł na zasadzie wypłacania ludziom zasiłków gdy zostali pozbawieni pracy, obrona narodowa na zasadzie czynienia przygotowań po wybuchu wojny. A jest przecież jasne, że planowanie naukowe i planowanie naszych narodowych zasobów może oszczędzić nam wielu z dotychczasowych naszych kłopotów. Jeśli obmyślimy nasze domy w odpowiedni sposób, rury nie będą pękały od mrozu. Jeśli pomyślimy o odpowiednim żywieniu ludzi, o ich zdrowiu i szkoleniu fizycznym zapobiegniemy wielu chorobom. Przez celowe planowanie robót publicznych możemy w dużym stopniu zapobiec bezrobociu i podnieść stopę życiową. Przez przyjęcie zasady powszechnej służby narodowej dla mężczyzn i kobiet, jako najwyższej formy demokracji, unikniemy wchodzenia w wojnę bez przygotowania a zarazem przybliżymy nasze obywatelstwo w nową godność. Planowanie naukowe i planowanie przy pomocy nauki oto nasza wizja przyszłości, ale planowanie, w którym każdy nowy porządek jaki zaprowadzimy uwzględnimy przede wszystkim naszą tradycyjną wolność.



## W KÓŁKO DOKOŁA COLE'A

G. D. H. Cole wydał kilka miesięcy temu u Gollancza książkę pod tytułem "Europe Russia and the Future." W książce tej jest kilka rozdziałów dających doskonałą analizę sytuacji obecnej, jest ona napisana z niewątpliwym talentem i wielkim zapalem.

Tezą jej zasadniczą jest, że jedynym rozwiązaniem, rokującym nadzieje lepszej przyszłości jest definitywne skończenie z gospodarką kapitalistyczną i stworzenie socjalistycznej Europy. Teza w ustach socjalisty zupełnie zrozumiała i świetnie argumentowana.

Drugą tezą jest, że czas państw narodowych się skończył, że niepodległość narodów jest szkodliwą mrzonką, że konieczności ekonomiczne wymagają wielkich bloków państwowych. G. D. H. Cole entuzjastycznie nawołuje narody europejskie do "ponadnarodowego" myślenia. Cole jednak się do tego nie ogranicza i daje bliższy obraz tego przyszłego lepszego świata, który przynieść nam ma federacja państw liberalno socjalistycznych Zachodniej Europy z Wielką Brytanią, względnie Francją jako leaderem. W tych państwach bowiem, jak Cole twierdzi, ludzie zbyt są przywiązani do wolności, by mogli znieść system sowiecki. Federacja Środkowa Europejska, obejmująca między innymi i Polskę powstać ma, pod przewodnictwem Niemiec jako Sowiecki Związek Socjalistyczny (dla tych zacofanych państw bowiem socjalizm liberalny się nie nadaje), wreszcie widzi Cole powiększony ZSRR. Ewentualnie akceptowałyby wprost wcielenie Środkowej Europy do Związku Sowieckiego.

Książka narobiła dużo hałasu, i wydawca jej Gollancz postanowił ze względów handlowo zupełnie zrozumiałych—szum ten podtrzymać. Zwrócił się więc do szeregu wybitnych socjalistów europejskich, aby w Forum, dodatku do Left News zdanie swe o książce Cole'a wypowiedzieli. Podobnie jak to było z dyskusją socjalistów europejskich

w sprawie niemieckiej—rezultat nie odpowiedział oczekiwaniom ani Gollancza, ani Cole'a. Okazało się, że recepta, która się wydawała tak atrakcyjna w atmosferze oksfordzkiej, jakoś tym dziwnym ludziom z kontynentu wcale nie trafia do przekonania.

Prawda, hiszpański socjalista Ramos Oliveiras entuzjastycznie poparł Cole'a. Oliveiras uważa, że na wschód od Renu musi istnieć dyktatura sowiecka, albowiem "parlament nie może funkcjonować w państwach, gdzie ziemia jest w rękach feudalnej arystokracji."

Cytata ta jednak sama wystarcza, by wykazać, że pana Oliveiras trudno uważać za eksperta w sprawach Polski, czy Czechosłowacji, Litwy, czy Łotwy.

Naprawdę zaś reprezentacyjny socjalista hiszpański, Luis Araquistain suchej nitki na projekcie Cole'a nie zostawił. Araquistain pisze: "Dla pana Cole'a bezpieczeństwo małych narodów polega na podporządkowaniu ich wielkim, jak Rosja lub Niemcy. Gdyby takim miał być rezultat wojny nie warto by było walczyć dalej."—Europa nie chce być ani rosyjską ani niemiecką, chce być tylko europejską, może biedną, może w niezgodzie, może nieracjonalną, ale wolną albo—co jest tem samym—wyobrażającą sobie, że jest wolna."

Araquistain zresztą stanowczo zaprzecza, by system sowiecki można było uznać za socjalistyczny i ostrzega, że "należy się obawiać że obecny rosyjski pacyfizm wojujący może się rozwinąć w politykę panowania nad światem."

Tak samo jak i hiszpańscy i austriaccy socjaliści nie są zgodni z sobą. Oskar Paul niezmiernie gwałtownie zaatakował koncepcję Cole'owską, że dla Centralnej Europy jedynie system sowiecki przynieść może zbawienie. Redaktor Forum Juliusz Braunthal, chętnie by widział wielki blok socjalistyczny obejmujący i Niemcy i obawia się konfederacji Centralno-Europejskiej,

która by zdaniem jego stanowiła jedynie przeciwagę Niemiec. A jednak Braunthalowi wyrwało się znamienne wyznanie. Píše on—  
“Czuję jednak, że presja emocjonalna, spowodowana nienawiścią do nazizmu jest tak silna, że z konieczności rewolucja ogólnonieemiecka będzie musiała rozłamać się na granicy austriacko-niemieckiej i będzie musiała doprowadzić do wskrzeszenia republiki austriackiej.”

Stwierdza więc Braunthal, że cała koncepcja Cole'owska oparta jest na syrkich piaskach, albowiem narody odrzuca wszelką koncepcję, która by nie zapewniła im niepodległości bytu narodowego i państwowego. Oczywiście nie wyklucza to możliwości związków między narodami czy to w formie konfederacji, czy nawet w formie federacyjnej, ale wyklucza bezwzględnie zarówno “kierownictwo” narodów większych, jak i federację typu tak nazwanego federalizmu sowieckiego. Zupełnie wyraźnie stawia sprawę socjalista francuski Louis Levy. Odrzuca on wszelką kombinację w której by Niemcy mogły odegrać rolę kierowniczą. Niemcy muszą być rozbrojone i kontrolowane. Odrzuca wogóle koncepcję łączenia państw w federacje pod “kierownictwem” państw wielkich. Píše: “Cóż za prawo mamy łączyć wszystkie państwa centralno i południowo europejskie pod przewodnictwem Rosji. I cóż za prawo mamy do łączenia wszystkich państw zachodnio europejskich pod przewodnictwem Anglii, lub Francji?”

I Levy proponuje następującą formułę: “Wszystkie narody, nawet największe muszą się zgodzić na poświęcenie znacznej części swej suwerenności: wszystkie narody—nawet najmniejsze—muszą istnieć i zatrzymać wszystkie te suwerenne prawa, które nie są szkodliwe dla zbiorowości europejskiej i międzynarodowej.”

Levy ostrzega też przed uznaniem Rosji za państwo socjalistyczne. Rosja sowiecka nie jest socjalistyczna, albowiem “nie jest szczerze

demokratyczna, albowiem konstytucja nie jest wykonywana, albowiem robotnicy nie mają wolności swobodnego głosowania, albowiem dyktatura proletariatu często staje się dyktaturą nad proletariatem.” Najgłębszą odpowiedź dał może Adam Ciołkosz. W sposób spokojny obalił on wszystkie fałszywe tezy Cole'owskie i postawił w odpowiedzi trzy zasadnicze punkty: “a) o ile idzie o Europę to każdy naród na kontynencie, który ma poczucie swej odrębności i wolę do niepodległego bytu ma prawo do niepodległości państwowej. b) epoka egoizmu narodowego izolacjonizmu, i autarkji minęła na zawsze, musi powstać organizacja zbiorowego bezpieczeństwa i współpracy ekonomicznej, obejmującej planowanie w skali światowej i w tym musi powstać nowy i znacznie ulepszony związek narodów, c) jeżeli, jak to Cole twierdzi, nie jest prawdopodobne powstanie państwa nadnarodowego w skali światowej, lub conajmniej europejskiej, związki mniejsze mogą być oparte jedynie na swobodnie wyrażonej woli narodów zainteresowanych”.

I Ciołkosz píše dalej: „Mówiono, że pokój jest niepodzielny. Demokracja i swoboda są też niepodzielne. Podział Europy na dwie sfery demokracji, sferę zachodnią demokracji bezwzględnej i sferę wschodnią demokracji względnej jest nonsensem i to nonsensem niebezpiecznym. Cała Europa jest spragniona swobody.

Mam nadzieję że tem wyrażam me przekonania socjalistyczne: walczymy o świat wolnych i równych ludów i wolnych i równych narodów, połączonych w Republice Kooperacji w skali światowej. I walcząc o to, tem samem walczymy o socjalizm”.

To jednomyślne odrzucenie jego koncepcji przez przedstawicieli kontynentalnej myśli socjalistycznej nie przekonało Cole'a. W odpowiedzi krytykom pociesza się on tem, że są oni „leaderami starych partii w dawnych państwach i to zapewne wpłynęło na ich stanowisko”.



Broni się przed zarzutem, że chciałby mniej demokracji na Wschodzie i tłumaczy, że w jego pojęciu Sowiety są systemem bardziej demokratycznym od parlamentaryzmu. „Jeżeli się myślę to nie wtedy gdy zalecam Wschodowi Sowiety, ale może wtedy gdy uważam że Zachód może stać się socjalistycznym przy utrzymaniu systemu parlamentarnego. Gotów jestem dać się przekonać, że się myślę, ale jeśli mi to udowodnią to nie przestanę zalecać Sowietów dla Polski—zacznę żądać Sowietów w Wielkiej Brytanii“.

Co zaś do zarzutu kierownictwa, to Cole oczywiście bronie się przed tem, by zalecał hegemonię państw większych. Tłumaczy: „Jest nieuniknione z wielu względów, że kraje większe i bardziej zaawansowane ekonomicznie będą miały w swych grupach wpływ większy niż mniejsi partnerzy, zupełnie tak samo jak jest nieuniknione że w Unii Wielkobrytyjskiej Anglia ma większy wpływ od Szkocji i Walji. Ale jest to zupełnie co innego, niż panowanie“.

Ten ostatni przykład wskazuje na to, że Cole nie rozumiał swoich krytyków, że nigdy ich nie zrozumie.

Wskazuje jednak i na coś innego, nieskończenie ważniejszego. Cole jest niewątpliwie człowiekiem wysoce inteligentnym i wykształconym nie jest jednak w stanie zrozumieć, że różnica między Polakiem, a Rosjaninem czy Niemcem jest czemś

zgoła innym, niżeli różnicą między Szkotem, czy Walijszykiem a Anglikiem. Jest to nieporozumienie z którym tu na wyspie spotykamy się na każdym kroku. Jest to jedna z najbardziej zasadniczych trudności w znalezieniu wspólnego języka między nami, wygnańcami z kontynentu i naszymi gospodarzami. Drugą przeszkodą istotną jest nieznanostwo Niemiec. A trzecią trudnością jest nieznanostwo Rosji.

Nie są to przeszkody nie do przezwyciężenia. Na to jednak by je przezwyciężyć trzeba sobie z nich zdać sprawę. Trzeba sobie również zdać sprawę z tego, że nie można tych przeszkód ominąć, że trzeba obalić je powolną systematyczną pracą.

Jest to praca konieczna. Od opinii publicznej brytyjskiej wiele bowiem będzie zależało, gdy się będzie likwidowało wojnę, gdy rozpocznie się budowę nowego świata. Jest to praca możliwa do wykonania pod dwoma warunkami. Przede wszystkim kontynent Europy—oczywiście bez Niemców—musi mówić jednym głosem. Powtóre, ci co imieniem kontynentu mówić będą muszą budzić zaufanie, że nie są demokratami od święta, tak długo jedynie póki są w walce z Hitlerem, a że reprezentowali i reprezentują istotnie myśl demokratyczną kontynentu.

cep.

## BOY.

*Nie zna historia literatury europejskiej pisarza, który tak swą osobowością nasycił współczesne mu piśmiennictwo, któryby w tylu odrębnych dziedzinach twórczości literackiej, zajmował miejsce tak znaczne i tak wyjątkowe.*

*Jako poeta, autor „Słówek“, zostanie Boy niezrównanym satyrykiem, łączącym sentyment z dowcipem, żartobliwość z melancholią. Osiągnął w tej dziedzinie, nieczęsto spotykaną chwałę wzbogacenia języka. Przeniknął, wdarł się do mowy potocznej, cytaty ze „Słówek“, jak przysłowia, stały się wartością powszechną i niemal ludową.*

*Jako tłumacz jest Boy fenomenem niespotykanym w innych literaturach. Dał on Polsce całą—bez przesady—literaturę francuską. Dokonał tego, czego dokonywują pokolenia tłumaczy. Dał Polakom myśl Pascala i Descartes'a, poezję Villona, Racine'a, Musseta. Teatr Corneille'a i Moljera, prozę Rabelais'ego,*

Diderota, Stendhala, Flauberta, Balzaka i Prousta. Przetłumaczył około dwustu tomów najcenniejszych w piśmiennictwie francuskim, opatrzył je przedmowami i komentarzami. Zaludnił imaginację Polaków bohaterami francuskiej literatury, zostawił trwałe wzory konstrukcji łacińskiej, mądrości łączącej się z wdziękiem i realizmu uskrzydłonego poetycznością.

Wydawać się mogło, że temi setkami wspaniałych przekładów wypełniał pustkę, która mu przeszkadzała własne tworzyć dzieło. W zmienionym, przez swą pracę tłumacza, klimacie literackim, zaczyna Boy budować własną filozofję. Nie jest nigdy krytykiem teatralnym w zwykłym tego słowa znaczeniu. Pisząc o sztukach, szuka zagadnień moralnych i wypełnia dziesiątki tomów rozważaniami na temat człowieka. Sięga do historii i jednocześnie oświetla najbardziej palące zagadnienia aktualności. Ożywia bronz pomników i wypowiada walkę zakłamaniu, walczy o reformę obyczajów, o prawa kobiety, zakłada poradnie lekarskie, gnany niezmordowaną pasją służenia ludziom i głoszenia prawdy.

Nie będzie mógł historyk literatury dotknąć kart piśmiennictwa Polski odrodzonej, aby nie natknąć się na wielką pracę i twórczą myśl Boya. Nie będzie mógł historyk rozważać tych lat aby nie natknąć się na jego walki z obłudą. Jak nikt inny w jego pokoleniu—posiadał Boy zdolność myślenia samodzielnego. Potrafi zawsze odgarnąć owe zmartwiałe i skosniate poglądy nagromadzone przez lenistwo i rutynę myślenia—aby spojrzeć okiem świeżym i nieustrasżonym w samą głęb zagadnień. Ludzie, którzy operują gotowemi pojęciami i drogą kompilacji tworzą swe poglądy, nigdy nie umieli ocenić tej odkrywczości Boya. Kontakt ze zdyscyplinowaną prozą francuską i wykształceni przyrodnicze dały Boyowi zdolność niezwykle prostego formułowania myśli. Wśród pokolenia wychowanego na filozofji niemieckiej, jaśniał Boy trzeźwością swej metody przyrodniczej popartej wiedzą głęboką i wielką kulturą humanistyczną.

Język Boya był giętki, zwarty, precyzyjny. Dowcip służył mu wiernie, wspomagał jak najcenniejszy argument. Siłę umysłu i talentu poparł pracą niezmordowaną.

Dopóki istnieć będzie język i piśmiennictwo polskie trwać będzie pamięć o tym wielkim pisarzu.

\* \* \*

Wyliczyłem w pobieżnym skrócie wielkie Twe zasługi. Nie umiem dziś dać nic więcej poza tym suchym wyliczeniem. Zmarłeś mój najmiłszy, wspaniały przyjacielu zadreżony w niemieckim obozie koncentracyjnym.

Okrucieństwo ludzkie, śmierć niosące, żegnało Cię na tym świecie. Straszliwe to pożegnanie dla serca, które pełne było miłości dla świata i wiary w człowieka. Gdy myślę o Twej śmierci, nie wierzę, że zmogła Cię ponurość realiów Twej udręki. Jakkolwiek to było—wierzę, że jaśniało nad Tobą Wielkie Zrozumienie, które daje siłę patrzenia w oczy nienawiści ludzkiej.

Stało nad Tobą lazururowe powierze poezji, w którym tak hieratycznie układają się fatdy szat i skrzydła Muzy. Stała nad Tobą Melpomena i Clio. Caliope twarz zakrywała, a u nóg Twoich przyklekła Erato—Muza elegji. Wszystko, co jest prawdziwe i wieczne, bo zrodzone w świecie fantazji i wdzięku, poezji i myśli uskrzydłonej—trwało przy Tobie wiernie w Twej ostatniej godzinie. Na przekór nieludzkiej, nieprawdziwej, straszliwej rzeczywistości.

A. S.



## SPIS RZECZY

	Str.
FELIKS GROSS	
<i>Próba planu</i> .. .. .	241-247
JULJAN TUWIM	
<i>Kwiaty polskie</i> .. .. .	248-255
MARJA PAWLIKOWSKA	
<i>Droga jedyna</i> .. .. .	256
ANTONI SŁONIMSKI	
<i>Klawiatura—Sen</i> .. .. .	256-257
MARJA KUNCEWICZONA	
<i>Country</i> .. .. .	258-269
EUGENJUSZ CĘKAŁSKI	
<i>Ostatnia jesień</i> .. .. .	269-279
SIR STAFFORD CRIPPS	
<i>Feliks Topolski</i> .. .. .	280-281
HENRYK GOTLIB	
<i>O niedoskonałości greckiego klasycyzmu</i> .. .. .	281-284
STANISŁAW BALIŃSKI	
<i>Kilka słów o poezjach lirycznych W. B. Yeats'a</i> ..	285-288
JÓZEF CZAP	
<i>Dwa spotkania</i> .. .. .	288-289
MARJAN HEMAR	
<i>Cud biednych ludzi</i> .. .. .	290-302
JERZY KUNCEWICZ	
<i>O pełne wyzwolenie człowieka</i> .. .. .	303-307
ALEKSANDER HERTZ	
<i>Niezniszczalne Ghetto</i> .. .. .	307-311
PROF. HILL, M.P.	
<i>Nauka w życiu politycznym</i> .. .. .	312-316
(cep.)— <i>W kółko dookoła Cole'a</i> .. .. .	317-319
A. S.— <i>Boy</i> .. .. .	319-320

3/-